

Philip Jose Farmer

Jezus na Marsie

Przełożył: Michał Jakuszewski

1.

Wielki kompleks kanionów Yallis Marineris wyglądał niczym czarna rana na czerwonym ciebie planety. Ciężnił się trzy tysiące mil ze wschodu na zachód, wzdłuż równika Marsa. W najszerszym miejscu miał pięćdziesiąt mil, w najgłębszym kilka. Przypominał głębokie rozcięcie na skórze zwłok albo też olbrzymią stonogę, której odnóża stanowiły rowy przecinające wyżynę z obu stron wielkiej rozpadliny; ich drobniejsze odgałęzienia wyglądały jak szczecinka na jej nogach.

Richard Orme spoglądał z pokładu Ariesa, statku znajdującego się na orbicie stacjonarnej, jak ze szczytu niewiarygodnie wysokiej góry. Słabniejszy wiatr przeganiał wysoko ponad kanionami ostatnie obłoki z kryształów lodu oraz zawieszone nieco niżej chmury czerwonego pyłu. Zasłaniały one punkt, który był

celem trwającej już cztery miesiące ekspedycji. Orme odwrócił się od luku i unosząc się w powietrzu, popłynął w stronę Madeleine Danton, która siedziała przed ekranem, przypasana do fotela pokładowego. Za jej plecami zawisnęli w powietrzu Nadir Shirazi i Avram Bronski. Trzymając się rękoma oparcia fotela, spoglądali ponad głowę kobiety na ekran.

Orme złapał Shiraziego za barki, okręcił się wokół niego i znieruchomiał. Na ekranie widoczny był odsłonięty tunel, który satelita sfotografował przed pięciu laty. Sklepienie, które tworzyła niegdyś cienka skorupa skał, zapadło się, ujawniając przejście o szerokości dziesięciu, wysokość dwudziestu i długość osiemdziesięciu stóp.

Burza pyłowa uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek przez luki statku, a z obrazów przekazywanych przez automatyczną sondę, która wylądowała przed dwoma laty, wystarczająco wyraźne były tylko te w zasięgu pięćdziesięciu stóp. Dalej widać było tylko czerwoną mgiełkę.

Dno tunelu powlekała warstwa pyłu. Wylot był ukryty pod tym ciężkim sklepieniem, która się nie zapadła. Na przeciwległym końcu znajdowały się drzwi, ledwie widoczne pod osadem. Wykonano je z jakiegoś ciemnego materiału, który równie dobrze mógł być me-talem, jak kamieniem. Ich gładkość wskazywała na to, że były skonstruowane maszynowo.

Na czarnej powierzchni drzwi widniały dwa wielkie pomarańczowe znaki. Były to greckie litery: wielkie tau i wielka omega. Owalna twarz Madeleine Danton nie wyrażała żadnych uczuć. Wystrzone rysy Shiraziego zdradzały napięcie, przywódca Orme'owi na myśli jastrzębia, który właśnie spostrzegł królika. Na jego niemiłej, urodziwej twarzy Bronskiego pojawił się uśmiešek.

Na jego własnym czarnym obliczu można było, jak podejrzewał, dostrzec wyraz lekkiej ekscytacji.

Serce waliło mu jak młot. Gdyby miał podłączone sensory, wówczas w Houston w cięgu

jedenastu i pół minuty odebrano by informację o nagłym przyspieszeniu jego akcji. Miał jednak na sobie kombinezon.

Do startu zostały jeszcze dwie godziny. Do tego czasu wichura na dole powinna przejść w łagodny zefirek.

- Popatrzmy na statek - zaproponował.

Danton nacisnęła odpowiednie guziki na niewielkiej, znajdującej się przed nią konsolce. Obraz przesunął się, ukazując słabo widoczną przez pył powierzchnię głębokiej na milę rozpadliny, a następnie olbrzymi przedmiot... a raczej jego niewyraźne rysy, nieomalże widmo.

Sonda posuwała się w jego kierunku. Minęło parę minut, zanim łagodna krzywizna stała się lepiej widoczna. Danton wydała robotowi ustny rozkaz zatrzymania się.

Mogli teraz zobaczyć wyraźniej wielki owalny przedmiot. Po raz pierwszy dostrzegł go satelita zwiadowczy przed sześciu laty. Odkrycie to wywołało na całej Ziemi szok i podniecenie, doprowadzając w rezultacie do pierwszej załogowej wyprawy na Czerwoną Planetę.

- Widziałem to już ze sto razy na Ziemi - stwierdził Orme - i wciśz nie mogę uwierzyć. Statek kosmiczny!

Nikt mu nie odpowiedział. Było oczywiste, że odezwał się tylko po to, aby złagodzić napięcie.

Jak dawno temu ten statek wylądował lub rozbił się tutaj? Sto lat? Tysiąc? De czasu minęło, odkąd pokryła go lawina piasku i kamieni? De lat temu część zalegającej go warstwy obsunęła się, odkrywając niewielki fragment kolosa? A może został on celowo ukryty w ten sposób przez członków załogi?

Gdyby nie ciekawość pewnego australijskiego uczonego, „przecucie”, które kazało mu zwrócić uwagę na niewyraźny przedmiot na fotografii, gdyby nie wrodzona podejrzliwość i gdyby nie jego upór, wreszcie, statek pozostałby nie zauważony.

Być może nie odkryto by go nigdy. Z czasem dostrzeżono również wylot tunelu, a po upływie trzech lat wysłano automatyczną sondę, żeby móc przyjrzeć się temu z bliska. Cały świat ogarnęło podniecenie.

Richard Orme, urodzony w roku 1979 w Toronto, w Kanadzie, miał trzydzieści lat, gdy IASA przyznała, nie bez oporów, że tajemniczy obiekt nie jest rzeczywiście dziełem natury. Orme przewidział, jaki obrót sprawy wezmie. Żył i pracował z myślą o tym, by zostać jednym z członków ekspedycji. Rzut monetą zdecydował o tym, że to właśnie on, a nie australijski astronauta, został kapitanem i czwartym członkiem załogi Ariosa. Pechowy konkurent uśmiechnął się i pogratulował mu, lecz tej samej nocy upił się i został ciężko okaleczony w wypadku samochodowym. Choć wiedział, że to irracjonalne, Kanadyjczyk czuł się winny, wezbrała w nim duma i radość, a fakt, iż stało się to w chwili, gdy los okazał się jego sprzymierzeńcem, wzmagił jeszcze bardziej poczucie winy.

Orme spojrział na chronometr.

- Pora rozpocząć następną fazę - oznajmił.

Danton została za konsolką. Bronski i Shirazi pomogli Orme'owi włożyć skafander. Następnie kapitan wraz z Irańczykiem zakuli Bronskiego w jego „zbroję”. Jednocześnie Danton, mówiąca po angielsku z lekkim akcentem francuskim, nieustannie podawała dane dotyczące panujących na zewnątrz warunków oraz stanu przygotowań. Nie było to łatwe, ponieważ z uwagi na znaczne opóźnienie transmisji musiała pamiętać, co mówiła wcześniej, gdy była zmuszona odpowiadać na pytania nadsyłane z Ziemi za pośrednictwem satelity znajdującego się nad Houston.

Słuchał jej cały świat. Miało się to powtarzać przy każdej stosownej okazji.

Spodziewano się, że operacja przebiegnie gładko, choćby z uwagi na to, że członkowie załogi nabrali dużej wprawy

w tego rodzaju akcjach podczas ćwiczebnych lądowań na Księżycu. Zawsze jednak istniała możliwość awarii sprzętu.

Na koniec Orme i Bronski wśliznęli się przez właz do ładownika, który nosił nazwę Barsoom. Przewodniczący IAS A był w dzieciństwie entuzjastą Edgara Rice'a Burroughsa. Nazywał się John Carter, podobnie jak bohater wczesnych opowieści Burroughsa o Marsie, nazywanym przez jego fikcyjnych mieszkańców - Barsoom.

Carter od razu zaproponował tę nazwę i na skutek pewnej manipulacji z jego strony została ona zaakceptowana. Ci, którzy chcieli nazwać ładownik Tau Omega, ze względu na dwie litery umieszczone na drzwiach tunelu, przegrali niewielką różnicę głosów.

Po półgodzinnej kontroli sprzętu Orme wydał rozkaz startu.

Barsoom zaczął oddalać się powoli od macierzystego statku, poruszając się na małym cięgu. Orme poczuł ciepło w okolicy pępka, jak gdyby psychiczna pępowina, łącząca go z macierzystą planetą, została przecięta. Nie było jednak czasu na introspekcję. Musiał skoncentrować całą uwagę na celu, pozycji ładownika w stosunku do powierzchni planety oraz nieustannie napływających danych. Musiał

teraz działać bezbłędnie jak maszyna. Czas na podziw i zachwyty oraz satysfakcję z tego, czego dokonał, nadejdzie po wylądowaniu na Marsie. O ile nie pojawi się żadne nowe, wymagające natychmiastowej reakcji problemy.

Na Ziemi załoga ćwiczyła lądowanie w znacznie potężniejszej maszynie, przystosowanej do silniejszego przyciśnięcia oraz gęstej atmosfery; trening odbywał się również na Księżycu, gdzie przyciśnięcie było znacznie słabsze niż na Ziemi, a atmosfera praktycznie nie istniała. Tutaj jednak powłoka gazowa, choć rzadka, stanowiła znaczący czynnik. Niemniej lądowanie na Marsie zostało rozpracowane teoretycznie i członkowie ekspedycji ćwiczyli je wielokrotnie w warunkach symulacji, tak więc nie spodziewano się żadnych kłopotów.

Przez cztery dni załoga Ariesa czekała, aż wiatr się uspokoi. Wreszcie, zarówno wysoko przepływające chmury lodowe, jak i unoszące się nad gruntem obłoki pyłu, zaczęły opadać. Pod dnem statku sunęło już tylko kilka rzadkich cirrusów i nic nie wskazywało na to, żeby warunki panujące na powierzchni planety miały sprawić badaczom jakiegokolwiek trudności.

Czerwony glob stawał się coraz większy. Szczyt wulkanu Olympus Mons, zajmującego powierzchnię równą obszarowi stanu Nowy Meksyk i wysokiego na piętnaście i pół mili, zniknął z pola widzenia.

Pasma gór Tharsis, przypominające wyglądem grzbiet olbrzymiego dinozaura, pokryte płytami kostnymi - zdawało się rozszerzać, po czym również zniknęło.

Rów tektoniczny o nazwie Tithonus Chasma, mający ponad czterdzieści sześć mil szerokości i kilka mil głębokości, stanowiący część zespołu kanionów Yallis Marineris, rozwierał się z każdą chwilą.

Na dwadzieścia sekund pochłonęła ich biel, jak gdyby przechodzili przez długi i gęsty obłok lodowy. Na wschodzie zaległa ciemność. Marsjański zmierzch nadciągał

niemal w takim tempie, jak to bywało na Ziemi. Ciemność i straszliwy chłód wypełniły przestworza w okamgnieniu. Nie znaczy to wcale, że na powierzchni było ciepło. Gdy wylądujesz, zetkniesz się z temperaturą bliższą dwudziestu stopni Celsjusza.

Orme skierował ładownik na zachód, ponieważ przed atmosferyczny zaczął ich znosić w przeciwną stronę. Ustalił cięg silników tak, aby zrównoważyć siłę wiatru.

Barsoom schodził coraz niżej. Orme zauważył, że chociaż atmosfera stawała się gęstsza, wiatr wiał coraz słabiej. Zmniejszył cięg. Instrumenty wskazywały, że Barsoom schodzi do

lśdowania pod stałym kštem. Linia prosta wyznaczała miejsce lśdowania na dnie Tithonius Chasma.

Orme systematycznie przekazywał dane, tworząc w ten sposób komentarz do transmitowanego za sprawš nadajnika obrazu powierzchni Marsa.

Zaczęli pogrżać się w rozpadlinie jak w gardzieli. Olbrzymie kratery wulkanów zniknęły z pola widzenia. Po chwili statek był już poniżej krawędzi przepa□ci.

Wciř o□wietlały ich ostatnie promienie słońca.

Orme spoglśdał od czasu do czasu przez luk. Metaliczny połysk obiektu, którego fragment wystawał spod stosu kamieni, przykuwał jego uwagę. Wiatr był słaby, co ułatwiało Orme'owi zadanie,

Bronski z wrażenia zapomniał się i zamiast po angielsku zaczął mówić w swoim ojczystym języku, czyli po polsku. Francuskiego nauczył się dopiero w wieku lat dziesięciu, gdy jego rodzice uciekli do Szwecji, a stamtśd do Paryża. Po chwili zreflektował się.

- To rzeczywi□cie sztuczny obiekt! Statek! - wykrzyknł.

Orme pomy□łał, że należało najpierw dowie□ć, iż był to statek kosmiczny, nie miał jednak czasu na dyskusje. Poza tym przeczuwał, że Bronski ma rację.

Ładownik stanł pewnie na swych sze□ciu teleskopowych podpórkach, które ugięły się nieco, amortyzując wstrzśś. Kapitan wyłszył silnik. Przez chwilę siedział

bez ruchu, wczuwając się w słabe marsjańskie przyciřganie i wsłuchując się w ciszę.

- Marsjanie. Oto jeste□my! - powiedział po chwili z dumš.

Przygotował kilka krótkich mów - mniej lub bardziej patetycznych - ostatecznie jednak postanowił dać sobie z tym spokój. Powie to, co przyjdzie mu do głowy.

Ciszę przerwał głos Danton.

- Gratuluję, kapitanie.

Tymczasem Bronski objł go niespodziewanie ramieniem i ryknł] mu do ucha.

- Na Boga, udało nam się!

- A jakże, ON też na pewno jest z nami - powiedział Orme i naprawdę tak sđdził.

- Nawet je□li to miejsce wyglśda jak pracownia diabła.

2.

Kapitan odpił pasy i powoli wstał z miejsca. Pamiętał, że tutejsze przyciřganie nie mogło równać się z ziemskim. Spojrzał przez luk i w kilku słowach opisał to, co zobaczył. Ładownik stał w odległ□ci kilometra od osuwiska skalnego. Spoczł

na dnie kanionu, w miejscu, które dostrzegli już wcze□niej z pokładu Ariesa.

Było ono wyjątkowe, jak gdyby uprzśtnięto stśd głazy i skalny miał. Stanł na skale, którą wiatr oczy□cił z wszelkiego pyłu. Przez górny luk widać było niebo - jasny błękit powleczonej kilkoma pasmami bieli. W stronę przybyszów zbliżała się sonda RED H, która jako pierwsza zarejestrowała dwie pierwsze litery na drzwiach tunelu. To Danton poleciła jej skierować się do ładownika i obrazy wysiadających z niego marsonautów przekazać na Ariesa, skśd miały być, za pośrednictwem satelity, przetransmitowane na Ziemię.

Dwa i pół kilometra za sondš znajdował się tunel. Orme i Bronski wzięli się do roboty. Po włożeniu skafandrów i hełmów oraz sprawdzeniu ich weszli do ciasnej komory dekompresyjnej, zamykając za sobą właz prowadzący do wnętrza ładownika.

Kapitan ustawił wska□nik na pořdanej warto□ci i nacisł guzik. Po trzech minutach ci□nienie w komorze zrównoważyło się z tym na zewnřtrz. Orme otworzył

właz i rozłżył metalowš drabinkę. Mógł, co prawda, z łatwo□ciš zeskoczyć, jako że

grunt znajdował się cztery i pół metra pod nim, było to jednak zabronione.

Nie wolno im było podejmować nawet najmniejszego ryzyka.

Zszedł na dół po drabince i rozejrzał się wokoło. Poczul zawrót głowy, lecz wcale nie wywołało go mniejsze przyciśnięcie. On, Richard Orme, czarnoskóry Kanadyjczyk, zrobił pierwszy krok na powierzchni Czerwonej Planety. Cokolwiek by się miało jeszcze wydarzyć, on przeszedł już do historii jako pierwszy człowiek na Marsie. Sonda - przypominająca z wyglądu dużego metalowego owada - cały czas przekazywała relację z tego wiekopomnego wydarzenia. On, Richard Orme, jako pierwszy Ziemianin postawił stopę na prastarych skałach obcej planety.

- Kolumbie, szkoda, że cię tu nie ma! - powiedział, zdając sobie sprawę z tego, że po upływie niecałych dwunastu minut miliardy ludzi usłyszą jego słowa. Nie zwerbalizował jednak swojej następnej myśli: "Narobiłby w portki z wrażenia!"

Starodawny podróżnik nie mógłby nawet "nić o czym" takim.

"Przebyli"my szmat drogi przez te pięćset dwadzie"cia trzy lata! - dodał, nie wdając się w szczegóły. Na Ziemi jest dostatecznie wielu ludzi, którzy zrozumieją, co miał na myśli, i wyja"niś to telewizjom.

Bronski zszedł po drabince jako drugi. Przez chwilę rozglądał się po okolicy, po czym przywołany gestem przez Orme'a podszedł do niego, aby pomóc mu w pracy. Ze skrytki w kadłubie ładownika wyjęli linę, wiertarkę i sonar, dzięki któremu przekonali się wnet, iż grubo"ć skalnego podłoża wystarczy do zakotwiczenia.

Bronski wwiertcił się w bazalt, a następnie odłączył wiertarkę od "ródła zasilania. Do wystającej ponad powierzchnię czę"ci urządzenia przytwierdzony był

jeden z końców liny. Orme przygotował cement i wlał go w wyborowany otwór z zamiarem unieruchomienia wiertarki. Czekając, aż szybko schnący materiał

stwardnieje, podeszli do metalowego obiektu połyskującego srebrzy"cie spod skalnych odłamów. Orme nie mógł wyj"ć z podziwu. Je"li miał przed sobą pojazd kosmiczny, a tak z pewno"ciś było, to jego rozmiary musiały odpowiadać wielko"ci dawnego statku pasażerskiego, na przykład Queen Mary albo sterowca, jak choćby Hindenburg. Ktokolwiek go skonstruował, musiał dysponować "ródłami energii nieznanymi na Ziemi. Aby wzbić tego potwora w przestworza, poprowadzić go w przestrzeni międzygwiazdnej i wylądować tutaj, potrzebna była moc, którą strach było sobie wyobrazić.

De czasu przeleżał na dnie tego olbrzymiego kanionu? Z pewno"ciś wystarczająco długo, aby skalny miał opadający z wietrzejszych "cian przykrył go w cało"ci: a potem jaka" siła, być może bardzo mocne wiatry wiejące przez długi czas, odkryły z kolei ten fragment jego powłoki.

Możliwe jednak, że ów segment nigdy nie był zakryty. Satelita zwiadowczy fotografował to miejsce wielokrotnie, lecz żaden z areografów nic nie zauważył, zanim Lackley, ten Australijczyk, nie objawił swoich "przeczuć".

Niewykluczone też, że jakie" istoty zaczęły odkopywać wehikuł, lecz co" przerwało ich pracę. Orme aż się wzdrygnął na tę myśl. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Mimo woli zerknął za siebie. Rzecz jasna, żadna grupa Marsjan nie zachodziła go bezgło"nie od tyłu. Roze"miał się.

- Co cię tak bawi? - zapytał go Bronski.

- Nic szczególnego. Za"miałem się, bo... zresztą, nieważne. Może z rado"ci.

Chod" i wyjmij zestaw.

Odwrócił się plecami do Bronskiego, żeby ten mógł wydobyć z przypiętego do nich cylindra niewielką skrzynkę. Było to mini-laboratorium, służące do przeprowadzania testów fizyko-chemicznych. Bronski postawił skrzynkę na ziemi i otworzył pokrywę. Następnie obaj z Orme'em przeprowadzili wszystkie niezbędne badania. Sprawno"ć w ich wykonaniu

zawdzięczali długim ćwiczeniom. Gdy skończyli, Orme przekazał swój raport.

- Drzwi są chyba metalowe. Jak słyszycie w audiometrze, przestrzeń za nimi jest pusta. Uderzone stalowym młotkiem wydają metaliczny dźwięk. Nawet diamentem nie sposób ich zarysować. Kwas azotowy nie zostawia na nich żadnego śladu. Nie chcę używać lasera, ponieważ dostęp powietrza mógłby - przy założeniu, że w środku cokolwiek jest - spowodować nieodwracalne uszkodzenia. Nie wiem, z jakiego materiału je wykonano; w każdym razie ziemskiej nauce jest on nieznan.

Bronski włożył skrzynkę z powrotem do cylindra. Obaj mężczyźni zawrócili w stronę ładownika. Cement już stwardniał. Tutaj, gdzie ciśnienie atmosferyczne było równe panującemu na wysokości dziesięciu mil nad powierzchnią Ziemi, wilgoć ulatniała się szybko.

Orme, przy pomocy małego kołowrotka, mocno naciągnął luźną linę. Teraz nawet wiatr wiejący z prędkością dwustu pięćdziesięciu mil na godzinę - co zresztą nie było prawdopodobne na dnie kanionu - nie zdoła ruszyć ładownika z miejsca.

Nadir Shirazi, który w tej chwili zastępował Danton, zapytał: - Jak się czujecie? Czy chcecie odpocząć przed wejściem do tunelu?

- Jestem zbyt podekscytowany, aby zwlekać - odpowiedział Bronski. - Wolałbym wyruszyć już teraz.

Ze schowka, w którym trzymali przedmioty użyte do zakotwiczenia, wyjęli aluminiową teleskopową drabinę oraz skrzynkę materiałów wybuchowych. Podeszli do wlotu tunelu. Skrzynkę niósł Orme. Robot podszedł za nimi. Jego kamery przekazywały obraz dwójgu ludziom na pokładzie Ariesa oraz miliardom na Ziemi.

Kapitan postawił pakunek i otworzył go. Bronski opuszczył drabinę do tunelu.

Używając silnej lampy, Orme oświetlił wnętrze korytarza. Na lewo od obu mężczyzn stał robot. Skierował swe czujniki tam, gdzie padał blask.

Orme oglądał już wielokrotnie wnętrze tunelu, korzystając z uprzejmego robota.

Teraz jednak, kiedy widział je wreszcie na własne oczy, poczuł taki sam dreszcz, jak wtedy, gdy zobaczył je po raz pierwszy w laboratorium, w Houston.

Na końcu korytarza spostrzegli stos ułożony z kamieni. Pochodziły zapewne z zawalonego sklepienia. Za nimi kryły się prawdopodobnie następne drzwi. Odłamki skalne, małe i duże, zalegały zresztą całe podłogę w tunelu. Drzwi w jego drugim końcu były również częściowo zasypane. Wszystko pokrywał czerwony pył, lecz zalegał cienki warstw, toteż nasuwał się wniosek, że sklepienie uległo zniszczeniu stosunkowo niedawno.

Cóż mogło spowodować jego zapadnięcie? Nikt nie potrafił przedstawić wiarygodnej teorii. Tunel znajdował się zbyt daleko od urwiska, aby mogła runąć na niego lawina kamieni. Poza tym ani w tunelu, ani w jego okolicy nie było żadnych wielkich odprysków. Co prawda niedaleko leżało kilka potężnych głazów, musiały zostać jednak przyniesione przez wodę z odległej przeszłości.

Jeden z naukowców wysunął hipotezę, że sklepienie zostało strzaskane przez niewielki meteoryt. Jednakże wokół nie dostrzeżono najmniejszego nawet krateru.

Byłby to zresztą niezwykle rzadki zjawisko, jak upadek meteorytu, wydarzyłoby się akurat w tym miejscu, ujawniając to, co w przeciwnym razie nigdy nie zostałoby odkryte.

Orme skierował snop światła na pomarańczowe litery widniejące na czarnej, matowej powierzchni drzwi. Były to wielkie litery T i II. Czy jednak ten, kto je tu umieścił, musiał znać grekę? Czyż te znaki nie były na tyle proste, że mogły ich używać również inne istoty rozumne? Symbole Tau i Omega mogły przyjąć do głowy

każdemu, kto zamierzał stworzyć alfabet O ile owe znaki rzeczywiście stanowiły litery

alfabetu. Równie dobrze mogły to być litery pisma sylabicznego lub ideogramy podobne do tych, jakich używali Chińczycy, a nawet symbole arytmetyczne.

Orme gestem nakazał Bronskiemu, aby zszedł po drabinie w dół. Skoro nie mógł być pierwszym człowiekiem, który stanął na powierzchni Marsa, niech chociaż będzie tym, który pierwszy dotknie stopa dna tego tunelu.

Robot znajdował się przy samym wejściu. Jedna z jego kamer skierowana była na Orme'a, druga wodziła za Francuzem. Gdy Orme spostrzegł, że Bronski zszedł już z drabiny, rzucił mu skrzynkę. Francuz złapał ją z łatwością, Wkrótce kapitan dołączył do Bronskiego. Francuz wdrapał się na niewielki stos gruzu, aby lepiej przyjrzeć się drzwicom. Orme podniósł kamień, mniej więcej wielkości swej głowy, i wyrzucił go z tunelu, upewniając się przedtem, że nie uderzy w sondę. Bronski zszedł z usypiska, aby mu pomóc. Po około pięciu minutach drzwi zostały odsłonięte. W świetle lampy ustawionej na skale Bronski ponownie sięgnął do cylindrycznego pojemnika przytroczonego do pleców Orme'a.

Testy wykazały, że drzwi wykonano ze stali.

- Są bardzo szczelne - powiedział kapitan. - Z pewnościami jest to izolacja zapobiegająca uchodzeniu powietrza. Przypuszczalnie zamontowano ją na wypadek tego, co faktycznie miało miejsce, to jest zaważenia się części tunelu.

W przeciwieństwie do tego, co uważali za pancierz statku kosmicznego, drzwi były znacznej grubości. Uderzenie młotkiem wywołało głuchy odgłos.

- Moglibyśmy je wysadzić - powiedział Orme - ale myślałem, że lepiej będzie wyjść na powierzchnię i dostać się do następnego odcinka tunelu z góry.

Wyszli zatem i wrócili do ładowni. Orme zaczął odczuwać zmęczenie, co powinno oznaczać, że Bronski ma już dość. Murzyn miał tylko pięć stóp i osiem cali wzrostu, lecz był nadzwyczaj mocno zbudowany. Na Ziemi ważył sto dziewięćdziesiąt funtów, bez odrobiny zbyt ciężkiego tłuszczu. Szczupły Bronski poruszał się szybko, lecz nie mógł nadziżyć za swym kapitanem.

Orme zaproponował, aby zjedli coś i odpoczęli trochę, a może nawet przespali się chwilę, lecz Francuz odmówił.

- Wciąż jestem naładowany - powiedział.

Jednakże Carter, ze swojego stanowiska dowodzenia w Houston, rozkazał im podłączyć aparaturę kontrolną i odczytawszy wskaźniki, rzekł: - Musicie naładować baterie, chłopa. Jesteście naprawdę wykończeni.

Zanim wiadomość nadeszła, zdążyli skończyć posiłek. Następnie przez godzinę odpoczywali na rozłożonych fotelach. Orme skoncentrował się, aby wywołać w mózgu rytm alfa, co zazwyczaj ułatwiało zasypianie, lecz i tak, jak pokazywały monitory, zajęło mu to dwadzieścia minut. Mógłby przysiąc, że nie spał ani przez chwilę.

Dwadzieścia minut później ponownie znaleźli się u wejścia do tunelu. W odległości osiemnastu cali od drzwi Orme, posługując się wiertarką laserową, wyciął niewielki otwór w sklepieniu. Gdy przebił się na drugą stronę, eksplozja uwięzionego w środku powietrza wyrzuciła narzędzie w górę. Spodziewając się tego, Orme odsunął się na bok, lecz i tak o mały włos wiertarka nie wypadła mu z ręki.

Wziął się natychmiast do roboty. Wywiercił pięć dalszych otworów, tworząc krąg o średnicy trzech stóp. Mógłby je połączyć, wycinając całe bryłę przy pomocy lasera, musiał jednak oszczędzać energię. Umieścił więc w otworach ładunki gelignitu i zdetonował je z odległości przy użyciu baterii. Okręga skalna płytka wyleciała w górę wśród dymu i deszczu odłamków. Wzniosły się wyżej, niż miałyby to miejsce na rodzinnej planecie mężczyzny. Dym rozwił się łatwiej, a pył opadł szybciej.

- Jeśli jest tam automatyczny system zamykający i jeśli nadal działa, to drzwi na końcu tego odcinka zatrzasną się - powiedział Orme. - Będziemy musieli je otworzyć, lecz wtedy zamkną się drzwi w następnym przedziale. Brak nam materiałów wybuchowych i przyrządów, aby przebić się przez kilka takich przegród. Jeżeli tunel biegnie w linii prostej, musiał prowadzić do wąskiego kanionu i może dalej, w głąb. Było coraz chłodniej, jednak marsjanci czuli się całkiem dobrze w swoich skafandrach, choć były one niezgrabne i obciążone znacznym ekwipunkiem.

Wewnątrz

znajdował się pojemnik z wodą, którą mogli ssać przez rurkę, pochylając nieco głowę ku jednemu z boków. Została im jeszcze połowa zapasu. Zbiornik na mocz przytwierdzony był z przodu jednej z nóg.

Mimo to John Carter rozkazał im na noc przerwać pracę - ale dopiero po tym, jak ustalą, czy tunel ma dalszy ciąg pod wąskim kanionem.

- Pracując za dnia, zaoszczędzicie baterie w waszych lampach. Poza tym będziemy mogli was uważniej obserwować.

Kapitan nie był zadowolony, lecz musiał się podporządkować. Po wysłaniu potwierdzenia, że tunel istotnie prowadzi w głąb skalnej wąskiej, powiedział

Bronskiemu, że musi wracać.

- Jutro powrócimy na to cały dzień. Będziemy wypoczęci. Łądowanie naprawdę nas wyczerpało. Mimo że ćwiczyliśmy przez cały czas lotu Ariosa, nie jesteśmy w pełni formy. Nieważko to podstępna bestia. Osłabia organizm, gdy spędza się w niej dłuższy czas.

- Jasne - odrzekł Bronski. Jego ton wskazywał, że wiedział o tym i Orme wiedział, że on wie. Lepiej jednak było powtarzać w kółko te same banały, niż wsłuchiwać się w ciszę.

Pojawiły się już gwiazdy. Świeciły tu jaśniej aniżeli poprzez gęstszą atmosferę Ziemi. Przebywali na dnie kanionu, co dawało podobny efekt, jak gdyby znaleźli się w studni. Gwiazdy wyglądały złowrogo. Mogłoby się wydawać, że nie podobała im się obecność tych dwóch intruzów.

Orme zdawał sobie sprawę z tego, że to zmęczenie daje znać o sobie. Pomiędzy gigantycznymi wąskimi kanionami wrażenie, że istoty żyjące gdzieś w dole mogą okazać się niebezpieczne, zdawało się potęgować. Nie wiedział, co prawda, dlaczego miałyby tak być, skoro mieszkańcy Ziemi nie stanowili żadnego zagrożenia dla Marsjan - jeśli oni w ogóle istnieli. Nie potrafił też znaleźć żadnego powodu, dla którego mieliby oni uznać dwóch przybyszów za wrogów.

Jednakże pogrzebany w rumowisku statek był tworem bardzo zaawansowanej techniki, a tunel najprawdopodobniej świadczył o tym, że ci, którzy przybyli tym pojazdem, ukryli się pod powierzchnią Marsa. Jeśli zdołali tam przeżyć, dlaczego nie wyszli na

zewnątrz, aby usunąć uszkodzenia? Musieli przecież przebywać tu od dawna. O ile statek rzeczywiście uległ awarii.

Nie było sensu zaprzętać sobie tym zbytnio głowy. Jutro, pojutrze albo za tydzień czy dwa poznają odpowiedzi na wszystkie te pytania.

Orme cieszył się jednak, że znalazł się z powrotem w ładowniku. Choć nie był to najwygodniejszy ani najbardziej przestronny z domów, stanowił jednak, w pewnym sensie, czystkę Ziemi. Mężczyzna zasnął z łatwością, lecz w środku nocy obudził

się nagle. Wydało mu się, że słyszy jakieś stukanie w podwójny pancerz ładownika. Zerwał się i spojrzął przez luk, lecz nie dostrzegł nic oprócz ogarniającej wszystko ciemności. Jedynie gwiazdy migotały wciąż ponad kanionem.

Sonda była zaledwie niewyraźnym kształtem. Gdyby nie wiedział, że tam jest, wsiadłby ją za głaz.

Gdy tak patrzył w tamtą stronę, ujrzał nagle snop światła, który padł na tunel, a następnie podniósł się w górę, zataczając koło. Po dwóch minutach reflektor zgasł. Co godzina, zgodnie z poleceniem Danton, sonda ożywała i omiatała okolicę wiżką światła widzialnego, podczerwieni i fal radarowych. Jeśli cokolwiek w promieniu kilku mil by się poruszyło, w ładowniku i na Ariecie nastąpiłby alarm.

Resztę nocy Orme przespał bez problemów. Na dźwięk budzika, włączonego drogą radiową z Ariesa, oprzytomniał natychmiast. Wciąż jeszcze było ciemno, lecz powoli niebo ponad kanionem zaczynało się przejaśniać. Po złożeniu niezbędnych raportów, sprawdzeniu ekwipunku i zjedzeniu śniadania wyszli z Bronskim na zewnątrz. Gdy zbliżyli się do jednej ze ścian, ujrzeni fragment szarego poszycia wystającego spod gruzu. Jeśli tunel skończy się nagle, zaczęli odkopywać statek spod głazów. Gdyby po wielu dniach pracy nie odnaleźli luku czy innego sposobu na łatwe dostanie się do środka, spróbuj się utworować sobie drogę przy pomocy lasera.

Na Ziemi usunięcie tych głazów - a niektóre z nich miały imponujące rozmiary - byłoby niemożliwe bez użycia dźwięku lub dużej ilości materiału wybuchowego.

Tutaj dwóch mężczyzn powinno podnieść każdy z kamieni, które tworzyły stosy. W razie czego Shirazi i Danton mogli przybyć im z pomocą.

Gdy Orme przechodził obok robota, pomachał do niego ręką. Chód tamten wyglądał jak Marsjanin z filmu sciencefiction, to jednak miał w sobie coś swojskiego, budził więc zaufanie. Bądź co bądź pozwalał utrzymywać więź z ojczyzną planetą.

Kapitan obejrzał się. Robot podszedł za nim jak pies za panem. Danton, która pełniła dyżur, rozkazała mu, aby im towarzyszył. Gdy zeszli razem z Bronskim do tunelu przez otwór, który wykonali poprzedniego dnia, robot wsunął za nimi swoje giętkie ramię, na końcu którego znajdowały się reflektor i kamera. Będzie miał

oko na wszystko, aby dwójka w Ariecie i miliony ludzi na Ziemi mogły obserwować ich postępy - lub brak takowych.

Orme pokręcił głową. Ponure myśli kłębiły się w jego głowie. Zawsze sądził, że jest tak wielkim optymistą, jak tylko można być, wciąż pozostając normalnym. W

każdym jednak kryją się mroczne pokłady, których nie zdołaj odkryć nawet najdoskonalsze testy psychologiczne. Tkwią one tak głęboko, że nawet własciciel nie ma o nich pojęcia, zanim sprzyjające okoliczności nie wydobędą ich na wierzch. Właśnie zaistniała jedna z takich okoliczności. Orme nie zamierzał

jednak pozwolić, aby ów nastrój nad nim zapanował. Gdy tylko zabierze się do roboty, na pewno mu przejdzie.

Kapitan, który szedł przodem, znalazł się już niemal na wyciągnięcie ręki od drzwi, za którymi - jak się spodziewali - miał się znajdować następny odcinek tunelu. Gdyby stał choćby o krok bliżej, zostałby zwalony z nóg, być może doznałby ciężkich obrażeń lub nawet stracił życie, bowiem nagle drzwi otworzyły się z impetem.

Wyglądało to tak, jakby w sąsiednim pomieszczeniu nastąpiła eksplozja. Fala uderzeniowa uniosła Orme'a w górę i obróciła go o sto osiemdziesiąt stopni.

Zdołał tylko dostrzec światło i niewyraźny kształt jakiejś kopulastej maszyny, po czym runął na ziemię.

Oszołomiony leżał bez ruchu przez minutę lub dłużej. Nie wiedział, gdzie się dokładnie znajduje, ani nawet kim jest. Zanim odzyskał panowanie nad zmysłami, ujęli go jacyś osobnicy w skafandrach. Ich twarze były ukryte pod maskami hełmów. Byli przeciętnego dla ludzi wzrostu, mieli dwie ręce, dwie nogi i po pięć palców u dłoni. Dwóch z nich uniosło Orme'a i powlokło go w stronę wielkiej maszyny na kołach.

Danton lamentowała Orme'owi prosto w ucho: - Co się dzieje, Richard? Richard?! Słyszysz mnie? □Widzisz mnie, prawda?" -

pomy□łał, gdy zaczął wracać do siebie. Przez minutę jednak nie odpowiadał.

Wreszcie wymamrotał:

- Nic mi nie jest. To co□... tak jakby ludzie...

Został wepchnięty przez otwarte drzwi pojazdu i brutalnie umieszczony w fotelu.

Poczuł, że zapinają mu co□ na piersi. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest to metalowa ta□ma, która krępuje mu ramiona.

Następnie wciśnięto opierającego się Bronskiego i posadzono go przed Orme'em.

Oprócz foteli ustawionych rzędem wzdłuż pojazdu, na przedzie, obok deski rozdzielczej, znajdowały się dwa siedzenia. Było tam miejsce dla kierowcy oraz jeszcze jednej osoby.

Półokręglą przednią szybą umożliwiało obserwowanie pola w zakresie stu pięćdziesięciu stopni, dzięki czemu Orme mógł obserwować poczynania niektórych napastników.

- Madeleine, oni umieszczają w poprzek tunelu sze□ć metalowych prętów -

relacjonował. - Teraz dołączają do poziomych sze□ć takich samych pionowych. Tak jakby je przyklejali. W tej chwili... przyklejają do nich siatkę.

Ramię robota wciśz pozostawało w otworze, jednak poprzez gęstš siatkę było ledwie widoczne.

- Co□ na tej siatce rozpylają. Wydaje mi się, że instalują co□ w rodzaju prowizorycznej zapory, aby móc z powrotem wpompować powietrze do tej czę□ci korytarza. Czy słyszysz mnie, Madeleine?

Nie było odpowiedzi. Przegroda blokowała również fale radiowe.

Robotnicy podeszli do tyłu pojazdu, gdzie -jak Orme przypuszczał - schowali narzędzia. Następnie wdrapali się do □rodka i zajęli swoje miejsca. Zamknięto drzwi. Maszyna zawróciła i skierowała się ku następnym drzwiom, gdzie czekali około dziesięciu minut. Gdy zostały otwarte i pojazd ruszył ponownie, mogli podziwiać kolejny odcinek korytarza, różniący się od poprzednich jedynie tym, że pod sklepieniem były zainstalowane □wiatła.

Orme pomy□łał, że Nadir i Madeleine musieli włą□nie zacząć odchodzić od zmysłów.

Również na Ziemi, gdzie wkrótce dotrš pierwsze obrazy oraz nagrania jego głosu, ludzi ogarnie szaleństwo.

- Boże spraw... aby oni... byli przyja□nie nastawieni - powiedział. - I aby przychodzili od Ciebie.

3.

- Możliwe, że to najbardziej luksusowa cela więzienna w całym układzie słonecznym - rzekł Bronski.

Znajdowali się w czteropokojowym, wykutym w skale apartamencie, wysoko na jednej ze □cian gigantycznej groty. Pomieszczenia wyłożone były jasnym, czerwono-brązowym tworzywem imitującym drewno. Kamienny sufit pokryty był

malowidłami przedstawiającymi zwierzęta domowe. Nie mogli dopatrzeć się na nich żadnych □Marsjan". Podobnie jak na zdobiących □ciany, oprawionych w ramy obrazach.

Wisały tam dzieła abstrakcyjne, martwe natury, wizerunki budynków oraz stworzeń, które albo istniały tu naprawdę, albo □ co bardziej prawdopodobne □ miały charakter mitologiczny.

Niektóre z nich przywodziły na my□l smoki. Na jednym z płócien widniało monstrum przypominające wieloryba o siedmiu rogach, wynurzające się z morskich fal.

Bronski miał oczywiście swójš prywatną hipotezę. Wyraził przekonanie, że

obowiążujące tu wcześniej prawo, które zakazywało przedstawienia istot żywych na obrazach, w rzeźbach czy jakichkolwiek innych formach sztuki, zostało złagodzone; przypuszczał jednak, że wyobrażanie istot rozumnych było nadal zabronione.

- Jednakże nie w łączności holograficznej - dodał. - Poza tym, ponieważ ich wiedza medyczna wydaje się bardzo zaawansowana, muszę pokazywać ciało ludzkie w podręcznikach czy też sporządzać kopie narządów na użytek studentów i tak dalej.

Nie mam zielonego pojęcia, czy stosuj sekcję zwłok.

Holograficzne telewizory w ich apartamencie można było nastawić tak, aby podawały dokładny czas. Po trzech dniach uwięzienia Orme i Bronski nauczyli się cyfr w stopniu wystarczającym, aby zrozumieć cały system. Bronski, który na Ziemi był nie tylko czołowym areografikiem, lecz również znanym poliglotą, opanował słowa odpowiadające poszczególnym symbolom. Nastawili własne chronometry na czas lokalny. Nie wybierali się jednak nigdzie w najbliższej przyszłości, czas nie był więc dla nich zbyt istotny.

Jedną z niewielu rzeczy, które zdołali ustalić, był fakt, że tau / omega na drzwiach tunelu nie pochodziły z greki. Co prawda niektórzy tutaj znali ten język, lecz symbole arytmetyczne używane w telewizji wywodziły się z miejsca bez wstąpienia odległego od Ziemi.

Orme wstał z krzesła i podszedł do Bronskiego, aby wraz z nim podziwiać panoramę, która-choć była im już dobrze znana - nadal ich urzała. Więzienie znajdowało się na wysokościach mniej więcej trzydziestu metrów. Podstawa ściany przeciwległej była oddalona, jak oceniali, jakieś trzydzieści pięć mil.

Szczytowy punkt tej bazaltowej kopuły zdawał się znajdować na wysokościach dwu i pół kilometra.

Z miejsca, w którym stali, mogli dostrzec siedem olbrzymich bram w kształcie podkowy oraz dwadzieścia jeden mniejszych. Musiały dawać pocztek korytarzom wiodącym do innych, podobnych jaskiń. Ścisnęli, że ta, w której się znaleźli, stanowi jedynie fragment ogromnego podziemnego kompleksu.

Wszędzie, poza podstawą kopuły, kamień był błękitny jak niebo. Nie był to naturalny kolor bazaltu, skała musiała więc zostać pomalowana lub przeobrażona w jakiś inny sposób. Niezależnie od tego, jaką metodą zastosowano, kopuła przypominała do złudzenia niebo nad Ziemią w bezchmurny dzień.

Około trzydziestu metrów poniżej zwieńczenia groty była zawieszona jasna jak słońce kula. O godzinie 17.30 zaczynała przygasać. Pół godziny później świeciła już tak słabo, jak gdyby słońce było zastępowane przez księżyc. To było jedyne światło - nie licząc tego, które padało z okien domów - jakie rozjaśniało wnętrze kopuły aż do 6.00, gdy "słońce" zaczynało żarzyć się na nowo.

Nic nie wskazywało na to, żeby niewielki obiekt był zawieszony na linie. Co prawda silny blask utrudniał obserwację, jednak jeśli faktycznie nie było żadnej liny, oznaczało to, że obiekt podtrzymywany był w górze przez jakieś urządzenie antygravitacyjne. Do tej pory Orme i Bronski uważali, że antygravitacja jest możliwa jedynie w powieści sciencefiction, chyba że należało uznać za urządzenia antygravitacyjne schody, drabiny, windy, balony, sterowce, samoloty i rakiety.

Jak dotąd "słońce" było jedynym zaobserwowanym przez nich ciałem unoszącym się samoistnie w powietrzu. Ludzie, których

udało im się dostrzec, poruszali się na piechotę, konno, względnie jeździli zaprzęgniętymi w konie wozami lub dorożkami, a także rowerami oraz nielicznymi pojazdami silnikowymi.

Dno jaskini nie było ani płaskie, ani też wypukłe tak, aby utworzyć horyzont.

Było natomiast lekko wklęsłe. Od środka wznosiło się łagodnie we wszystkich

kierunkach. Z otworów u podstawy ścian wypływała woda, tworząc kręte strumyki, potoki i wreszcie zlewała się w dwie rzeki, które miały około tysiąca dwustu metrów szerokości. Rzeki kierowały swe wody do znajdującego się w centrum jaskini jeziora, przypominającego kształtem ułożoną poziomo klepsydrę. Miało ono osiemset metrów szerokości w najszerszych miejscach i trzy i pół kilometra długości.

Wszędzie widać było pola uprawne, parki, a nawet niewielkie lasy. Gdziekolwiek spojrzą zieleni wynurzały się wioski. Jedyne stodoły wznosiły się wyżej niż na dwa piętra. Każdą ludzką siedzibę otaczało rozległe podwórze, a ponadto w pobliżu zawsze znajdował się ogród. Niektóre z budynków wyglądały na szkoły.

Każda z wiosek miała stadion, na którym odbywały się zawody lekkoatletyczne, wyścigi konne oraz mecze różnych gier zespołowych. Jedna z nich bardzo przypominała piłkę nożną, a inna stanowiła chyba jakąś odmianę koszykówki. Nie brakowało także publicznych basenów, choć na prywatnych posesjach nie było ich w ogóle.

Przez lornetkę, którą dał im Hfathon - jeden z tych, którzy ich pojмали - mogli przyjrzeć się wielu rzeczom, które inaczej widzieliby bardzo niewyraźnie albo wcale. Gdyby gdziekolwiek znajdowały się wysokie budynki, z pewnością ciś byłiby w stanie je dostrzec z uwagi na krzywiznę podłoża.

Dwupasmowe drogi łączyły ze sobą osiedla i farmy. Orme i Bronski nie widzieli żadnych ciężarówek, za to sporo zaprzęzonych w konie wozów załadowanych produktami rolnymi.

Blisko jeziora znajdował się niski, parterowy budynek, do którego o godzinie 8.00 wchodziły rzesze ludzi. Po południu wychodzili, aby urządzić piknik w parku lub popływać w jeziorze. Godzinę później wracali do budynku, a o 14.00

opuszczali go ostatecznie. Większość z nich mieszkała w domach położonych w promieniu półtora kilometra, inni jednak przemieszczali się na rowerach lub konno do bardziej odległych miejsc.

Bronski sądził, że w tym budynku może się mieścić siedziba rządu.

- Nie sposób powiedzieć, ile pięter kryje się pod ziemią.

Naprzeciwko tej budowli, po drugiej stronie jeziora, znajdowało się coś, co było zapewne miasteczkiem akademickim. Inne domy - sądząc po liczbie osób odwiedzających je podczas szabatu - musiały być miejscami kultu.

Wszystkie budynki posiadały dachy. Orme zastanawiał się, po co, skoro cała jaskinia z pewnością była klimatyzowana. Czwartego dnia poznał odpowiedź. Przez pół godziny ze sklepienia grotu padał deszcz.

- To dlatego na farmach nie ma systemów irygacyjnych.

Więśniowie zjedli swój południowy posiłek, ustawili brudne naczynia na tacy i wysunęli przez otwór w ścianie. W chwilę później ujrzeli Marsjan zbliżających się dwoma pojazdami, które rychło zniknęły pod nawisem. Niedługo potem ujrzeli głowy pasażerów pierwszego z nich. Tuż obok więzienia przebiegała droga prowadząca pod górę, ale Marsjanie najwyraźniej woleli poruszać się piechotą, gdy tylko było to możliwe.

Jak dotąd Orme i Bronski nie mogli się uskarżać na złe traktowanie. Przebadano ich dokładnie pod każdym względem, a następnie przesłuchano. Byli przetrzymywani w zadowalających warunkach, dobrze karmieni i nie niepokoiono ich zbyt często.

Szóstka Marsjan zatrzymała się, czekając, aż przednia ściana pokoju, wykonana z nietłukącego się szkła, skryje się w szczelinie nad ich głowami. Orme wiedział, że przezroczystego materiału nie sposób stłuc, ponieważ próbował tego dokonać przy pomocy kilku krzesel, własnej obutej nogi oraz ciężkiej wazy z brązu.

Trzech spośród przybyszów należało niewątpliwie do gatunku homo sapiens. Byli bardzo

wysocy, dobrze zbudowani i ubrani w powłóczyste szaty. Dwaj byli ciemnoskórzy i mieli długie ciemne włosy i brody. Trzeci był przedstawicielem białej rasy, miał ciemnoniebieskie oczy, za□ brodę złocistobrązową. Wszyscy nosili długie kręcone pejsy.

Pozostałych trzech miało humanoidalne kształty, lecz mieszkańiec Ziemi mógł na pierwszy rzut oka rozpoznać, że pochodzi z innej planety. Mieli ponad dwa metry wzrostu, co nie było niczym

nadzwyczajnym dla Ziemianina w roku 2015. Będąc tak wysokimi, mieli odpowiednio długie nogi i ramiona, a ponadto byli szczupli i bardzo sprawni fizycznie, dzięki czemu mogliby kandydować do najlepszych drużyn koszykarskich na Ziemi.

Posiadali po pięć palców, zakończonych długimi paznokciami, u ręk i u stóp.

Pomijając twarze, niewiele różnili się od ludzi. Ich skóra była jasnobraza, oczy niemal fioletowe, a włosy miękkie jak puch. Jeden miał czuprynę blond, drugi w kolorze tycjanowskim, trzeci za□ czarna. Ich twarze były pozbawione zarostu. Ziemianie nie wiedzieli jeszcze, czy był to efekt starannego golenia, czy też po prostu nie wyrastał im takowy. Podobnie jak towarzyszący im ludzie, nosili długie kręcone pejsy. Mieli znacznie większe uszy aniżeli normalni ludzie, o małżowinach pełnych barokowych - z punktu widzenia Ziemianina -

zawijasów. Ich potężne podbródki przypominały Orme'owi fotografie ludzi cierpiących na akromegalię. Nosi mieli również olbrzymie i wyra□nie zakrzywione, a nozdrza obwiedzione niebiesko-czarnymi liniami. Wargi wyglądałyby jak ludzkie, gdyby nie ich czarnozielone zabarwienie. Poza tymi szczegółami bardzo przypominali homo sapiens, nawet kształtem uzębienia.

Wszyscy przybysze ubrani byli w jednoczęściowe szaty z cienkiego, zwiewnego materiału. Niektóre z nich pozbawione były rękawów, inne miały małe kołnierzyki lub też dekolt w kształcie litery V. Kolory były rozmaite: od głębokiej czerni, poprzez pomarańczowy i zielony, aż do różnobarwnych pasów. Większo□ć okryć sięgała do kostek, lecz niektóre kończyły się tuż poniżej kolan. Jeden z mężczyzn miał na sobie płaszcz obszyty na obrzeżach ozdobnymi frędzlami. Na stopach mieli sandały lub koturny z odkrytymi palcami. Strój jedynej kobiety był bogato wyszywany. Wszyscy natomiast posiadali jaką□ biżuterię, pier□cienie, złote lub srebrne bransolety oraz kolczyki.

Nosili nakrycia głowy rozmaitych kształtów i rozmiarów. Jedno z nich wyglądało jak olbrzymi kapelusz kowbojski. Dwa inne przypominały trójgraniaste kapelusze z Tłiemnastego wieku - jeden przybrany był wielkim powiewającym piórem. Kobieta roztaczała wokół piżmowoi woń perfum. Miała niebieski cień na powiekach i żółtą obwódkę wokół prawego nozdrza.

Hfathon, najważniejszy spośród istot, które okre□lały się mianem Krszów, wszedł do □rodka jako pierwszy. Tuż za nim, jak przystało drugiemu rangę, wszedł Jaakob bar Abbas, który był człowiekiem. Miał wielki orli nos, masywny kark i nadzwyczaj szerokie bary. Wyglądał na czterdzie□ci pięć ziemskich lat, jeżeli jednak to, co powiedział Bronskiemu, było prawdę, miał ich sto trzydzie□ci. Pozostałymi krajanami Hfathona byli Hmindron - mężczyzna, oraz Żkisz - kobieta. Ludzie nazywali się Jirmeja ben Jochanan i Szaul ben Hebel.

Hfathon pozdrowił wię□niów, unosząc prawą rękę do góry. Dwa palce dłoni wyciągnął na kształt litery V, a kciuk ułożył do nich pod kątem prostym.

U□miechnął się, odsłaniając zęby, niebieskie od jakiego□ rodzaju gumy do żucia.

Przemówił do Jaakoba, który następnie powiedział co□ po grecku do Bronskiego.

Orme zrozumiał z tego nie więcej niż jedno słowo. Bronski - poliglota -

stwierdził, że ani aramejski, ani greka koine nie były tu w powszechnym użyciu, lecz uczeni zachowali je i władali nimi biegle. Bronski potrafił czytać w koine - grece Nowego Testamentu - z łatwo□ci, nie miał jednak wprawy w mowie.

Niemniej, gdy przysłuchujący zwracali się do nich, mógł zrozumieć większość słów.

Wiele wyrazów zostało zapożyczonych z języka krsz, ponieważ w starożytnej grece brak było - z oczywistych względów - określeń na zaawansowane pojęcia naukowe i filozoficzne. Trzeba je było wyjaśnić Bronskiemu po grecku.

Orme był zadowolony, że istniał choć jeden język zrozumiały dla obu stron. W przeciwnym razie upłynęłoby wiele tygodni, zanim zdołaliby nawiązać jakiegokolwiek porozumienie z tymi, którzy ich więzili. Danton i Shirazi też byli, w pewnym sensie, uwięzieni - na pokładzie statku. Jeżeli w ciągu trzech tygodni nie otrzymają wiadomości od swoich towarzyszy, będą zmuszeni powrócić na Ziemię.

Tak przynajmniej sądził Orme. Marsjanie mogli równie dobrze wysłać na orbitę jeden ze swych statków lub skorzystać z ich ładownika, aby pojmać tych dwoje.

Bronski pytał ich, czy tak uczynili, lecz jedyną odpowiedzią był uśmiech.

W trakcie przesłuchania Bronski tłumaczył Orme'owi niektóre z pytań.

Przez pierwsze dni byli oddzieleni od przesłuchujących przezroczystymi ścianami. Tym razem jednak Marsjanie weszli do środka. Oznaczało to, iż wszystkie przeprowadzone testy wykazały, że Ziemianie są zdrowi. Przynajmniej na ciele. Z tego, co mówił Bronski, wynikało, że Marsjanie nie są pewni ich zdrowia psychicznego, czy też raczej: statusu teologicznego.

- A więc na Ziemi lesous ho Christos jest czczony jako Syn Miłosiernego? I on sam również jest Miłosierny? Czy wszyscy podzielają tę wiarę, czy też istnieją dysydenci? - pytał Jaakob.

Patrząc w jego znużone oczy, Orme odniósł wrażenie, że wypowiedział on ostatnie zdania ze szczególną niechęcią.

Avram Bronski odrzekł:

- Jak już mówiłem, na Ziemi mieszka około czterech miliardów chrześcijan, dzieląc się oni jednak na wiele odłamów różniących się co do tego, jakś naturę miał ho Christos.

Ortodoksyjni chrześcijanie wierzą, że lesous ho Christos został

poczęty z woli Bożej przez dziewicę o imieniu Mariam. Ponadto sama Mariam została poczęta w sposób niepokalany, to znaczy, że jej matka poczęła ją bez grzechu. Tak więc, w pewnym sensie, jej matka była babką Boga.

Cała szóstka przesłuchujących wytrzeszczyła oczy. Wydali z siebie słowo, o którym nawet Orme mógł powiedzieć, że nie było greckie.

- Powinienem skonsultować się w tych sprawach z kapitanem Orme'em - rzekł

Bronski. - Chociaż czytałem wiele na temat chrześcijaństwa, nie jestem chrześcijaninem, lecz żydem. Kapitan jest chrześcijaninem, należy do sekty zwanej baptystami. To pobożny człowiek i ma znacznie większe niż ja przygotowanie do rozmowy o dogmatach wiary.

Francuz przetłumaczył Orme'owi swoją wypowiedź.

- To nieprawda - sprzeciwił się tamten. - Powiedz im, że wiesz dużo więcej na temat religioznawstwa porównawczego ode mnie. Jeżeli będziesz miał jakieś

wątpliwości w sprawie baptystów, mogę cię wesprzeć.

Jaakob przemówił po grecku z prędkością karabinu maszynowego. Bronski poprosił go, aby mówił wolniej. Tamten powiedział to samo jeszcze raz.

- Kapitanie, on mnie zapytał, jak mogę uważać się za żyda, skoro nie wierzę, że lesous był Mesjaszem. Powiedział też, że żyd nie byłby ogolony, lecz nosiłby brodę i pejsy -relacjonował Bronski. Omie był

zniecierpliwiony i zmieszany.

- Powiedz mu, że póki nie podyskutujemy na tematy religijne. Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Do diabła, nie wiemy nawet, skąd pochodzi Hfathon i jego współplemieńcy!

A choćby tego, skąd wzięli się ludzie?! Musimy też porozumieć się z Danton i Shirazim!

- To rzeczywiście ważne, ale tylko dla nas - stwierdził Bronski. - Obawiam się jednak, że dla nich najistotniejsze są kwestie religijne. Zrozum, że nie mogę ich zmusić do rozmowy o tym, co nas interesuje.

Bronski wyglądał na równie zakłopotanego jak Orme.

Murzyn wznosił ręce do góry.

- Kto by uwierzył w coś takiego.

Tym razem odezwał się Hfathon. Bronski przetłumaczył: - Chce wiedzieć, co się stało temu brązowemu człowiekowi.

- Wyjaśnij, że jestem czarny, a nie brązowy. Hfathon znów zatrajkotał zapominając się. Pozostali roześmiali się.

- Zapytał, dlaczego osoba nie rozróżniająca kolorów została wybrana na dowódcę wyprawy kosmicznej.

- Wy tłumacz mu, że "czarny" to określenie umowne. Jeśli masz kręcone włosy, wywinięte wargi i ciemnobrązową skórę, jesteś czarny. To jest... hmmm... kwestia semantyczna. A nawet polityczna. Możesz mieć proste włosy, niebieskie oczy i wąskie wargi i mimo to być czarnym. Ech, do diabła z tym! - zakończył i uczynił niecierpliwy gest.

Oto byli tutaj - pierwsi ludzie na Marsie (jak im się zdawało) - i tracili czas na dyskusje o religii i semantyce.

- Myślę, że tego nie przetłumaczę - oznajmił Bronski. - I tak mamy już niezłe zamieszanie bez zagłębiania się w tego typu kwestie.

Hfathon odezwał się ponownie.

- Mówi, że jego skóra jest tego samego koloru, co twoja, a on jest z całą pewnością ciś brązowy - przetłumaczył Bronski.

Jaakob przemówił ostrym tonem, jakby zdał sobie sprawę, że przesłuchanie zeszło na boczny tor. Bronski udzielił odpowiedzi na następne pytanie:

- Wyjaśnienie, dlaczego uważani są za żyda, zajęłoby jeszcze więcej czasu i było równie skomplikowane jak wyjaśnienie, dlaczego Orme jest czarny. Czy nie możemy przejść do pilniejszych spraw? Czy nie powiecie nam niczego o sobie? Gdy tylko zrozumiecie, skąd się tu wzięliście i dlaczego wciąż tu przebywacie -

podczas gdy wydaje się, przynajmniej mnie, że moglibyście opuścić tę planetę - będziemy mogli wrócić do pierwotnych tematów tego przesłuchania. Zorientujemy się wówczas, dlaczego jesteście tak zainteresowani naszą teologią. Czy raczej teologiami, gdyż na Ziemi istnieje ich wiele, być może nawet tysiące.

Sześciu Marsjan narodziło się ze sobą w języku, którym Hfathon określił jako język krsz. Gdy skończyli, Jaakob przemówił po grecku: - Masz prawdopodobnie rację. Wybacz nam tę, twoim zdaniem, nadmierną dociekliwość w niektórych kwestiach. Dla nas nie jest ona nadmierna. W gruncie rzeczy jest to jedyna sprawa, do której w naszym świecie przywiśzuje się jakś

wagę. Jeśli jednak mamy do czegośkolwiek dojść, musimy zacząć od rzeczy prostych i potem przejść do bardziej skomplikowanych, tak abyśmy mogli zrozumieć się nawzajem. Mam jednak kilka pytań, na które chciałbym uzyskać odpowiedź, zanim zaczniemy wzajemną edukację. Nawet jeśli wydadzisz ci się one nieistotne. Na przykład: skoro ten czarny człowiek jest uczniem Chrystusa i w związku z tym żydem, to dlaczego nie jest Żydem? Czy goj mógłby być obrzezany?

- Na Ziemi od dawna istniał zwyczaj obrzezania niemowląt płci męskiej - odrzekł

Bronski. - Nie z powodów religijnych, lecz dla higieny. Oczywiście, religia muzułmańska, która po części wywodzi się z żydowskiej, od swoich wiernych wymaga obrzezania. Ale starożytni Egipcjanie, którzy trzymali naszych przodków w niewoli, stosowali ten zabieg.

Jaakob spojrział na niego bezradnie, po czym powiedział: - Muzułmańska? Masz rację. Każde pytanie wywołuje tylko sto następnych. Zadamy jednak jeszcze jedno.

Wskazał gestem na jasnowłosego Szaula, który otworzył skrzynkę i wyszł z niej kilka racji żywnościowych pochodzących

z ładownika. A więc Marsjanie weszli do wnętrza statku. Danton i Shirazi musieli to ujrzeć, podobnie jak cała Ziemia. Mógł sobie wyobrazić ich konsternację, zdziwienie i frustrację. Być może próbowali oboje porozumieć się z intruzami, nie mogli jednak, rzecz jasna, wiedzieć, że tamci władają jedynie nowotestamentową greką. Zresztą nawet gdyby to wiedzieli, i tak niewiele by im to dało, ponieważ żadne z nich jej nie znało.

Szaul ujął konserwę mięsną w dłoń odzianą w rękawiczkę. Wieko było zdjęte.

- Co to za mięso? - zapytał Szaul poważnym tonem.

- Szyńka - odrzekł Bronski.

Szaul upuścił z niesmakiem puszkę na stół.

- Przynajmniej powiedziały prawdę.

Bronski domyślił się, że mięso poddano analizie. Reakcja Szaula nie zaskoczyła go.

- No i co z tego? - zapytał Orme, gdy Bronski przetłumaczył rozmowę.

- Ci Marsjanie są ortodoksyjnymi Żydami - odparł Francuz.

4.

Kwadrans przed "południem" piątka przesłuchujących opuściła apartament. Szaul wyszedł wcześniej, natychmiast po upewnieniu się, że puszka zawiera nieczyste mięso. Mimo że nie dotknął szynki gołymi rękoma, być może będzie musiał poddać się rytualnemu oczyszczeniu.

Tak jak zawsze, o 12.00 rozległy się syreny. Ludzie wylegli z budynków i stanęli na zewnątrz, spoglądając w górę na płonąca kulę. Po trzech minutach syreny umilkły. Po chwili z głośników popłynął hymn, szybko podjęty przez zebranych.

Był on krótki, miał może piętnaście wierszy. Następnie tłum rozproszył się.

Pracownicy biurowi udali się do domów lub ku stołom przygotowanym w parkach, gdzie jedli posiłek. Pozostali również poszli do domów.

Bronski pokręcił głową.

- To wygląda jak kult słońca. Czy raczej jego substytutu. To niemożliwe. Żaden Żyd nie mógłby otaczać kultem jakiegoś bożka.

- Dowiemy się tego we właściwym czasie - stwierdził Orme. Usiadł za stołem i zaczął kroić szynkę pozostawioną przez Szaula.

- Obserwujś się - powiedział Bronski. - Myślę, że specjalnie zostawili tę szynkę, aby się przekonać, czy już zjesz. Orme przeżuwał mięso z zapalem!

- Człowieku, ale to dobre! Uwielbiam szynkę, bekon, kiełbasę i wszystko, co pochodzi od wini, łącznie z golonką i galaretką z nóżek.

- Masz na myśli racice.

- My mówimy na to nóżki. Bronski wyglądał na porzytywanego.

- Myślę, że nie powinieneś tego jeść. To może mieć wpływ na ich stosunek do nas.

Orme zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego? Co ich obchodzi, co ja jem?

- Starożytni Hebrajczycy nie jadali przy jednym stole z gojami. Moi rodzice również nie. Orme nadział na widelec następnego kawał mięsa.

- To tak, jak w czasach mojego dziadka, kiedy biali nie chcieli jeść razem z czarnymi?

- Nie, to coś zupełnie innego. Goje jedli rytualnie nieczyste, zakazane pokarmy.

Tak więc, żeby sami nie stali się nieczystymi, Hebrajczycy nie jedli razem z gojami.

Mogli ulec skażeniu poprzez samś styczność z nimi.

- Ale uważali gojów za gorszych od siebie, prawda? Ostatecznie to nie goje byli narodem wybranym.

- Teoretycznie wcale tak nie było. Wszyscy ludzie byli równi w oczach Boga. W praktyce jednak, jak sǳę, Hebrajczycy nie byli w stanie uniknąć poczucia moralnej wyższości.

Seria krótkich gwizdów oznajmiła mi, że podano obiad.

Bronski wysł z wnętrza dwie tacki; jedenś postawił na stole, a z drugś usiadł na krześle.

Orme uśmiechnę się do niego.

- A więc nie usiǳiesz ze mnś przy jednym stole?

- Robilem to przez cały czas od chwili startu. Nawet kiedy jadłem wieprzowinę.

Nie traktuj tego lekko, Richard. Może cię to śmieszyć, ale dla tych ludzi to naprawdę bardzo poważna sprawa. Nie chcę ryzykować. Nie chcę zostać... hmmm...

zbrukany. Jeden z nas musi być wiarygodny, to znaczy traktowany z pewnym respektem.

Może nie zechcś mieć do czynienia z tobś, więc...

- Nie zapomnij tylko, że to ja jestem kapitanem.

- Dla mnie oczywiście jesteś. Dla nich... no cóż, nie jestem pewien. Jak dotśd jesteś co najwyżej więźniem, którego dieta po prostu ich oburza.

- Tak, ale ty również ich oburzyłeś, a przynajmniej wprowadziłeś w zdumienie, ponieważ nie jesteś wyznawcą lesousa ho Christosa, to znaczy, Jezusa Chrystusa.

Jak mogś pogodzić judaizm z tym, co twierdziś o Jezusie?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się tu dzieje. Orme zjadł chleb (masła nie było), fasolę, groch i jabłko. Bronski również skończył swój obiad: baraninę, sałatę, chleb i jabłko. Wypiwszy łyk wina, Bronski głośno cmoknął.

- Bardzo dobre.

Kapitan uśmiechnę się ponownie.

- Może udałoby się uzyskać wyłącznie na sprzedaż marsjańskiego wina.

Zgarnęlibyśmy za to na Ziemi kupę szmalu.

Wstał i udał się do toalety. Wkrótce po tym, jak uszu Bronskiego dobiegł odgłos spuszczonej wody, Orme powrócił.

- Obserwowałem ich dokładnie, ale nie zauważyłem, żeby robili czy mówili cokolwiek, aby otworzyć drzwi.

- Musi się to odbywać za pośrednictwem monitora - powiedział Francuz. - Co byś zrobił, gdybyś mógł się stśd wydostać.

- Zmiatałbym gdzie pieprz rośnie.

- Nic głupszego. Nie zwiąłbyś dalej niż na kilka kroków.

- Być może. Jednak spróbować nigdy nie zawadzi. A ty nie uciekłybyś ze mnś?

- Nie, chyba żebyś mi rozkazał - odrzekł Bronski. - A i wtedy bym protestował.

Nic nie wskazuje na to, żeby Marsjanie mieli złe zamiary.

- Skśd ta pewno. Dopóki trzymajś nas w więzieniu, naszym obowiązkiem jest próbować ucieczki.

Bronski gestem wyraził zniecierpliwienie.

- Muszś nas poddać kwarantannie. My zrobiliby□my to samo, gdyby to oni wylśdowali na Ziemi.

- Tak, ale sam słyśzałe□, jak Hfathon mówił, iż badania potwierdziły, że jeste□my zdrowi. Dlaczego więc nas nie wypuszczajś?

- Nie sposób nauczyć się języka, majśc status turysty.

- Wręcz przeciwnie - odrzekł Orme. - Nie znam lepszej metody od codziennych rozmów. Poza tym nawet nie zaczęli nam udzielać lekcji.

Po dziesięciu minutach musiał przyznać, że był w błędzie, przynajmniej co do intencji Marsjan. Niebawem pojawił się Hfathon.

Zaraz jak tylko wszedł, upewnił się, że puszka po szynce została usunięta.

Usiadł, trzymajśc w ręku pudełko zawierajśce wiele różnych przedmiotów, ł wyjšł z niego widelec o trzech bardzo długich zębach. Następnie bardzo powoli i wyra□nie powiedział:

- Szneszdit.

Bronski, poliglota, zdołał powtórzyć to słowo wyra□nie już za drugim razem.

Orme musiał próbować czterokrotnie i udało mu się dopiero wtedy, gdy Bronski powiedział mu, że d wymawia się, opierajśc czubek języka o górne dziśśła, a t - o podniebienie.

Nie wiedzieli jednak, że Hfathon powiedział "widelec", "to jest widelec", czy jeszcze co□ innego. Bronski poprosił Szaula, aby wyja□nił im to po grecku.

Spodziewał się, że nastśpiś pewnie trudno□ci ponieważ - zgodnie z tym, co wiedział - greka kolnę nie miała słowa na okre□lenie widelca. W pierwszym wieku naszej ery ten przyrząd nie został jeszcze wynaleziony.

Jaakob zaprotestował, twierdźc, że Bronski powinien się zwrócić do niego, a nie do Szaula. On, Jaakob, był najważniejszym przedstawicielem homo sapiens w□ród obecnych, w zwiśzku z tym to on powinien być udzielić odpowiedzi.

Bronski u□miechnśł się i zwrócił się do Orme'a po angielsku: - Kapitanie, niezależnie od tego, kim sś ci Marsjanie, domagajś się przestrzegania należnych im honorów. Majś takie samo poczucie hierarchii, jak wszyscy ludzie.

- Można oddalić Ziemianina od ojczystej planety, ale nie można go od niej uwolnić - westchnśł Murzyn.

Jaakob zapytał Bronskiego, o czym rozmawiali. Francuz odrzekł, że przetłumaczył tylko Orme'owi, co zostało powiedziane. Jaakob odparł, iż nie sśdzi, aby tak było. Obaj u□miechali się, choć w tej wymianie zdań nie było nic zabawnego.

Bronski wzruszył ramionami.

Hfathon odezwał się gniewnie po grecku. Je□li ciśgłe będzie się mu przerywać, lekcje nie będś mogły postępować zgodnie z planem. Od tej chwili, je□li Bronski zechce poznać grecki odpowiednik jakiego□ słowa, ma jego zapytać o to. Zna ten język równie dobrze, jak każdy inny członek grupy.

- W takim razie cała reszta mogłaby wrócić na uniwersytet. Proszę nie zapominać, że jest to komitet, a nie jednostka wojskowa. Choć ty jeste□ przewodnicźcym, każdy członek ma prawo się odezwać, gdy przyjdzie mu na to ochota - wtrścił

Jaakob.

- Albo jej - dodała kobieta, Źkisz.

Jaakob u□miechnśł się ironicznie.

Bronski przetłumaczył Orme'owi całś wymianę zdań.

- Nie ma wśtpliwo□ci, że to pracownicy naukowci.

- A zatem, co dokładnie znaczy szneszdit? □ zapytał zniecierpliwiony kapitan.

- Po prostu "widelec". W grece używajś tego samego słowa, ale wymawia się je nieco inaczej.

- Nie mów mi, jak się to wymawia po grecku - powiedział Orme. - Na razie chcę się nauczyć języka krsz.

Od tej chwili lekcja posuwała się naprzód dość szybko, choć Bronski dwukrotnie próbował wydobyć informację, kiedy Marsjanie mają zamiar zwrócić im wolność.

Hfathon odrzekł zdawkowo, że dowiedzś się we właściwym momencie.

Obaj marsonauci mieli znakomitś pamięć. Przez trzy godziny nauczyli się nazw dwudziestu przedmiotów oraz poszczególnych części ciała człowieka lub krsza.

Opanowali także niektóre krótkie zwroty. Spośród czterech widelców znajdujących się na stole, ten, który leżał najbliżej, określało się sznesz-am-dit, a o położonym najdalej mówiło się - sznesz-tu-dit. Dwa widelce leżące obok nich nazywały się sznesz-am-gr-dit. I tak dalej.

Orme miał pewne trudności z wymówieniem zbitki spółgłoskowej gr, zwłaszcza że przy artykulacji r język miał zbliżać się do podniebienia. Zupełnie też nie mógł sobie dać rady z dwiema spółgłoskami wymawianymi gardłowo, co przypominało mu odgłos rozdieranego płótna.

- W języku arabskim istnieją bardzo podobne dźwięki - powiedział Bronski. -

Prędzej czy później nauczysz się ich.

- Jeśli wcześniej nie zdechnę z bólu gardła. Zresztą i tak nie potrafię ich od siebie odróżnić.

- Twoje ucho musi się do nich przyzwyczaić.

Lekcja dobiegła końca. Orme był zmęczony i zlany potem. Pocieszał się jedynie tym, że i Bronski wyglądał marnie.

Nauczyciele opowiedzieli im przed kolacją, jednakże w godzinę po posiłku przyszedli znowu. Orme wyłączył telewizor, w którym nadawano jakąś sztukę. Wyglądało to na marsjańską operę mydłańską, choć nie mógł być tego pewien. Niemniej w jej trakcie rozpoznał cztery zwroty, których nauczył się wcześniej. Wszelako próba powtórzenia ich na głos zakończyła się niepowodzeniem.

- Powiedz im, że mam już dosyć tych lekcji metodą Berlitz - mruknął.

Czekała ich jednak następna męcząca sesja, tym razem prowadzona całkowicie po grecku, z wyjątkiem tych momentów, gdy Bronski tłumaczył treść rozmowy Orme'owi.

Rzucano w niej pytanie za pytaniem. Wszystkie dotyczyły historii Ziemi od 50.

roku naszej ery. Raz po raz zasób greckich słów Bronskiego okazywał się niewystarczający. Od tamtych czasów pojawiło się przecież tak wiele nowych przedmiotów oraz społecznych czy psychologicznych zjawisk. Niekiedy Francuzowi udawało się wyjaśnić, o co mu chodzi, za pomocą szkicu bądź diagramu, które rysował na elektronicznym ekranie przyniesionym przez Szaula.

Hfathon często przerywał mu, mówiąc:

- Zostawmy to na później. To zbyt skomplikowane. Wszystko się nam pomiesza. Mów tylko o najważniejszych wydarzeniach z ziemskiej historii.

Aby to jednak zrobić, Bronski musiał wdawać się w szczegóły.

- Na razie doprowadziło nas do, jak to nazywasz, jedenastego wieku naszej ery.

Jeżeli dobrze cię zrozumiałem, odpowiada to rokowi 4961 według rachuby hebrajskiej. Jutro postaramy się dojść do czasów współczesnych. Później będziemy musieli się cofnąć i zacząć od początku, żebyśmy mogli nam wyjaśnić wszystko to, czego nie da się zrozumieć bez znajomości szczegółów.

Usłyszawszy przetłumaczony przez Francuza wypowiedź, Orme odwrócił się: - Powiedz

mu, że umieramy z ciekawości. Chcemy się dowiedzieć czegoś o nich.

Spytaj go, czy nie mogli nam zdradzić, skąd i w jakim celu przybyli na Marsa. A jeśli nie mogli, to dlaczego?

Hfathon odparł:

- Mamy powody, dla których postępujemy w ten sposób. Musicie okazać cierpliwość.

Ostatecznie przybyliście tutaj bez zaproszenia, nie możecie się więc spodziewać, że potraktujemy was jak oczekiwanych gości. Niemniej nakazano nam, abyśmy miłowali obcych przebywających w naszym kraju, jak siebie samych, ponieważ sami ongi byliśmy obcymi w Egipcie. Aby was uspokoić, powiem wam, że nie mamy żadnych złych zamiarów. Wszystko, co czynimy, czynimy w najlepszej wierze.

Szalom, drodzy goście.

- Mówiłem ci, że nasi towarzysze nie mogli pozostawać na orbicie dłużej niż przez trzy tygodnie - odpowiedział Bronski. - Potem będziemy zmuszeni powrócić na Ziemię. Nasza sytuacja tutaj jest nie do przyjęcia! Przynajmniej z naszego punktu widzenia. Czy nie można... - przerwał.

Cała szóstka wyszła. Przezroczysta ściana zamknęła się za nimi.

Orme dopił resztę wina z butelki, którą przyniósł Szaul.

- Do diabła! Jestem wściekły! Nie wiem, czy obgryzać paznokcie, czy ugryźć któregoś z nich! Jak myślisz, Avram, co oni kombinują?

Bronski wzruszył ramionami. Na jego szczupłej twarzy o nieco orlich rysach malował się wyraz niepewności.

- Nie mam pojęcia. Jedyne, co możemy zrobić, to dostosować się do nich.

- Powiem ci jedno. Myślę, że te ich wszystkie pytania na temat historii to pić na wodę. Udaj, że nie wiesz o niczym, co wydarzyło się od roku pięćdziesiątego. Nie trzymali przecież cały ten czas głów w piasku. W każdym razie to mało prawdopodobne. Popatrz, jak bardzo są zaawansowani technicznie. Co im przeszkodziło zbudować następny statek i polecieć nim na Ziemię? A jeśli nawet z jakiegoś powodu tego nie zrobili, choć nie mam pojęcia dlaczego, to przecież mogli, do cholery, odbierać przez te wszystkie lata emitowane przez nas fale. Logicznie myśląc, powinni to robić. Czy nie sądzisz, że wiesz o nas znacznie więcej, niż próbujesz nam wmówić?

- To brzmi sensownie - odparł Bronski. - Może jednak mieli jakiś powód, aby nie słuchać naszych transmisji.

- Czy ludzie z Ziemi w podobnej sytuacji utrzymaliby się celowo w ignorancji?

- Nie wiem. Ostatecznie połowa Marsjan pochodzi z Ziemi.

Orme milczał przez chwilę, spacerując w kółko po pokoju i wymachując rękami.

Potrzebował ruchu. Czuł się w tym więzieniu, jak tygrys w klatce. Pompki i przysiady nie wystarczały. Potrzebował ćwiczeń fizycznych, które sprawiałyby mu przyjemność, jak tenis, koszykówka czy pływanie. Dla odmiany ascetycznie usposobiony Bronski mógł spędzić wiele dni po prostu siedząc lub leżąc. Dopóki miał coś, co zajmowało jego umysł, nie czuł się znudzony.

- Jak rozumiem - odezwał się nagle Orme - są tak zainteresowani wydarzeniami po roku 50. -jeśli rzecz jasna nas nie okłamujesz -ponieważ wiesz, co działo się wcześniej. Oznacza to, że włącznie wtedy opuścili Ziemię i nigdy już na nią nie powrócili. A może powrócili, lecz nie wylądowali, ograniczając się do obserwacji z pokładu statku.

I teraz nie rozumiejsz znaczenia wszystkich szczegółów, które dostrzegli. Mogłeś się tego dowiedzieć tylko od nas. Tak więc, aby wmówić nam, że nie znajsz późniejszych dziejów, kazali nam opowiadać całą historię Ziemi. W ten sposób mogli od nas uzyskać interesujące ich informacje.

- Nie może być wstpliwoci, że ludzie tutaj sš potomkami tych, którzy zostali zabrani z Ziemi przez Krszów w pierwszym stuleciu naszej ery - odparł Bronski. -

Reszta to tylko domysły. Jeeli jednak sprawia ci to przyjemnoć, możesz je sobie snuć.

Orme nie odpowiedział. Po kilku minutach Francuz ponownie włščzył holograficzny telewizor. Nadawano co, co wyglšdało na dziennik. Orme wyraie się ożywił, ponieważ pokazywano tam sceny z miejsc innych niż grot, w której byli więniami. Ujrzał relację z dwóch imprez rozgrywajšcych się na otwartym powietrzu. Pierwsz był jaki festiwal, a drugš wystawa bydła. Orme zobaczył

przy okazji parę pomniejszych jaskiń - wejcia do nich nie miały kształtu podkowy, a poza tym oświetlało je wiele małych kuł zwisajšcych ze sklepienia.

Następna scena ukazywała wielki tunel, niewstpliwie łączšcy ze sobš dwie jaskinie. Jaki człowiek tratowany był przez konia. Choć Orme nie rozumiał słów spikera, bez problemu pojšł, co zaszło.

- Jeden obraz wart jest dziesięciu tysięcy słów - mruknšł.

- Słucham? - zapytał Bronski.

Kapitan zaczął powtarzać swojš wypowied, lecz niemal natychmiast przerwał.

- Hej, to my!

Pokazywano ich w towarzystwie sześciu przesłuchujšcych.

Następnie obraz zmienił się raptownie. Spiker-otyły stary Krsz o lekko ogorzalej twarzy - powiedział kilka słów.

Pojawił się kolejny obraz. Obaj mężczyni zerwali się z krzesel. Na ekranie, z pojazdu takiego samego, jak ten, który przewiózł ich samych z korytarza do więzienia, wysiadali Madeleine Danton i Nadir Shirazi. Mieli na głowach hełmy, więc ich twarze były niewidoczne; to jednak musieli być oni.

Orme jęknšł.

- A więc dostali ich! W jaki sposób?

5.

Orme i Bronski spodziewali się, że ich towarzysze zostaną ulokowani razem z nimi. Po zastanowieniu się zdali sobie jednak sprawę z tego, że Shirazi i Danton będs musieli zostać poddani kwarantannie i umieszczeni gdzie indziej. Gdy rankiem ponownie pojawili się przesłuchujšcy, Bronski zakomunikował im, że widział w telewizji scenę pojmania dwojga pozostałych członków ekspedycji.

- Zgadza się - odrzekł Hfathon.

Szaul otworzył skrzynkę i wysjšł z niej kolejny zestaw przedmiotów. Bronski poczerwieniał na twarzy, a Orme warknšł.

- Czy co was niepokoi? - odrzekł Hfathon.

- Chyba nie macie zamiaru przejć nad tym do porzšdku dziennego i po prostu kontynuować lekcje, nie zaspokajajšc naszej ciekawoci?! - oburzył się Bronski.

- Czy nie możecie zdobyć się na odrobinę współczucia i zrozumienia? Czy nie jesteście ludmi? Musicie zdawać sobie sprawę z tego, że rozsadza nas ciekawoć i troska o los naszych kolegów. Chcemy wiedzieć, czy nic im nie jest? W jaki sposób ich witaliście? Co zamierzacie z nimi zrobić?

Pocišgła, szczupła twarz Hfathona pozostała bez wyrazu.

- Nie, nie jestem człowiekiem w cisłym tego słowa znaczeniu. Rozumiem jednak, co masz na myli. Wiem, co czujesz. Na twoim miejscu też bym się niecierpliwił.

Niemniej nasz komitet otrzymał dyspozycje od Rady, aby nic wam nie mówić. Nie wiem dlaczego, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa. Rada powie wam sama we właściwym momencie, dlaczego zastosowano te restrykcje.

- Na miłość boską - odrzekł Bronski. - Czy nie możecie nam zupełnie nic powiedzieć?

- Kazano nam nauczyć was języka tak szybko, jak to możliwe. Rada najwyraźniej sądzi, że czas ma zasadnicze znaczenie. Weźmy się więc do roboty.

Orme, gdy Bronski mu to przetłumaczył, przygryzł dolną wargę i powiedział: - Avram, powtórz tym hienom, że odmawiamy wszelkiej współpracy, póki nie powiedz nam, co się wydarzyło. Gęba na kłódkę.

Bronski powtórzył to po grecku. Cała szóstka spojrzała na niego poważnie, lecz jedynie Hfathon wystąpił z repliką.

- Mamy nadzieję, aby zmusić was do współpracy, jednakże użycie ich byłoby niehumanitarne. A więc zgoda. Wasi towarzysze są zdrowi i nic im się nie stało.

Przebywając w pomieszczeniu podobnym do waszego, niedaleko stąd. Kobieta nie rozumie żadnego ze znanych nam języków, ale mężczyzna zna trochę hebrajski. Nie jest to język identyczny z tym, jakim posługujemy się w naszej liturgii, lecz wystarczająco podobny, żeby się porozumieć, choćby w ograniczonym zakresie.

Powiedziano mu o was.

- Zapytaj go, w jaki sposób zabrano ich z Ariosa - odezwał się Orme.

Bronski powtórzył słowa Hfathona, który wyjaśnił, że ładownik został zbadany przez grupę uczonych Krszów. Po ustaleniu zasad jego działania, dwóch z nich poleciało na statek. Wpuszczono ich na pokład. Gdy dwoje Ziemiaków odmówiło opuszczenia/! r/esa, użyto przeciwko nim siły o bezwładniające.

- Czy możesz sobie wyobrazić przerażenie, jakie zapanowało na Ziemi, gdy ujrzano tam tę scenę? - powiedział Orme.

- Czy nie przyszło wam do głowy, że może to zostać potraktowane jako wrogi akt?

Chcecie wywołać wojnę? - uzupełnił Bronski.

- Wojna nie będzie potrzebna - odparł Jaakob. - Zrobili to dla waszego dobra.

W odpowiednim czasie zostanie to w sposób zadowolający wyjaśnione ludziom na Ziemi. Teraz przystąpmy do zajęć.

Szybkie tempo lekcji pozostawiało niewiele czasu na myślenie o czymkolwiek innym.

Niemniej Orme nie mógł się powstrzymać, aby od czasu do czasu nie zadumać się nad reakcją ludzi na Ziemi. Jak rzdy państw Konfederacji Północnoamerykańskiej ustosunkuj się do sprawy uprowadzenia ich obywateli? A co z innymi państwami, członkami IASA, które pokryły część kosztów ekspedycji?

Nagle Jaakob upomniał go ostrym głosem, nakazując skupienie. Orme spojrzał na niego spod łba; postanowił jednak unikać kolejnych zadrażeń z Marsjanami. Od tej chwili często przyoblekał twarz w uśmiech, rzecz jasna, cokolwiek wymuszony. Nawet rozbawił paru z nich, układając kalambur w języku krsz. Zwłaszcza Szaulowi spodobała się ta gra słów. Orme upatrzył sobie tego jasnowłosego mężczyznę jako osobę, którą należy zacząć urabiać. Liczył, że przyda mu się to w przyszłości. Szaul wydawał się bardziej otwarty i sympatyczny od pozostałych. Gdyby udało się wycisnąć z niego więcej, niż było mu wolno powiedzieć... kto wie, może w tym tkwił klucz do ich ucieczki.

Choć dotarcie do ładownika zakrawało na cud Orme nie zamierzał się poddawać.

Gdyby łatwo się zniechęcał, nigdy nie zostałby czołowym astronautą Konfederacji Północnoamerykańskiej.

Podczas przerwy na kolację włączył telewizor. W samym środku programu o

osiągnięciach medycyny obraz znikł. Wkrótce na ekranie pojawił się siedzący przy biurku Hfathon. Za jego plecami znajdowała się ściana pokryta jasnymi abstrakcyjnymi wzorami. Przemawiał do nich przez minutę po grecku. Bronski uśmiechnął się:

- Pozwolś nam porozmawiać z Madeleine i Nadirem - przetłumaczył.

Hfathon zniknął. Ujrzeni za to swoich towarzyszy. Siedzieli na krzesłach, wpatrując się w nich.

- Hej! - zawołał Orme. - Nic wam nie jest?

Przez kilka następnych sekund cała czwórka mówiła jednocześnie, przekrzykując się wzajemnie, zanim Orme wreszcie położył temu kres.

- Nie wiemy, jak długo pozwolś nam rozmawiać, lepiej więc zajmijmy się ważnymi sprawami. Powiedzcie, czy nadajnik był włszczony w chwili, gdy was porwano.

Danton i Shirazi zaczęli mówić równocześnie. Orme gwizdnął.

- Ty pierwszy, Nadir. Jesteś starszy stopniem.

- IASA widziała wszystko od chwili, gdy Marsjanie pokazali się w tunelu.

Przynajmniej tak mi się zdaje. Wiem, że odebrali wszystko aż do momentu, gdy wpucili my tych dwóch facetów na pokład. Możliwe, że wówczas transmisja została zakłócona.

- Skoro widzieliście, że przejęli ładownik, dlaczego zdecydowaliście się wpucić ich na pokład, zamiast wiać Arietem prosto na Ziemię?

- To była trudna decyzja. Gdybyście dali nogę, byłoby to rów-noznaczne z porzuceniem was. Nie mieliśmy pojęcia, jak was traktujś, dobrze czy źle. Wydawało nam się jednak, że gdyby Marsjanie byli nastawieni przyjaźnie, to pozwoliliby wam powiadomić nas o wszystkim. Nawiśzaliśmy kontakt radiowy z dwójką Marsjan, gdy tylko weszli do ładownika, lecz odpowiedzieli nam w absolutnie niezrozumiałym języku. Przekazaliśmy, rzecz jasna, wszystko do centrali i, nawet biorąc pod uwagę opóźnienie, Carter miał dostatecznie dużo czasu na podjęcie decyzji. Oświadczył, że nie ma innego sposobu na ustalenie, czy osoby w ładowniku są wrogo nastawione, jak wpuszczenie ich na pokład Ariesa; jeżeli ich zamiary są przyjazne, a odmówimy im prawa wstępu, to mogłby uznać to za akt wrogości. Poza tym, de facto, oznaczałoby to utratę wszelkich szans kontaktu z wami. Z drugiej zaś strony Carter nie chciał wydawać rozkazu, który mógłby narazić nas na niebezpieczeństwo. W rezultacie pozostawił decyzję nam.

- I w ten sposób - dodała Madeleine - uchylił się od odpowiedzialności. Jest dobrym organizatorem, ale myśli przede wszystkim o własnej karierze.

Shirazi uśmiechnął się.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby kazał nam zwiewać. Nie miałem na to najmniejszej ochoty. Po pierwsze, musiałbym zostawić was na pastwę losu. A po drugie, dopiero po upływie trzech lat można by wysłać następny statek. Głównym czynnikiem była jednak ciekawość. Nie mogłem znieść myśli, że nie będę wiedział, co się z wami stało i co to wszystko oznacza.

- Nie masz chyba złudzeń - oświadczyła Danton - że stanowczo bym zaprotestowała, gdybyś zdecydował się wracać.

- Czy Carter wspomniał coś o wyprawie ratunkowej? - spytał Orme.

- Tak. Przysięgał, że następny statek wyruszy tak szybko, jak to będzie możliwe.

Oczywiście zastrzegal się, że nie może nic gwarantować... Jeżeli zabraknie środków...

- Wyobraź sobie, co się w tej chwili dzieje na Ziemi? Możesz być pewien, że znajdziesz pieniądze! - Orme zrobił krótką pauzę, po czym dodał: - No dobrze. Teraz posłuchajcie, co nam się przytrafiło.

Gdy skończył, przez chwilę panowała cisza. W końcu Shirazi zapytał: - A więc wszyscy

sš zydami? Nawet Krsze?

- Tak jest - odparł Bronski.

- Ale wspominali też o Iesousie ho Christosie, czyli o Jezusie Chrystusie.

Twierdzili więc, przynajmniej po□rednio, że sš również chrze□cijanami?

Szkot pochodzenia irańskiego pობadł.

□Nic dziwnego - pomy□lał Orme - jest muzułmaninem. Može niedostatecznie ortodoksyjnym dla bardziej religijnych spo□ród swoich rodaków, lecz wychowanym przez pobożnych rodziców. Jest przekonany, że Mahomet był ostatnim i największym z proroków, nawet je□li nie traktuje dosłownie wszystkiego, co napisano w Koranie, □więcej księdze islamu.

Je□li jednak Shirazi przeżył szok, to przecież podobnie było z Orme'em, jedynym z czwórki, który uważał się za chrze□cijanina. Bronski, choć nie był ortodoksyjnym Żydem, również był zbity z tropu.

A co z Danton, która - mimo że wychowana w praktykującej rodzinie katolickiej - była teraz ateistkš? Siedziała spokojnie z nogami wyciśniętymi przed siebie i rękami skrzyżowanymi na po-dołku. Jej szerokie stopy z nazbyt grubymi kostkami wystawały spod ciemnobrązowej szaty, którš dali jej Marsjanie. Strój ten przysłaniał jej obfite biodra i bardzo wšskš talię, nie mógł jednak ukryć nadzwyczaj wydatnych piersi. Również jej twarz przykuwała uwagę; szeroka, o wydatnych ko□ciach policzkowych oraz szerokich ustach i przepa□cistych oczach.

Nos był może nieco zbyt długi i trochę krzywy, lecz raczej dodawał jej twarzy wyrazu, zamiast jš szpecić. Madeleine była już dwukrotnie zamężna. Jej współpracownicy twierdzili, że jest prawdziwš jędzš. Jednakże osiągnięcia w biochemii, która była jej specjalno□ciš, oraz ogólne predyspozycje psychiczne uczyniły z niej jednš z czworga najpowaźniejszych kandydatów do załogi Ariesa.

Podczas ćwiczēn oraz długiego lotu zachowywała się bez zarzutu. Nie miała konfliktowej osobowo□ci i odnosiła się do wszystkich z sympatiš, dopóki nie poruszano tematu religii. Wtedy nabierała wody w usta, choć było widoczne, że ma ochotę się spierać i w innych okoliczno□ciach nic by jej nie powstrzymało.

Być może wyglšdała tak... pogodnie, ponieważ wła□nie tutaj natrafiła w końcu na dowód, że założyciel religii, w której została ochrzczona, był jedynie człowiekiem. Nie ulegało wštpliwo□ci, że ludzie zostali sprowadzeni tu przez Krszów około roku pięćdziesiątego naszej ery. Było równie oczywiste, że niektórzy z nich znali Jezusa osobi□cie.

Tak przynajmniej wydawało się Orme'owi. Mogły się tu zachować □wiadectwa, pisemne relacje □wiadków, a być może nawet sfilmowane wywiady z tymi, którzy osobi□cie znali Jezusa.

Serce biło mu szybko. Był podekscytowany.

Nagle na ekranie, ponad dwójkš Ziemia, pojawił się znacznie pomniejszony wizerunek Hfathona, który powiedział co□ do Bronskiego i zniknš.

- Przerwywajš transmisję - oznajmił Francuz. - Dobranoc. Być może spotkamy się wkrótce. Ekran zgasł. Przez długš chwilę obaj milczeli.

- Zastanawiam się - odezwał się powoli Bronski - dlaczego Marsjanie pozwalajš na przedstawienie ludzi i zwieršt na ekranie, a zabraniajš tego w swoim malarstwie. Teoretycznie Prawo Mojżeszowe powinno dotyczyć również telewizji.

Być może jednak oni nie sš aż tak bardzo ortodoksyjni, jak sšdziłem.

Omie był lekko poirytowany.

- Na Boga, Avram! Dlaczego zaprzštasz sobie umysł takimi duperelami?! Mamy powaźne kłopoty. Istotne kwestie do rozstrzygnięcia. Kogo obchodzš podobne bzdety?

Bronski wzruszył ramionami.

- Nad czym niby mam się zastanawiać? Nie mamy nic do roboty, nie licząc zajęć, które organizujesz nam nasi... hm... gospodarze. Zresztą, te sprawy mnie interesują.

- Tak? Mnie też, kiedy mam na to czas. Bronski rozejrzał się wokół i, najwyraźniej rozbawiony, zrobił głupiś minę. Orme wybuchnął śmiechem.

- Rozumiem. Cóż innego mamy oprócz czasu? W takim razie zapytam cię o parę rzeczy. Czy ortodoksyjni Żydzi oglądają telewizję?

- W Izraelu istnieje ultraortodoksyjna grupa, zwana Neturai Karta, której członkowie nie oglądają telewizji. Nie wolno im posiadać odbiorników. Oczywiście iście radio też nie słuchają. Twierdzą, że są jedynymi prawdziwymi Żydami, jacy pozostali na świecie. Nie chcą nawet uznać państwa Izrael. Są jednak na wymarcu, a ortodoksyjni Żydzi patrzą na nich z przerażeniem lub raczej z litości. Tak, ortodoksyjni Żydzi oglądają telewizję, choć wyłącza ją w szabat. Niewykluczone, że marsjariscy starozakonni mogliby być odpowiednikami Neturai Karta, ale to raczej wątpliwe.

- Oni przebywają tu już od dwóch tysięcy lat - powiedział Or-me. - Z pewnością iście zmienili się w przeciwieństwie tego czasu. Nawet ci twoi superortodoksyjni Żydzi nie kamienują już kobiet przyłapanych na cudzołóstwie ani nie wyłupiają człowiekowi oka za to, że kogoś oślepił.

- To zrozumiałe. Prawa Mojżeszowego przestrzegano iście, gdy Hebrajczycy byli plemieniem koczowniczym, tak jak Beduini. Było ono po barbarzyńsku surowe, lecz konieczne, aby zachować porządek i utrzymać wiarę. Choć dziś wydaje ci się okrutne, było łagodniejsze od praw innych ludów w tamtej epoce. Gdy za

Hebrajczycy osiedlili się w Palestynie i ucywilizowali, to stopniowo złagodzili swe prawa, dostosowując je do czasów i okoliczności. Na sto lat przed narodzeniem Jezusa ukamienowanie, jako kara za cudzołóstwo, zostało porzucone.

- Ale Ewangelia według św. Jana mówi, że gdy Jezus był w Jerozolimie, uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili do niego kobietę przyłapaną na cudzołóstwie.

Stwierdzili, że zgodnie z Prawem Mojżesza takie kobiety powinny być kamienowane i spytali go, co sądzi na ten temat. Chcieli znaleźć pretekst, aby go oskarżyć.

Czy sądzisz, że ta historia jest nieprawdziwa?

- Może być prawdziwa - odpowiedział Bronski - ale z pewnością iście nie miała miejsca w Jerozolimie. Ten incydent prawdopodobnie wydarzył się w Galilei, której mieszkańcy byli bardziej konserwatywni w sprawach religii - przynajmniej pod pewnymi względami - i nadal kamienowali cudzołożnice, ukrywając to przed władzami. Prawo jednak orzekało, że każda cudzołożnica ma być przywieziona na sąd do Jerozolimy. Tam musiała tylko poddać się próbie gorzkiej wody i w przypadku niepowodzenia czekała już kara - z pewnością iście jednak nie ukamienowanie ani żaden inny rodzaj śmierci.

Prawdopodobnie kara był rozwód i powrót w hańbie do swojej rodziny. Tak czy inaczej marsjariscy Żydzi przez dwa tysiąclecia byli wolni od obcych wpływów, nie możesz więc od nich oczekiwać, żeby zmienili się tak bardzo, jak starozakonni na Ziemi.

- Wolni od obcych wpływów? - powstąpił Or-me. - Co ty chrzanisz! A Krsze? Są tak obcy, jak to tylko możliwe. Nie są nawet ludźmi!

- W sensie fizjologicznym rzeczywiście nie. Mimo to, wnosząc z naszej krótkiej znajomości, powiedziałbym, że są bardzo do nas podobni.

Bronski usiadł na krześle i pochylił się w stronę Orme'a, splatając palce.

- Jest jednak pewna rzecz, której nie rozumiem. Dwa tysiące lat temu byli oni znacznie bardziej zaawansowani technicznie niż ludzie, których zabrali z Ziemi.

Z pewnością iście nawet bardziej zaawansowani niż my teraz. To Krsze byli gatunkiem

wyższym. Ludziom musieli się wydawać bogami lub przynajmniej aniołami. Szok kulturowy był zapewne potężny. Osłupienie - wprost niewypowiedziane. Wszelki przepływ powinien więc odbywać się w jedną stronę - od Krszów do ludzi.

Ostatecznie co Ziemianie mieli im do zaoferowania? Wiemy, że język krsz jest w powszechnym użyciu zarówno wśród nich, jak i wśród ludzi. Greka i aramejski są znane, ale wyłącznie uczonym, zaś hebrajski jest przede wszystkim językiem liturgicznym. Tego należało oczekiwać.

Bronski z powrotem usiadł prosto, lecz wciąż zaciskał nerwowo dłoń.

- Można by się także spodziewać - kontynuował - że religia istot niższych - nie krzywo się, mówię "niższych" tylko w tym sensie, że ludzie byli mniej zaawansowani technicznie i posiadali mniejszą wiedzę - a więc istoty niższe powinny pod każdym względem ulec wpływom wyższych. Podobnie jak wszystkie prymitywne kultury, które albo zginęły, albo uległy daleko idącym przeobrażeniom na skutek zetknięcia się z zaawansowanymi technicznie Cywilizacjami Zachodnimi. No, może niezupełnie, ponieważ Cywilizacje Wschodu również bywały przyczyną ucieczki, zagłady lub asymilacji mniej rozwiniętych społeczeństw. Ludzie Wschodu byli równie bezlitośni, chciwi i nietolerancyjni, jak mieszkańcy Zachodu...

- Nie prosiłem o wykład - przerwał Orme.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że to ludzie powinni zostać całkowicie wchłonięci przez kulturę Krszów. Tak się jednak nie stało. Czemu? Czy dlatego, że Krsze mieli do czynienia z ortodoksyjnymi Żydami, którzy byli szczególnie oporni i niepodatni na wpływy, gdy w grę wchodziła ich religia? Przypuszczam, że to przypadek, iż Krsze zabrali ze sobą ludzi tego właśnie wyznania. Oczywiście, nie twierdzę, że Żydzi są jedynym społeczeństwem, która uporczywie trwa przy swojej religii. Na przykład Parsowie... wyznawcy mazdaizmu...

- Znowu zaczynasz wykład, Avram. Posłuchaj, wiem, że to wszystko jest ciekawe, ale na razie wolałbym trzymać się zasadniczego wątku.

- W porządku. Z drugiej strony jednak, nawet jeśli Żydzi nie chcieli się nawrócić na religię Krszów - zakładając, że takowa istniała - dlaczego Krsze, którzy nie należą nawet do gatunku homo sapiens i wyprzedzali starozakonnych o całe tysiąclecia w nauce i Bóg wie czym jeszcze... dlaczego przyjęli judaizm?

- Chrześcijaństwo.

- Tego należy dopiero dowiedzieć. Oni są Żydami, którzy uważają, że Jezus był Mesjaszem. Zatem nazwa "chrześcijaństwo" w takim sensie, w jakim jej używasz, nie może się do nich stosować. Tak przynajmniej sądzę. Jest jednak niewiarygodne, żeby Krsze nawrócili się na religię, która musiała się im wydawać nie lepsza, niż nam jakieś wierzenia z doby paleolitu. W gruncie rzeczy w ówczesnym judaizmie było wiele elementów wywodzących się wprost z tej epoki.

Używanie krzemianych noży do obrzezania, gdy dostępne było żelazo, tabu dietetyczne, które miały swe odpowiedniki w innych bardzo starych nieprymitywnych kulturach, a także...

Orme pokręcił głową.

- Powinieneś być zostac rabinem.

- Mój ojciec nim był.

- Jak więc wyjaśnisz nawrócenie się Krszów?

- Odpowiedź poznamy dopiero za jakiś czas.

Usłyszeli głos dobiegający z telewizora. Orme odwrócił się i ujrzał na ekranie twarz Hfathona. Marsjanin powiedział coś do Av-rama, który zrobił zdumioną minę.

Francuz dał szybko odpowiedź - jego greka stawała się coraz lepsza - i zaszepotała twarz Hfathona zniknęła.

- Zapytał mnie, czy Madeleine i Nadir są małżeństwem. Odparłem, że Nadir ma żonę, ale ona, Madeleine, nie ma męża. Wydawał się tym zmartwiony, ale nie powiedział dlaczego.

- Co ich to obchodzi? Bronski wykrzywił wargi.

- Mógłbym snuć domysły, ale wolę się powstrzymać. - Pokręcił głową. - Nie, to wykluczone.

6.

Następnego dnia Orme zaatakował natychmiast, jak tylko nauczyciele weszli do pokoju.

- Co miało znaczyć wasze pytanie o Danton i Shiraziego?

Członkowie komitetu wyglądali na zaskoczonych. Ich więzień przemówił po grecku.

Hfathon odpowiedział w tym samym języku, lecz znajomość greki Orme'a nie sięgała już dalej. Był w stanie przyswoić sobie kilka słów, ale poza tym zdany był wciśz na Bronskiego. Chciał jednak zadać im to pytanie osobiście, aby podkreślić znaczenie, jakie przykłada do tego incydentu.

Krsz i Bronski wymienili kilka zdań. Następnie ten drugi powiedział po angielsku:

- Uważali, że Danton i Shirazi są małżeństwem, ponieważ przebywali na statku sam na sam. Zaobserwowano jednak, że pierwszej nocy w swym mieszkaniu spali w oddzielnych pokojach. Przyjęto założenie, że kobieta miała menstruację i przez to była nieczysta. Ale następnej nocy spali już razem i nie było żadnych oznak, aby Madeleine miała wcześniej krwawienie. Wysłano kobiety, aby ją przebadaly, i one potwierdziły, że w nocy miała stosunek. Próbowano przesłuchać ją za pośrednictwem mężczyzny, lecz jego hebrajski okazał się nader niedoskonały; Shirazi zdawał się nic nie rozumieć. Lub też, jak mówi Hfathon, celowo stwarzał pozory, że nie rozumie.

Tak czy inaczej Hfathon zwrócił się do nas ostatniej nocy, aby zasięgnąć informacji o nich. Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą, choć skłamałbym, gdybym odgadł, o co im chodzi. Ale to i tak nic by nie pomogło. W końcu odkryliby, jak jest w istocie.

Orme byłby wybuchnął śmiechem, gdyby z twarzy Bronskiego nie odczytał, że sytuacja jest rzeczywiście poważna.

- Madeleine i Nadir? Ależ oni nigdy nie okazywali sobie żadnego zainteresowania.

Nie wierzę w to. Bronski uczynił gest zniecierpliwienia.

- Czy po upływie tak długiego czasu nie odczuwasz pożądania? Gdybyś był uwięziony, przestraszony i samotny, czy nie zwróciłbyś się ku kobiecie? Albo, gdybyś był kobietą, ku mężczyźnie?

- Mógłbym to zrobić - odparł Orme - choć nigdy nie zdradziłem mojej żony, to jest, mojej byłej żony, a uwierz mi, że miałem mnóstwo okazji. Gdyby jednak ten przymusowy celibat potrwał dostatecznie długo, to myślenie...

- Weź pod uwagę, że jesteś praktykującym chrześcijaninem. Zresztą to bez znaczenia, co zrobiłbyś ty czy ja.

- No tak, ale Madeleine? Nie jest brzydką kobietą, ale, doprawdy, ona... tak chłodna i pełna dystansu...

- Im dłużej wulkan drzemie, tym większe narasta w nim ciśnienie. Rzecz jednak w tym, że Prawo Mojżeszowe nadal występuje przeciw cudzołóstwu. Także tutaj.

- Upewnij się, co?

Bronski sformułował pytanie, wysłuchał odpowiedzi Hfathona, po czym zwrócił się do Orme'a:

- Jeśli Nadir wyrazi szczerzy żal, to znaczy okaże skruchę i obieca, że nie popełni już

więcej tego grzechu, oraz jeżeli żona mu wybaczy, to nie zostanie ukarany.

- Jak kara mu grozi?

- Sześć miesięcy ciężkich robót w kamieniołomach. I, być może, publiczne upokorzenie.

- AMadeleine?

- To samo. Jak na razie sprawa jest rozpatrywana przez sędziów. Istnieje szansa, że oboje nie zostaną ukarani, ponieważ jest to zdarzenie bez precedensu. Nigdy dotąd nie mieli tutaj do czynienia z przestępcami wywodzącymi się spośród gojów.

- Powiedz im, że postępujś cholernie arogancko. Nie podlegamy ich prawom.

Zgodnie z naszym ustawodawstwem tych dwoje nie popełniło żadnego przestępstwa!

Po chwili Bronski przetłumaczył odpowiedź Hfathona: - On mówi, że nie mogś pozwolić nikomu, nawet cudzoziemcom, na łamanie prawa.

Skoro ktoś tu przybył, musi podporządkować się miejscowej jurysdykcji. Dodał też, że Nadira przeniesiono do innego więzienia, aby uwolnić ich oboje od pokusy grzechu. Swojś drogś, Nadir będzie aż do wieczora uznany za nieczystego.

Każdy mężczyzna, który miał ejakulację, jest nieczysty, aż do zmierzchu.

Orme wznosił do góry ręce.

- I co jeszcze?! Powiedz mu...

- Nie - przerwał Bronski. - Nic mu nie powiem. Jesteśmy całkowicie w ich mocy.

Nie możemy ich do siebie zrażać. Hfathon coś burknł.

- Mamy skończyć z tymi bzdurami i brać się do nauki - przetłumaczył Bronski.

- „Zdury” to twoje określenie, czy jego?

- Uspokój się, Richard. Nic nie wskórasz, tracś nerwy.

- Jeszcze ich nie stracił, ale niewiele brakuje.

Gdy nadeszła przerwa obiadowa, Orme poprosił Bronskiego, aby zapytał Hfathona, kiedy ostatnio sśd rozpatrywał oskarżenie o cudzołóstwo.

- Mówi, że dwa lata temu. Orme chrzknł.

- I ty twierdzisz, że oni sś ludźmi?

Hfathon zakomunikował coś Bronskiemu i cała szóstka wyszła.

- Dziś nie będzie więcej lekcji. Majś teraz inne zajęcia, a wieczorem zaczyna się szabat. Jutro również do nas nie przyjdś.

Nadszedł „kwit”, lecz ludzie nie wylegli z domów, by udać się do pracy. Nie było widać żadnej żywej istoty z wyjątkiem kilku majaczścych w oddali zwierśt hodowlanych.

- Wszyscy siedzś w domach medytujś i modlś się - oświadczył Bronski. - Potem skierujś się do synagog, które musś być położone niedaleko miejsca zamieszkania. Podróże dłuższe niż na pewnś określonś odległość sś podczas szabat zakazane. Ponadto wierni musś w tym dniu poruszać się pieszo, nie wolno im jeździć konno ani korzystać z pojazdów.

Orme włączył telewizor, lecz nie pojawił się żaden obraz.

- Wyglśda na to, że nie oglśdajś też telewizji. Hmm. Ciekawe, czy nas obserwujś?

- Nie wiem. Jeżeli przestrzegajś Prawa naprawdę ściśle, to nie.

- Wiesz co - rzekł Orme - jeżeli w szabat wszystko jest nieczynne, to w takim razie nie ma lepszego dnia na ucieczkę.

- Najpierw musisz znaleźć sposób na podniesienie tej ściany.

- Myślę, że podnosi się automatycznie lub też robi to ktoś z zewnątrz. Czy zauważyłś, że na chwilę przed tym, jak ściana podnosi się w górę, Jaakob chowa dłoń w fałdy szaty? Myślę, że ma w kieszeni aktyuator.

- Jak zamierzasz mu go odebrać?

Orme nie odpowiedział. Wyobrażał sobie, jak dokonuje kradzieży kieszonkowej.

Gdyby mógł podrzucić Jaakobowi jakiś przedmiot o podobnym kształcie, tak żeby Marsjanin nie zauważył braku urządzenia... Zamiana musiałaby nastąpić już po naciśnięciu przycisku przez tamtego. To ograniczało możliwości. Musieliby jakoś

odwrócić uwagę Jaakoba, jak również pozostałych. Gdyby Bronski zgodził się mu w tym pomóc, można by tego dokonać.

Gdyby jednak okazało się, że włóczenie urządzenia konieczne jest także celem opuszczenia ściany, Jaakob zorientowałby się natychmiast, że podrzucono mu falsyfikat. Przypuszczalnie tak to właśnie działało, chyba że ściana opadała w dół automatycznie po określonym czasie, bez potrzeby wysyłania następnego sygnału. Nie, to by było zbyt piękne. Choć ich strażnicy wychodzili zwykle natychmiast po tym, jak ściana się unosiła, pewnego razu zwlekali, rozmawiając jeszcze przez co najmniej półtorej minuty.

Jeżeliby jednak, przy odrobinie szczęścia, ustalił, że pięciu pozostałych - lub przynajmniej jeden z nich - również ma aktywatory, mógłby wtedy sporządzić dwa falsyfikaty. Niemniej wówczas musiałby dokonać dwóch kradzieży, a poza tym trzeba dopilnować, by Orme opuścił ścianę w tym samym momencie, gdy Jaakob dotknie przycisku lub w jakiś inny sposób uruchomi aktywator.

W jaki sposób wykonać falsyfikaty? Nie miał noża ani materiału, z którego mógłby wystrugać imitację urządzenia. Poza tym obserwowano ich przez teleekran. To oznaczało, że musiałby się znaleźć poza zasięgiem monitorów w chwili, gdy będzie kradł urządzenia. Falsyfikaty również mógł wykonać jedynie w sypialni, gdzie prawdopodobnie kamer nie było.

Nawet jeżeli udałoby mu się przeprowadzić ten skomplikowany plan, wciśz nie wiedziałby, co zrobić, czy raczej dokąd pójść w chwili, gdy zdoła wydostać się na wolność. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się tunel prowadzący do ładownika.

Poza tym domyślał się, że wejście do niego jest pod straż. Ci faceci nie byli głupi.

A co z szabatem? Czy strażnicy będą wtedy w domu? Być może. Ale nawet gdyby tak było, pozostaną jeszcze automatyczne urządzenia alarmowe. Biorąc pod uwagę wszystkie trudności, Orme musiał przyznać, że Bronski miał rację. Ucieczka wydawała się niemożliwa. Gdyby jednak zwolniono ich z więzienia, mieliby większą szansę, nawet pod straż.

Bronski, który dotąd siedział cicho, nagle przerwał milczenie, a w oczach błysnęły mu iskierki radości.

- Mam!

- Co takiego?

- Musiałem policzyć. Dzisiaj również w Izraelu wypada szabat. Może to zbieg okoliczności, chociaż wątpliwe.

Bronski miał minę równie zadowolony, jakś musiał mieć Mojżesz, gdy jego zausznicy donieśli mu, że Palestyna, kraj mlekiem i miodem płynący, czeka, by ją posiłkować.

- To ciekawe - powiedział Orme. - Wolałbym jednak, żeby skierował swój wielki intelekt na inne tory i wykombinował, jak się stąd wydostać.

- Byłoby to cenne ćwiczenie umysłowe, ale praktycznie bezużyteczne. Poza tym, prawdę mówiąc, Richard, nie sądzę, żebym to uczynił, nawet gdyby było to możliwe. Zbyt wielu rzeczy pragnę się dowiedzieć.

- A jeżeliliby ci rozkazał?

- No cóż, jesteś kapitanem - odparł Bronski, wzruszając ramionami, po czym podszedł do przezroczystej ściany stanowiącej okno.

- Zbieraj się na uroczystość ku czci słońca.

Po zakończonym rytuale, wspólnej modlitwie, czy cokolwiek to było, tłum podzielił się na mniejsze grupy i w ten sposób wierni zaczęli wstępować do wielkiego gmachu usytuowanego

na szczycie niezbyt wysokiego kamiennego wzgórza.

Wspinali się po dwunastu szerokich stopniach wykutych w skale.

- To synagoga - powiedział Bronski. - Ciekawe rozwiązanie architektoniczne.

Bryła ma dwanaście boków. Dach pochyla się do wewnątrz, jakby zapraszała do środka światło słoneczne, po bokach zaś wznosi się ku górze. Zdobiesze go rzeźby wyglądaję na symboliczne wyobrazenie ludzkich dłoni. W każdym razie przywodzię mi na myśl ręce złożone do modlitwy.

Cały resztę dnia Bronski spędził przy oknie, jak strażnik, z tym że po jakimś czasie przystawił sobie krzesło, aby na nim przycupnąć. Nieustannie komentował głośno to, co widział. Orme od czasu do czasu również zbliżał się do okna. Wtedy mianowicie, gdy Bronski chciał mu pokazać coś ciekawego, jak na przykład dzieci bawię się na podwórzu po południowym posiłku. Jednakże myśli Orme'a krężyły wcięż wokół zagadnienia ucieczki. Gdyby zdołali nocę opanować jeden z tych naziemnych pojazdów, mogliby nim błyskawicznie dotrzeć do miejsca, gdzie znajdowało się wejście do tunelu. Wszędzie można było dostrzec marsjańskie samochody. Obserwując odjazd sześciorga Marsjan z komitetu, zauważył, że nie używali oni kluczyków. Najwyraźniej nie obawiali się kradzieży.

Kolacja była szczególnie obfita i urozmaicona. Zjedli ze smakiem pieczeń wołową, pieczonę rybę, fasolę, sałatę, cebulę, sos oraz owoce. Zaskoczyły ich prażone kaczany kukurydzy, owinięte we własne liście.

- Kukurydza z pewnocię nie wchodziła w skład diety starożytnych - powiedział Bronski. - Krsze musieli przed odlotem pobrać próbki roślin z obszaru całej Ziemi.

- Widać stęd pola pszenicy i jęczmienia - odrzekł Orme - ale nie kukurydzy.

Muszę ję uprawiać w innych jaskiniach.

- Albo na polach leżących tak daleko, że nie widać ich stęd.

Następnego dnia była niedziela, czyli jom szamasz. Bronski oczekiwał, że będzie to dzień normalnych zajęć, jednakże, podobnie jak w szabat, nikt nie szedł do pracy, z wyjątkiem rolników, a i ci jedynie karmili bydło i drób. W synagodze odbywały się trzy nabożeństwa, lecz pomiędzy nimi dzieci bawiły się na podwórzach. Najdłużej trwała uroczystość południowa. Jak stwierdził Bronski, poprzednie nie przekraczały dziesięciu minut. Ta cięgnęła się aż dwadzieścia cztery. Przez pierwszych dwanaście tłum stał w milczeniu, a kantor śpiewał.

Więniowie widzieli i słyszeli wszystko dokładnie, ponieważ obrzędy były transmitowane przez telewizję. Bronski przypuszczał, że robiono to, aby biernie mogli w nich uczestniczyć starcy i chorzy. Cały rytuał odbywał się w języku hebrajskim.

- Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że oddaję cześć słońcu - powiedział Francuz. - Muszę poczekać, aż usłyszę wyjaśnienie. Na przykład sekta esseńczyków miała hymn ku czci słońca. Może to coś w tym rodzaju.

Orme zastanawiał się, dlaczego Hfathon nie powiedział im, że również tego dnia nie będzie lekcji. Jednak pół godziny później wierni rozeszli się i wkrótce nadjechał Hfathon wraz ze Żkisz.

Gdy wszedł do środka, przywitał ich zwyczajowym szalom alejchem i oznajmił: - Moi towarzysze pozostali w domach ze swymi rodzinami. Natomiast nasze dzieci sę już dorosłe, zresztę dzieci naszych dzieci również. Wszelako dziś wieczorem mamy wielkie zebranie rodzinne, musimy więc wyjść wczesniej, aby spotkać się z głową rodziny, moim pradziadkiem.

- To prawdziwe szczęście, że masz pradziadka - odrzekł Bronski. - Mam nadzieję, że cieszy się wcięż dobrym zdrowiem i sprawnym umysłem.

- Owszem, nie najgorszym, jak na człowieka w wieku dwustu czterdziestu lat - odparł Hfathon.

Bronski uniósł brwi ze zdumienia, podobnie jak Orme, gdy usłyszał angielską wersję tej wymiany zdań.

- Wasza wiedza medyczna jest znacznie bardziej zaawansowana niż nasza - rzekł Bronski. - Mówisz o ziemskich latach, nie marsjańskich, prawda?

- Oczywiście.

Usłyszawszy to, Orme powiedział:

- Gdyby to były marsjańskie lata, miałby teraz czterysta osiem ziemskich.

Poczekaj, niech no ludzie na Ziemi się o tym dowiedzą.

Bronski zadrżał, gdy tylko wyobraził sobie ewentualne konsekwencje.

- Mogę cię zapytać, ile masz lat, Hfathon?

- Sto sześćdziesiąt dziewięć. Orme gwizdnął.

- Nie dałbym mu więcej niż pięćdziesiąt Inna sprawa, że on jest Krszem, a z nimi nic nie wiadomo. Wszyscy wyglądasz dla mnie tak samo.

- Szauł robi wrażenie, jakby miał około trzydziestki. De liczy sobie lat? - zapytał Bronski.

- Osiemdziesiąt dwa.

- Ta długowieczność nie jest naturalna, prawda? Używacie jakichś środków chemicznych lub innych zabiegów, by spowolnić obumieranie komórek?

- A wy nie? - zapytał Hfathon.

Bronski zastanawiał się, czy nie skłamać. Pomyślał jednak, że prędzej czy później Marsjanie i tak poznają prawdę.

- Nie. Udało nam się w pewnym zakresie zahamować proces starzenia się u zwierząt laboratoryjnych, nie można tego jednak porównać z waszymi osiągnięciami. Jak do tej pory nie mamy nic, co działałoby na ludzi.

Hfathon i Żkisz wstrzymali oddech z wrażenia.

- Nadal umieracie jak zwierzęta? Jak dwa tysiące lat temu?

Bronski nie odpowiedział. Oboje Krszów musiało zdawać sobie sprawę, co ta wiadomość będzie znaczyła dla Ziemi. Gdy tylko o tym usłyszysz, natychmiast podniosz rąb, aby udostępnić im terapię, eliksir czy cokolwiek to było. Jeśli, rzecz jasna, ziemskie rządy podadzą to do wiadomości publicznej. Choć od lat sześćdziesiątych przyrost naturalny zmniejszał się sukcesywnie, przeludnienie było i tak straszliwym problemem.

- Weźmy się do pracy - powiedział Hfathon. - Ale przedtem połknijcie te tabletki.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej szaty dwie wielkie zielone pigułki.

- Proszę. Nie zaskadzź wam. To środek wspomagający pamięć. Będziecie uczyć się dwukrotnie szybciej i zapamiętacie wszystko w stu procentach.

Bronski ujął tabletkę w dwa palce.

- Dlaczego nie aplikowano nam ich od początku?

- Aplikowano. W minimalnych dawkach w jedzeniu, winie i wodzie. Każdego dnia ilość była zwiększana. W ten sposób wyrobiliście sobie odporność na efekty uboczne. Niektóre z nich są bardzo dokuczliwe.

Bronski wytłumaczył Orme'owi do czego mają służyć pigułki.

- Im szybciej nauczymy się języka, tym prędzej nas stąd wypuszczysz - powiedział tamten.

Połączyli pigułki i popili je wodą.

Orme stał przez chwilę, mrugając oczyma, po czym oświadczył: - Nic nie czuję.

- Czego oczekiwałeś? Błyskawicy? Nagłego wzrostu ilorazu inteligencji?

- Wcale się nie czuję bystrzejszy.

Niemniej pastylki podziałały. Opanowali sześćdziesiąt nowych słów, nie zapominając żadnego, jak również poznali znacznie więcej zasad składni języka krsz, niż podczas poprzednich lekcji. Ponadto Orme miał dużo mniej kłopotów z poprawną wymową.

- Czy te pigułki... Jak je nazywacie?

- Gbredut.

- Czy... gbredut... pomogł także osobie o niskiej inteligencji?

- W mniejszym stopniu niż tej o wysokiej.

- Człowieku - zapalił się Orme - one miałyby na Ziemi wielką wartość. Gdybym miał na nie monopol...

- Czy ty myślisz tylko o tym, jak się wzbogacić? - spytał Bronski.

- Myślę o masie innych rzeczy, ale nie widzę powodu, żebym miał przepuścić taką okazję jak ta.

Hfathon ostro przywołał ich do porządku, lecz Orme wciąż wyobrażał sobie, ile pieniędzy mógłby zarobić, gdyby otrzymał koncesję. Te wielce użyteczne pigułki nazwałby Wtyk Straszny - na cześć wielkiego owada z krainy Oz, który dawał swym uczniom pastylki umożliwiające natychmiastową naukę, aby mogli spędzać cały czas na zabawie. Nie sprzedawałby ich drogo. Nie musiałby. Co jednak będzie, jeżeli Marsjanie po prostu ofiarują ludziom gbredut? Z drugiej strony, czy w ogóle pozwolisz, żeby ten specyfik dostał się w ręce Ziemian? Ostatecznie posiadanie go zapewniało im przewagę.

Jeżeli jednak są tak etyczni, jak twierdzisz, nie będą mogli odmówić Ziemianom tego dobrodziejstwa, podobnie jak i terapii przedłużającej życie. A może właśnie odmówisz?

Gdy lekcja, która - jak powiedział Hfathon - była bardzo owocna, skończyła się i Krsze wyszli, Orme spytał Bronskiego:

- Jak siędzisz, udałoby się nam jutro nie połknąć tych pigułek? Moglibyśmy ukryć je w dłoniach. Trudność polega na tym, że trzeba by im wmówić, iż wszystkiego się nauczyliśmy. To nie będzie łatwe, ale może się nam poszczęścić.

Bronski spojrzał na niego zdumiony.

- Chcesz je zachować, aby poddać analizie, gdy wrócimy na Ziemię?

- Dokładnie tak.

- Po to, żeby zostać plutokrata?

- Co w tym złego? Ktoś będzie musiał je produkować. Dlaczego nie ja? Nie zrobię nikomu krzywdy.

- Czemu zwyczajnie nie poprosisz ich o próbkę? Albo o podanie składu? Może wyrażysz zgodę.

- A jeżeli odmówisz? Wtedy dowiesz się, że coś knuję, i będę mnie pilnować jak kot mysiej nory.

Wieczorem pozwolono im porozmawiać z Danton i Shirazim. Oboje potwierdzili, że są teraz trzymani osobno. Nie czuli się zawstydzeni, że złapano ich razem w łóżku, choć konsekwencje tego wydarzenia niepokoiły ich.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem człowieka o imieniu Ijjobh, który mnie przesłuchiwał

- powiedział Nadir - mamy następujący wybór: możemy zostać skazani na przymusowe roboty, a po zwolnieniu mielibyśmy obowiązek nosić przez rok etykietkę obwieszającą, że jesteśmy cudzołóżnikami. To i tak lepszy los niż ten, jaki czekałby nas pod starym Prawem Mojżeszowym, zgodnie z którym zostalibyśmy ukamienowani na śmierć. Alternatywą jest małżeństwo.

- Ale ty już masz żonę!

- Tak, ale powiedziałem im, że jestem muzułmaninem. Wytłumaczyłem, co to znaczy,

uznali mnie jednak za kogoś w rodzaju heretyka żydowskiego. W każdym razie wyjaśniłem im, że muzułmanie mogą mieć więcej niż jedną żonę. Takie po prostu mają obyczaje. Ijjobh oświadczył, że tutaj obowiązuje monogamia, choć na początku, gdy populacja była nieliczna, zezwalało na poligamię. Jeśli go dobrze zrozumiałem, Krsze potrafił zdecydować płęć 60 płodu tak, żeby rodziło się trzy razy więcej dziewczynek niż chłopców. W ten sposób mężczyźni mogliby mieć trzy żony i dzięki temu znacznie więcej potomstwa.

- A co z klonowaniem?

- Nie wiem. Myślałem, że ich religia tego zabrania. A może chcesz uniknąć nadmiernego ujednolicenia genetycznego. Tak czy inaczej zdecydowali, że Madeleine i ja musimy wziąć albo ponieść karę.

- Nie wahałbym się ani przez sekundę - powiedział Orme.

- Toteż nie wahał się - odrzekła Madeleine. - Nie jesteśmy w sobie zakochani, ale dobrze nam ze sobą w łóżku. Pozwoli nam to uniknąć napięć seksualnych. Jest jednak problem: mój środek antykoncepcyjny przestanie działać za sześć miesięcy. Nadir nie miał wszczepu, a więc jest płodny. Za pół roku będziemy musieli zaprzestać konwencjonalnego współżycia. Nie mam zamiaru narażać się na ciżbę. - Madeleine była bardzo trzeźwo myślącą kobietą.

- Macie szczęście - stwierdził Orme. - Bronski i ja mamy tylko siebie nawzajem, a i tak z każdym dniem Avram wydaje mi się coraz ładniejszy.

Bronski zrobił oburzoną minę. Orme roześmiał się.

- Jak na baptystę, wyrażasz się dość swobodnie - stwierdziła Madeleine.

- To moje gadanie nikomu nie szkodzi. W gruncie rzeczy pomaga nawet rozładować stres.

Poza tym to sprawa pomiędzy Panem Bogiem a mną. Jak wam idą lekcje?

Nadir określił tempo jako normalne. Orme uprzedził ich, że prawdopodobnie za kilka dni zaczną robić większe postępy i opowiedział im o pigułkach Wtyk Straszny. Zainteresowało ich to, ale dopiero gdy usłyszeli wiadomość o długowieczności Marsjan, okazali prawdziwe zdumienie.

- Jeśli nie wyjawisz Ziemiąom tajemnicy tego leku, wybuchnie wojna - powiedział Irańczyk.

- Zapewne - zgodził się Orme. - Nie jestem jednak pewien, czy w ogóle zechcą powiedzieć Ziemiąom o jego istnieniu. Jednym z powodów, dla których tak bardzo im zależy, żebyśmy opanowali ten ich język, jest to, że chcesz się dowiedzieć, jakiego rodzaju ludami jesteśmy. Uważani, że gdy już nas poznają, to mogą zdecydować się na całkowitą izolację. Nie sądzisz, Avram?

- Mam za mało danych, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Minął kolejny tydzień. Nadir po zawarciu małżeństwa wrócił do mieszkania Madeleine. On lubu nie udzielił im rabin, ponieważ byli uważani za pogan. Poza tym Shirazi oświadczył, iż zgodnie z obyczajem jego współwyznawców wystarczy, aby oznajmił publicznie, że on i ta kobieta zawierają małżeństwo w obliczu Boga.

Minął się z prawdą, lecz ponieważ Marsjanie nie wiedzieli, jak jest w rzeczywistości, nie mogli oponować. Wszyscy byli z tego małżeństwa zadowoleni, choć Nadir martwił się, co go spotka, gdy wróci do Szkocji.

- Tam bigamia jest niedozwolona.

- Nie przejmuj się - rzekł Bronski. - Zawarłem albo zgodnie z tutejszym, a nie szkockim prawem. Dostarczysz jednak naszym prawnikom tematu do sporów. Czy małżeństwo zawarte na Marsie jest ważne?

- Poza tym - dodał Orme - możesz nigdy nie wrócić na Ziemię.

Ta myśl podziałała na nich jak kubeł zimnej wody.

Trzydziestego dnia uwięzienia cała czwórka została nieoczekiwanie zwolniona.

Hfathon poinformował ich jednak z uśmiechem, że ta wolność ma swoje granice.

- Zostań wam przydzielone mieszkania w pobliżu budynków rządowych. Wasz dom będzie po jednej stronie ulicy, dom Shirazich po przeciwnej. Jednakże, przynajmniej z początku, gdy zechcecie dokądkolwiek się udać, będzie wam towarzyszyło dwóch przewodników.

- Dziękujemy - powiedział Orme. - Czy wolno nam teraz połączyć się z Ziemią?

- Wszystko w swoim czasie. Uważamy, że powinniście dowiedzieć się o nas jak najwięcej, abyście mogli złożyć swoim władzom dokładny raport. Nie chcemy żadnych nieporozumień. Musimy też zdobyć więcej informacji o waszym ludzie. A raczej o waszych ludach, ponieważ jesteście wysoce zróżnicowani. Zaczniecie również uczyć nas ważniejszych ziemskich języków.

- Wszakże to bardzo istotne, aby Ziemia zrozumiała, że nie jesteście tutaj więźniami.

- Ależ jesteście nimi.

Następnie Hfathon powiedział dziwną rzecz.

- Musimy zachować ostrożność, gdy mamy do czynienia z Synami Ciemności. Orme obruszył się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wkrótce wszystko się wyjaśni. Tymczasem chodźmy do waszego nowego domu.

Podczas jazdy samochodem Orme zapytał:

- Wspomniałeś kiedyś o Jezusie Chrystusie. Czy opowiesz nam o nim? Czy oddajecie mu cześć, czy też naprawdę jesteście Żydami?

- Jesteśmy Żydami, którzy wiesz, że Jezus to Mesjasz. Nie, nie oddajemy mu czci należnej Bogu. On jest człowiekiem, a my czcimy tylko Jedyne. Jednak Jezus jest z nami.

Hfathon wskazał palcem na jasną kulę pod sklepieniem jaskini.

- Mieszka tam.

7.

Czasami Hfathon przychodził sam po śniadaniu, aby z nimi porozmawiać. Kiedy indziej odwiedzali ich Szaul albo Jaakob. Od czasu do czasu towarzyszyli im ludzie z innych resortów rządu, a nawet profesorowie nauk ścisłych, humanistycznych lub sztuki. Nigdy nie wchodził, nie spytawszy wcześniej o zgodę, zapewne po to, aby wywołać u Ziemiaków wrażenie, że są oni naprawdę we własnym domu. Po południu wolno im było chodzić lub jeździć niemal wszędzie, z pewnymi wszakże ograniczeniami. Niekiedy Hfathon lub Szaul wozili ich tunelami do innych grot. Było ich czterdzieści i właśnie drżono następnie na potrzeby wciąż rosnącej populacji. Pewnego razu cała czwórka udała się na teren budowy.

Olbrzymie lasery niszczyły twarde granit i bazalt z równą łatwością, jak palnik acetylenowy papier.

- Macie, rzecz jasna, podobne lasery - domyślał się Hfathon. Orme skinął głową.

- Gdy skontaktujecie się z naszymi ludźmi, musicie im powiedzieć, że jeśli wyślą tu statek, nie może on być wyposażony w żadną broń. Ani w bomby atomowe czy neutronowe, ani w inne urządzenia umożliwiające prowadzenie wojny.

Potraktowalibyśmy to jako przejaw agresji.

Hfathon uśmiechnął się, jakby chciał załagodzić ostrą wymowę swych słów.

- Ustawiliśmy na powierzchni planety detektory oraz broń. Są to rodzki czysto defensywne, mogę cię jednak zapewnić, że żaden uzbrojony statek czy pocisk nieprzyjacielski nie zbliży się bezkarnie na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt tysięcy mil.

Orme zapytał, w jaki sposób Marsjanie mogli spenetrować pokład statku znajdującego się w przestrzeni, aby sprawdzić, czy nie ma tam broni. Nie mają przecież własnych pojazdów kosmicznych.

- Nie mieliśmy - padła odpowiedź.

Krsz nie chciał zdradzić nic więcej, lecz Orme przypuszczał, że uszkodzony statek został naprawiony. Jeśli jednak tak się stało, satelita zwiadowczy przekazał wiadomość o tym na Ziemię. A przecież pozostawiono wrak nienaruszony, a wybudowano inny statek bądź całą flotę pod powierzchnią planety? Skoro jednak Marsjanie mogli skonstruować statek w każdej chwili przez ostatnie tysiąc pięćset lat, to dlaczego tak długo czekali?

Nie zagadnął o to Hfathona, zadał mu jednak pytanie, dlaczego magnetometry umieszczone na ziemskich satelitach nie wykryły tak wielu olbrzymich, pustych przestrzeni pod powierzchnią.

- Mamy sposoby na oszukanie takich instrumentów - odrzekł Krsz.

W drodze powrotnej zatrzymali się w restauracji. Jak zwykle czwórka Ziemian otrzymała oddzielny stół.

- Czuję się przez to nieczysty - powiedział cicho Orme.

- W rytualnym sensie tego słowa jesteście nieczystymi - odrzekł Bronski. - Co to ma jednak za znaczenie? Dostajemy takie samo jedzenie, jak i oni. Wszystko jest smaczne. Poza tym możemy rozmawiać ze sobą, nie będąc podsłuchiwanymi.

- Nie byłbym tego pewien - odrzekł Orme. - Skąd wiesz, czy nie ma tu mikrofonu?

- Ale mówimy po angielsku - powiedziała Madeleine. - Oni nie znają tego języka.

- Tak twierdzą - odparł Orme. - Skąd wiesz, czy to prawda? Dlatego, że oni tak mówią? Może robią to po to, abyśmy rozmawiali swobodnie, co pozwoli im dociec, czy czegoś nie planujemy.

- Czy wiesz już, które tunele prowadzą na zewnątrz? - zapytał Shirazi.

- Nie. Zresztą to by i tak nic nie dało. Teraz, gdy mają statek gotowy do startu, mogliby nas z łatwością doścignąć, nawet gdybyśmy dostali się na pokład Arie sś.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Bronski.

- Ich statek musi być cholernie szybki. Znacznie szybszy niż nasz.

- Być może - zastanawiała się na głos kobieta - powiedzieli nam to wszystko, abyśmy porzucili wszelkie myśli o ucieczce.

- To bez różnicy. Mogliby z łatwością nas strącić za pomocą laserów. O ile rzeczywiście ustawili je na zewnątrz. Może nas okłamują. Czy jednak powinienem... powinniśmy podjąć takie ryzyko?

Gdy wrócili do swej "rodzinnej" jaskini, Orme wskazał palcem w górę, na kulę.

- On podobno pokazuje się raz w miesiącu. Czy sądzicie, że ma to sens symboliczny, czy też po prostu wciskają nam kit?

- Wszystko wam powiesz, gdy uznasz, że nadeszła stosowna chwila - odrzekł

Bronski. - A może poczekasz, aż zobaczymy to na własne oczy i sami zdecydujemy.

Minęli plac targowy, na którym kilkuset ludzi sprzedawało i kupowało owoce, bydło, kozy, konie, kury, kaczki, bażanty, indyki, papugi oraz wiele małych ptaszków o pomarańczowo-czarno-zielonym upierzeniu. Śpiewały piękniej niż jakikolwiek ptak, którego słyszeli w życiu. Pochodziły one od ptaków, które Krsz przywieźli ze swej rodzinnej planety - Thrillkrwillutaut. Orme zachwycał

się nimi w obecności Hfathona i następnego dnia Krsz podarował mu dwie sztuki.

Były tak oswojone, że nie trzymało się ich w klatce.

Na targu były również artykuły rolne, dzieła sztuki i wiele przedmiotów użytku

domowego. Za wszystko płacono (gdy nie dochodziło do handlu wymiennego) grubymi plastikowymi pieniędzmi o różnych kształtach i kolorach. Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

Z obserwacji Orme'a wynikało, że społeczeństwo to było znacznie sympatyczniejsze, niż którekolwiek z ziemskich, oraz prawie wolne od zbrodni i występku. Jeśli Hfathon mówił prawdę, to ostatni wypadek kradzieży wydarzył się dziesięć lat temu, a morderstwo - sześć. Jaka inna populacja, licząca milion osób, mogłaby się czym takim pochwalić?

- To brzmi pięknie - powiedział Orme. - Skąd jednak wiesz, że to odpowiada faktom?

- Rozmawiałem z naszymi nauczycielami i z przechodniami na ulicach, zarówno ludźmi, jak i Krszami.

- Mogli ci wciskać ciemnotę. Na pewno mówisz o swoich życzeniach. Wiesz przecież, że gdy rzeczywistość nie dorównuje ideałowi, to ludzie po prostu zaczynają idealizować.

- Mam wrażenie, że mówisz prawdę - odrzekł Bronski. - Nie tak, jakś chcieliby widzieć, ale tak, jaka jest realnie. W każdym razie istnieją tu silne związki rodzinne, które wywierają dobroczynny wpływ. Przypuszczam, że tak jak wszystko, ma to również

złe strony, lecz dobrych jest znacznie więcej. Hebrajskie słowo "kuzyn" zostało zapożyczony przez język krsz w znaczeniu "obywatel". Wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Powinno być obejrzyć tablice genealogiczne, które Marsjanie prowadzą nieustannie od dnia lądowania. Obejmują one nawet mapy genów. Zboczyłem jednak z tematu. Tutaj nie ma sierocińców. Z reguły sierotę adoptuje najbliższy krewny. Oczywiście jest tu bardzo mało sierot, ponieważ większość ludzi dożywa późnej starości. Członkowie rodziny - ciotki, wujowie, siostrzenice i bratankowie - utrzymują ze sobą bliskie stosunki i interesują się sobą nawzajem.

- Chcę mieć pewno, że wszyscy są kochani.

- Bomba! - wykrzyknął Orme. - Co jednak rozumiesz pod słowem "kochać"? Wiesz, jak wyprane ze znaczenia jest ono na Ziemi. Używa się go na sto różnych sposobów i nadużywa na tysiąc.

Bronski wzruszył ramionami.

- Oni są ludźmi - powiedział. - Wiesz, co to oznacza. Rzecz jasna, wpływ Krszów jest również nie do przecenienia.

Avram przekonywał, że Marsjanie osiągnęli stan bliski utopii ze względu na swój niepowtarzalny system religijno-polityczno-społeczny.

- Jego korzeniem, łodygą i kwiatem jest religia, ów system nie robi jednak wrażenia skostniałego i hermetycznego. Jest otwarty na wszelkie przynoszące pożytek zmiany.

- A co oni uznają za przynoszące pożytek?

- Poczekajmy trochę. Szaul zapowiedział, że może nadejść moment, gdy zaproszą nas, abyśmy pomieszkali jakiś czas w marsjańskim domu. W ten sposób będziemy mogli przesiąknąć atmosferę ich życia rodzinnego.

- Czy usiądziesz z nami przy wspólnym stole?

- Myślę, że tak, i to chyba wkrótce. Gdyby nie chcieli na to przystać, to wciśz czulibyśmy się tu jak obcy i nigdy tak naprawdę nie poznalibyśmy ich. Nadal jednak nie przyznaj nam praw obywatelskich, ponieważ się nie nawrócili.

Sędzę jednak, że oczekuj - lub przynajmniej mają nadzieję - że to zrobimy.

- W ten sposób stalibyśmy się Marsjanami i zdradzilibyśmy Ziemię - powiedział Orme.

- Marsjanie mają przysłowie: "Zdrajcą jest jedynie ten, kto zdradził prawdę".

Następnie Bronski przystąpił do opisywania marsjańskiego systemu rządów.

- Każde osiedle rządzi się samo - w sprawach, które go dotyczą. Razem tworzą gminę i delegują swych reprezentantów do gminnej rady. Każdy taki okręg ma swego sędziego, który

przewodniczy radzie. Z okręgów wysyłani sš przedstawiciele do rady jaskini. Jej przewodniczšcym jest sędzia, który stanowi najwyzszš władzš w jaskini. Na nim drabina się kończy, choć i jego rzšdy podlegajš ograniczeniom.

Sędziowie nie sprawujš wyłšcznie władzy sšdowniczej. Przypominajš raczej sędziów z czasów przed nastaniem królów. Czytałš Stary Testament, więc wiesz, co to oznacza. Centralny rzšd tworzy rada przedstawicielei wszystkich jaskiń. Jej głowš jest sędzia. W tej chwili najwyzszym sędziš jest Krsz -Žmrežkot ben Rautha.

To...

- Chwileczkš - przerwała mu Madeleine. - Czy wszyscy sę-dziowe i radni to męzczy□ni?

- Mniej wišcej pišć szóstych.

Danton zrobiła oburzonš minš. Bronski u□miechnšł się.

- Nie jest tak □le, jak się wydaje, Madeleine. Pomijajšc stanowiska wysokich rangš funkcjonariuszy, wszšdzie na nižszych szczeblach administracji oraz w wolnych zawodach liczba kobiet jest bardzo wysoka. Do pišćdziesięciu procent.

Wszystkie jednak sš w starszym wieku. Kobieta musi przebywać w domu, póki dzieci nie dorosnš. To znaczy od okołó dwudziestego siódmego do mniej wišcej czterdziestego siódmego roku życia. Nie zapominaj, że □rodki opó□niajšc starzenie powodujš równiež przedłuzenie okresu dzieciñstwa i młodo□ci. Gdy potomstwo doró□nie, kobieta może się zająć, czym tylko zechce. Je□li pragnie opiekować się dziećmi, ponieważ lubi to robić, może zostać nauczycielkš lub opiekunkš. Marsjanie bardzo cenš swoje latoró□le. Od trzydziestu lat nie było wypadku znšciana się nad dzieckiem, fizycznego bšd□ psychicznego.

Twarz Danton stawała się coraz bardziej purpurowa. W końcu nastšpił wybuch.

- A co z kobietami, które nie chcš mieć dzieci? Które nie majš do tego skłonno□ci albo odpowiedniego temperamentu? Co z lesbijkami, równiež tymi, które chcš być matkami, ale wołš adopcję lub sztuczne zapłodnienie?

- Krsze juž w drugim pokoleniu wyeliminowali biologiczne przyczyny skłonno□ci lesbijskich. Od tego czasu nie ma lesbijek. Danton zakipiała gniewem, zdołała jednak zapanować nad sobš.

- Alež to □mieszne! Po pierwsze, to pogwałcenie praw człowieka!

- Czyžby? Nie zapominaj, że to nie jest Ziemia. Poza tym tutejsze społeczeństwo może jednak zaoferować Ziemi rozwišzanie problemu homoseksualizmu.

- Nonsens! Co z tymi, których skłonno□ci homoseksualne sš wywołane przez □rodowisko rodzinne? Gdzie ojciec jest słaby lub w ogóle go nie ma, a matka dominuje? Co z nim, hš?

- Psycholog, z którym tu rozmawiałem, powiedział mi, że homoseksualizm nie jest wywoływany przez □rodowisko rodzinne. Jak wiesz, na Ziemi wielu męzczyzn ma słabych ojców i silne matki, a mimo to nie sš homoseksualistami. On mi wyja□nił, że zespół słabego ojca i silnej matki wywiera wpływ tylko na tych, którzy majš genetycznie uwarunkowane skłonno□ci do homoseksualizmu. Je□li jednak wyeliminować odpowiedzialne za to geny, skłonno□ci nie ujawniajš się, niezaleźnie od □rodowiska.

- Mówisz o męzczyznach. A co z lesbijkami?

- To samo. Posłuchaj, Madeleine, nie bronię Marsjan, choć podziwiam rezultaty, jakie osišgnęli. Jehudha ben Jonathan, który jest, nawiasem mówišc, Krszem, powiedział, że niekiedy dziecko wykazuje skłonno□ci homoseksualne na skutek mutacji. Geny wywołujšc cukrzycę równiež zostały wyeliminowane, a jednak, niekiedy, chociaž bardzo rzadko, zdarza się dziecko chore na cukrzycę. Nawet przez ponad kilometrowej grubo□ci skałš jaskini przenika pewna ilo□ć promieniowania oddziałujšcego na komórki. Gdy wykrywa się zachowania homoseksualne

lub cukrzycę, dziecko jest leczone. Zmienia się odpowiednio zestaw genów.

- W ten sposób produkujś roboty!

- A sđdzisz, że człowiek powinien mieć prawo wyboru, czy chce chorować na cukrzycę, czy nie?

- Ich inżynieria genetyczna mogłaby przynieć Ziemi wiele korzyćci - odezwał się Orme. - Znacznie nas wyprzedzajś.

- Czy myćlisz o opanowaniu rynku również w tej dziedzinie? - zapytał Bronski.

- Zysk, bogacenie się nie jest niczym złym, jećli przynosi korzyćci wszystkim.

Ale chyba w jakiejć formie Marsjanie muszś stosować kontrolę urodzeń, mimo że jest ona ćcićle zakazana przez Prawo Mojżeszowe.

- Gdyby tego nie robili, nie nadśżyliby z budowaniem nowych jaskiń dla stale wzrastajścej populacji. Jednak tutejsze kobiety nie dokonujś aborcji.

- A co - zapytała Danton -jećli jakać kobieta chce mieć wićcej dzieci?

- Rodzi troje i na tym koniec. Może jednak zostać matkś zastępczś albo pomagać innym kobietom w opiece nad dziećmi.

- To totalitaryzm! - wykrzyknęła Danton.

- W pewnych aspektach zapewne. Niemniej to jedyna autentyczna teokracja w Układzie Słonecznym. Jećli wszystko, co mówisz, jest prawdś.

- Masz na myćli to, że rzđdź tu kapłani?

- Nic podobnego. Nie ma tu kapłanów, choć potomków Aaro-na nie brakuje. Nie majś nawet ćwiśtyni. Dla nich jedynś ćwiśtyniś jest ta w Jerozolimie. Swojś drogś, Jehudha był bardzo podniecony, gdy mu powiedziałem, że Rzymianie zburzyli jś w roku 70. Marsjanie, rzecz jasna, nie mieli o tym pojęcia. Rzekł wtedy: ćNie szkodzi. Odbudujemy jś". Pobladł przy tym lekko. Wyglśdał Jakby powiedział coć, czego nie powinien był mówić.

- Aha! - zawołał Orme. - Wićc majś jakieć plany co do Ziemi.

- Jećli nie majś kapłanów, jak mogś być teokracja? - zapytał Shirazi.

- Hmm... Wyglśda na to, że rzđdzi nimi O n.

- On? Jaki on? - krzyknśł Orme.

- O n ć odpowiedział Bronski, wskazujśc palcem ćwielistś kulę.

Orme miał wrażenie, jakby jego skóra zaczęła odparowywać, wystawiajśc na działanie rozgrzanego powietrza wszystkie końcówki nerwowe.

- Nie masz chyba na myćli... Jezusa?

- Zgodnie z tym, co powiedział Jehudha, to Jezus orzeka w najbardziej skomplikowanych sprawach i od czasu do czasu wtrśca się do działań rzđdu. Jest de facto, choć nie de iure, Wielkim Sędziś.

Mróz przemknśł Orme'owi po kręgosłupie. Kula wyglśdała jak ogromne gorejśce oko.

Czyżby wpatrywało się ono w niego?

- Być może - ciśgnśł Bronski - teokracja nie jest odpowiednim okrećleniem.

Ostatecznie nazywajś go Synem Człowieczym, co oznacza, że jest tylko jednym z ludzi. Nie uważajś go za Syna Bożego, chyba że przez adopcję, ani tym bardziej za Boga. Niemniej...

Orme powtarzał sobie, że reaguje zbyt emocjonalnie. Marsjanie z pewnoćciś nabierali Bronskiego. Gdy jednak, klęczśc na podłodze, odmawiał swś wieczornś modlitwę, zauważył, że bezwiednie kierował twarz w stronę kuli. Podniósł się szybko z płonścym obliczem, jakby przyłapano go na czymć bardzo wstydlwym, a nawet grzesnym.

Następnego dnia został wraz z przyjaciółmi wezwany do biura Hfathona w Tlethszy - głównym uniwersytecie. Czekła tam na nich pozostała piśtka nauczycieli: Jaakob, Żkisz, Szaul, Jirmeja i Hmindron. Ziemianie usiedli. Poczęstowano ich wodś i pon-czem owocowym oraz

wafłami z suszonych ryb. Orme zastanawiał się, jak smakowałyby im obwarzanki, twaróg i mietankowy i wędzony łosoś - zestaw, o którym Żydzi nigdy nie słyszeli. Gdyby zdobył na to patent, zgarnąłby kupę szmalu. Czy jednak daliby monopol na coś takiego komukolwiek, a zwłaszcza gojowi? Poza tym, po co mu na Ziemi marsjańskie pieniądze? Może jednak nadejdzie jeszcze odpowiednia chwila.

Gdy Hfathon zapytał już wszystkich o zdrowie - jak gdyby ktokolwiek tu chorował - powiedział:

- Wezwaliśmy was tutaj, aby opowiedzieć wam część naszej historii. Mamy w tym pomieszczeniu aparaturę audiowizualną, która pozwoli na uzupełnienie ustnego wykładu. Choć poczyniliście znaczne postępy w nauce naszego języka, może się zdarzyć, że użyję takich słów czy zwrotów, których nie znacie. Możecie wtedy pytać mnie o wszystko. Poza tym prosiłbym o zachowanie ciszy aż do końca wykładu.

Nie licząc spodziewanych pytań, nikt się nie odezwał, zanim Hfathon nie skończył. Przez pierwszych piętnaście minut omówił pośpiesznie proces ewolucji życia na Thrillkrillutaut, planecie, z której wywodzili się Krsze. Orme zauważył, że mówca ani razu nie wymienił nazwy gwiazdy, wokół której ona krążyła. Życie rozwijało się tam podobnie jak na Ziemi. Krsze pochodzili od stworzeń przypominających małpy.

- Na podobnych planetach powstają zbliżone formy życia - stwierdził Hfathon. -

Przynajmniej na tych, które odwiedziliśmy. Muszę jednak przyznać, że - oprócz naszej i waszej - napotkaliście tylko dwie takie planety. Jedna znajdowała się wciś w okresie paleolitu. Druga... no cóż, dojdę do tego później.

Prehistoria i historia postępowała naprzód przez kolejne epoki kamienne, epokę brązu, żelaza oraz plastiku, elektroniki i energii atomowej. Podobnie jak na Ziemi istniały tam różne rasy. Na statku, który wyruszył w podróż międzygwiazdową, znaleźli się przedstawiciele wszystkich spośród nich. Jednakże podczas pobytu na Marsie rasy te mieszały się ze sobą i obecnie Krsze byli ludem jednorodnym.

Orme był zachwycony, ujrawszy hologramy przedstawiające cywilizację Krszów. Już wtedy, dwa tysiące lat temu - nie, więcej, ponieważ kto wie, jak długo trwała podróż, zanim statek dotarł na Ziemię - reprezentowali oni taki poziom nauki i techniki, że w porównaniu z tym ziemskie zdobycze wydawały się prymitywne.

Dlaczego więc nauka Krszów nie rozwinęła się do tego czasu? Najwyraźniej nie byli bardziej zaawansowani niż w czasie, gdy opuścili swoją ojczystą planetę. Pod wieloma względami cofnęli się nawet. Większość Marsjan używała koni do orki, jak i do jazdy. Pola używano głównie nawozem bydlęcym i końskim.

Orme zapomniał o swoich pytaniach, gdy Hfathon pokazał im obrazy przedstawiające budowę i start statku kosmicznego. Był on naprawdę olbrzymi, znacznie większy, niż wskazywała na to jego odsłonięta część. Niezależnie od tego, jaki miał napęd - Hfathon pominął ten szczegół milczeniem - musiał on być niewiarygodnie potężny. Nie zbudowano go na orbicie. Wystartował bezpośrednio z powierzchni planety.

Hologramy przedstawiające życie na pokładzie statku również były fascynujące, choć nie działo się tam wiele. Tylko część załogi pełniła dyżur, a reszta przebywała w stanie hibernacji.

- Minęło czterdzieści lat, a poruszaliśmy się z prędkością równą jednej czwartej prędkości światła, zanim dotarliśmy do pierwszego systemu planetarnego - oświadczył Hfathon.

Przed oczyma rozświetliły im hologramy przedstawiające świat przypominające Ziemię z mniej więcej dwudziestego tysiąclecia przed naszą erą. Jego mieszkańcy byli humanoidalni, lecz mieli ostro zakończone uszy oraz kocie oczy i zęby, co jednoznacznie wskazywało, iż pochodzili

oni od drapieżników.

- W tym świecie ewolucja przebiegała nieco inaczej. Duch Boży poprowadził w stronę rozumu prymitywne koty.

W kolejnym etapie wyprawy jej uczestnicy dotarli do gwiazdy, która - podobnie jak ziemskie słońce oraz słońca Krszów i trzeciej z planet - należała do typu G.

- Tym razem podróż trwała pięćdziesiąt pięć lat czasu obiektywnego - wyjaśnił Hfathon.

Tutaj Krsze natrafili na dwie zamieszkane planety - trzeciś i czwartś od źródła światła.

- Czwarta planeta została dopiero co zasypana bombami wibracyjnymi (Hfathon nie wyjaśnił, co to takiego), nieliczni jednak ocalili. Niewielkie grupki błąkały się, szukając pożywienia i starając się skryć przed najeźdźcami.

- Najwyraźniej istoty z trzeciej planety odniosły zwycięstwo - ciśgnł Hfathon. - Nie znamy ich nazwy, posiadamy jednak fotografie.

Na zdjęciu widać było przysadzistś, silnie umięśnionś istotę, ubranś w coś, co przypominało kolczugę. W szerokopalcej dłoni trzymał ów typ srebrzysty hełm z grzebieniem w kształcie piły. Zbliżenie palców pokazało, że były pozbawione paznokci.

Głowa stworzenia przypominała ludzkś, niemniej nie sposób było pomylić je z Ziemianinem. Krótka i gruba szczecina zastępowała włosy. Przywodziła Orme'owi na myśl kolce jeżozwierza, choć mogła być w rzeczywistości bardziej giętka. Czaszka w stosunku do reszty kości była większa niż u człowieka, a uszy ukształtowane nieco inaczej - ich końce rozszczepiały się na dwie długie, mięsiste wyrostki.

Szczęka była bardzo masywna, a wargi

sięgały niemal do nasady zuchwy. Otwarte usta odsłaniały zęby podobne do ludzkich.

Nos stworzenia był krótki i szeroki, a na jego grzbiecie widniał

zaokrśglony garb, z którego sterczało kilka kolców. Brwi były gęste, kolczaste.

Gdy istota mrugała, poruszała górnymi i dolnymi powiekami. Dolne były niebiesko-czame, a górne - tak jak skóra twarzy - czerwonawobrśzowe. Oczy miały kolor intensywnie rdzawy.

- Mogś się od siebie różnić kolorem skóry, oczu lub włosów - powiedział Hfathon - lecz serca ich wszystkich sś czarne. Może, aby być wyrozumiałym, powinienem powiedzieć, że serca tych, którzy nimi rśdźś, sś czarne. Niewykluczone, że w tamtym świecie istniejsz też dobrzy ludzie. Tak czy inaczej, zostaliśmy zaatakowani bez ostrzeżenia, choć przybyliśmy w pokoju.

Na swoje szczęście Krsze byli wyposażeni w środki samoobrony, które okazały się nieco doskonalsze od uzbrojenia napastników.

Orme zauważył, że Hfathon nie podał żadnych szczegółów na ten temat.

Dwa statki, które próbowały unicestwić Krszów, same zostały zniszczone. Mimo to przybysze spróbowali nawiśzać kontakt z obcymi, lecz ci zignorowali ich wysiłki.

Koniec końców, Krsze poczuli się zmuszeni do przerwania swoich badań i udali się w kierunku kolejnej gwiazdy - tym razem było to ziemskie słońce.

- Jednakże Synowie Ciemności ścigali nas, choć zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero w jakimś czasie po tym, jak dotarliśmy na Ziemię. Wprowadziliśmy statek na orbitę wokół niej i przekonawszy się, że zdołamy z łatwością odeprzeć ewentualne ataki jej prymitywnych mieszkańców, wysłaliśmy na dół statek zwiadowczy.

Wzięliśmy wiele próbek życia roślinnego i zwierzęcego i zamroziliśmy je celem zabrania na Thrillkrwillutaut.

Zaznajomienie z istotami rozumnymi okazało się zadaniem znacznie trudniejszym.

Nie mogliśmy nikogo uprowadzić, ponieważ było to sprzeczne z naszymi normami moralnymi. Postąpiliśmy podobnie jak na pierwszej z planet. Lataliśmy w poszukiwaniu istot znajdujących się w niebezpiecznych sytuacjach lub chorych.

Ratowaliśmy je w nadziei, że z wdzięczności dobrowolnie poddadzą się wszelkim badaniom. Następnie zamierzaliśmy je wypuścić w pobliżu miejsca, gdzie doszło do spotkania.

8.

Hfathon przerwał, aby napić się ponczu.

- Żywiliśmy, rzecz jasna, nadzieję, iż przynajmniej niektóre z nich okażą się dościekawie, aby móc polecieć z nami. Na paleolitycznej planecie nie mieliśmy szczęścia. Nasi "goście" znajdowali się na plemiennym etapie rozwoju. Zginęliby, gdyby przebywali zbyt długo z dala od swych współbraci. Dlatego też po badaniach wróciliśmy im wolność. Tutaj jednak napotkaliśmy ludzi cywilizowanych, choć ich cywilizacja była, z naszego punktu widzenia, bardzo zacofana.

Sporód dwustu, na których się natknęliśmy, pięćdziesięciu było tak przerażonych, że czym prędzej odstawiliśmy ich na miejsce. Pozostali pochodzili przeważnie z okolic Morza Śródziemnego, niektórzy z kraju, przez który przepływa wielka rzeka zwana Sin-dhu, oraz nieliczni z odległego Wschodu. Ci ostatni mieli jasnobrzoższą skórę i skośne oczy. Poza tym wzięliśmy kilku przedstawicieli z miasta leżącego na przewężeniu kontynentu oddzielonego od megalśdu przez ocean, zarówno z zachodu, jak i ze wschodu.

W tym momencie Hfathon przerwał wykład, by spytać czwórkę słuchaczy, czy znane im są nazwy wymienionych krain.

- Kraj w dorzeczu rzeki Sindhu to Indie - powiedział Orme. - Ludzie z Dalekiego Wschodu to Chińczycy albo inni przedstawiciele rasy żółtej. Obszar łączący dwa kontynenty to Ameryka Środkowa, a ludzie pochodzący stamtąd to pewnie Majowie.

Przez największy ląd rozumiecie zapewne trzy kontynenty - Europę, Afrykę i Azję.

- Uważaliśmy go za jeden kontynent - odrzekł Hfathon. - Na zdjęciach, które widziałem, wygląda jak jedna masa lądowa.

- Co prawda są ze sobą połączone, ale to trzy osobne kontynenty - odrzekł Orme.

- Choć, prawdę mówiąc, Europa nie zasługuje na tę nazwę. Jest uważana za oddzielny ląd z przyczyn historycznych i rasowych. Wielka masa lądowa na zachód od Eurazji to również dwa kontynenty - Ameryka Północna i Południowa. Wś-

skie pasmo lądu, gdzie znaleźliście Majów, czy kim tam oni byli, to Ameryka Środkowa - łączy oba kontynenty ze sobą.

- Nie chcę się wdawać w geograficzne dysputy - odrzekł Hfathon. - Większość ludzi, których sprowadziliśmy na macierzysty statek, była chora. Wyleczyliśmy ich i nauczyliśmy się ich języków, zanim musieli zdecydować, czy chcą wracać do domu, czy pozostać na statku. Jedną z osób pochodzących z kontynentu, który nazywacie Afryką, z rejonu leżącego niedaleko Kem, po grecku zwanego Aegyptos, był Hebrajczyk o imieniu Mattathias, czyli w skrócie Maciej. Był on uczniem Mesjasza, wybranym przez pozostałych na miejsce Jehudy, po grecku zwanego Ioudas Iskariotes - apostoła, który zdradził Mesjasza.

- Mówisz o Macieju i Judaszu Iskariocie! - z niedowierzaniem zawołał Orme po angielsku.

Krsz nie zwrócił uwagi na jego wybuch. Nacisnął małe urządzenie, które trzymał w ręku, i na olbrzymim monitorze umieszczonym na ścianie pojawił się niski brodaty mężczyzna, rozmawiający w małym pokoju z dwoma Krszami.

- Po jakimu on mówił? - szepnął Orme do Bronskiego.
- Chyba po aramejsku.
- To jest Maciej - oznajmił Hfathon. Po przerwie kontynuował: - Był on trzynastym apostołem i znał dobrze Jezusa przed jego ukrzyżowaniem. Rozmawiał, wędrował i jadł z nim tutaj.

Orme chciał zapytać, co oznaczały jego ostatnie słowa: "Jadł z nim tutaj", lecz Hfathon mówił już o nagłym pojawieniu się Synów Ciemności.

- Nasze czujniki namierzyły ich, gdy wyłonili się zza planety, którą nazywacie Jowisz. Mieliśmy trzy wyjścia: ukryć się, walczyć lub uciekać. Moglibyśmy ukryć się pod powierzchnią oceanu lub z łatwością uciec z Układu Słonecznego, ponieważ nasz statek był szybszy. Nie wiedzieliśmy jednak, co zamierzają uczynić z Ziemią. Sędząc z tego, co widzieliśmy, byli bezlitośni i okrutni. Mieli wysoko rozwiniętą technikę, lecz ich poziom moralny pozostawiał wiele do życzenia.

Mogli zniszczyć Ziemię, podobnie jak czwartą planetę w swym własnym systemie, lub - kto wie - zamienić Ziemię w niewolników. Ponieważ to z naszego powodu znaleźli się tutaj, obrona Ziemi była naszym obowiązkiem. Z reguły unikali-

my wtrącania się w cudze sprawy, nawet jeśli pozwoliliby to oszczędzić wielu krzywd... - przerwał, a po chwili dodał: - No cóż, takie były w owym czasie nasze zasady.

Orme wyprostował się nagle. Co oznaczało to zagadkowe stwierdzenie?

- Tak więc zdecydowali się na walkę.

- Przepraszani cię, Hfathon - odezwał się kapitan. - Nie mogę się powstrzymać.

Powiedział: "Takie były w owym czasie nasze zasady". Co...

- O tym później.

- Dobrze. Chciałem jeszcze zapytać, po czym rozpoznaliście statki Synów Ciemności", jak ich nazywacie. Po wyglądzie, czy jak?

- Były takiego samego kształtu jak te, które zaatakowały nas uprzednio. Nie wiedzieliśmy - czy raczej nasi przodkowie, stanowiący załogę statku nie wiedzieli - w jaki sposób trafili na nasz trop. Statek kosmiczny nie zostawia ładów. Tak przynajmniej sędziliśmy. Być może jednak Synowie Ciemności mieli bardziej rozwiniętą technikę, niż się nam zdawało. Poza tym musieli już dysponować statkami międzygwiazdowymi w czasie, gdy odwiedzili ich system, choć żadnego nie zauważyliśmy. Tak czy inaczej... statek Krszów z ziemskimi ładunkami na pokładzie startł się z nieprzyjacielem sto tysięcy mil od Marsa.

Bitwa była krótka, lecz zacięta. Szczątki floty napastników pomknęły w kierunku Słońca, ale statek Krszów również został ciężko uszkodzony. Jedyny ocalały silnik pozwolił wziąć kurs na Marsa i rozbić się na jego powierzchni. Na szczęście załoga i pasażerowie nie odnieśli obrażeń. Statku jednak nie sposób już było naprawić. Również mniejszy ładownik uległ zniszczeniu.

Marsonauci obejrzeni obrazy przedstawiające lot i katastrofę oraz późniejszą walkę o przeżycie. Za pomocą prostego podręcznego sprzętu Krsze wydrżyli w skale miejsce na tymczasową bazę. Ze skał uzyskiwali tlen i pożywienie. W miarę upływu lat jaskinie rozrastały się, tworząc wreszcie wielki podziemny kompleks.

I choć historia ta wydawała się Orme'owi interesująca, to pragnął on jednak wrócić czym prędzej do sprawy Macieja. Odczuwał nabożny lęk. Apostoł naprawdę przebywał z tymi ludźmi. I, jak

pokazywały hologramy Hfathona, został pochowany niedaleko, w skale.

Kamera zrobiła najazd w głąb cmentarza, ukazując groby pierwszych mieszkańców.

Na nagrobkach widniały napisy hebrajskie, greckie, łacińskie, w języku krsz, ideogramy

pisma chińskiego oraz co, co, jak przypuszczał, było hieroglifami Majów.

Gdy kamera przesunęła się w stronę późniejszych grobów, wszystkie napisy stały się hebrajskie. Nagrobki były jednakowych rozmiarów. Tego wymagało prawo.

Zgodnie z obyczajem hebrajskim wszyscy byli sobie równi wobec śmierci - mężczyźni i kobiety i dzieci.

Bronski przetłumaczył jedną z nagrobnych inskrypcji: - Mattathias bar Hamath. Daty są podane zgodnie z chronologią hebrajską i odpowiadają latom 2 i 149 naszej ery.

W pobliżu miejsca pochówku apostoła znajdowało się dziesięć innych, na które wskazał Hfathon.

- To są nagrobki towarzyszy Macieja, czy raczej jego uczniów. Wszyscy byli chorzy w momencie, gdy zabierali ich z Ziemi. Byli oni libijskimi Żydami, których Maciej przekonał, że Jezus naprawdę był Mesjaszem. Maciej wraz z dziesięć swoich uczniów nawrócił wszystkich pozostałych ludzi, lecz nam, Krszom, jeszcze nie dane było wówczas ujrzeć światła. Większość z nas była agnostykami lub ateistami, choć niektórzy wciąż spełniali religijne obrzędy swoich przodków. Nie sprzeciwialiśmy się, gdy Maciej podporządkował wszystkim swoim ludziom Prawo Mojżesza, choć w swej ignorancji nie widzieliśmy w niektórych z jego przepisów nic prócz bezsensownego okrucieństwa.

Orme nie mógł już dłużej wytrzymać. Zerwał się na równe nogi i zawołał: - Co odmieniło wasze serca?

- Mesjasz objawił się nam we własnej osobie. Uczynił wtedy to, co przekonało nas na wieki.

9.

Filemon Żbieszg Mosze ben Jonathan był młodym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną.

Był z niego dandys co się zowie - pejsy miał ufarbowane na fioletowo, w uszach wielkie srebrne kolczyki w kształcie monet, a na plecach tęczy płaszcz. Starsi krewni uważali taki sposób noszenia się za skandaliczny. Jego ozdobne koturny i pomalowane na szkarłatny kolor paznokcie u nóg sprawiały, że czynili mu nieustannie wymówki. Wysłuchiwał ich w milczeniu, z pokorą, po czym wychodził na miasto, ubrany jak poprzednio. Podobnie postępowało gros młodych ludzi, czyli tych w wieku od dwudziestu dwóch do pięćdziesięciu lat Wkładał na siebie to, co chciał, byleby w zgodzie z modą.

W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników nie oddawał się jednak nadmiernemu picciu - jak określano spożycie więcej niż trzech szklaneczek wina dziennie.

Ponieważ był sportowcem, pozwalał sobie tylko na jedną - przy kolacji.

Orme, który zdobył trzy złote medale olimpijskie (w biegu na 100 i 200 metrów oraz w skoku w dal), udał się na główny stadion, aby potrenować. Był, rzecz jasna, ciekaw, jakimi sportowcami są Marsjanie. Spodziewał się, że dwa tysiące lat życia na planecie o przyciśnięciu znacznie słabszym od ziemskiego doprowadziło do osłabienia ich mięśni. Był w błędzie. Tubylcy uprawiali skoki, biegi i zapasy z taką sprawnością, jakby urodzili się na Ziemi.

Orme polubił Filemona ze względu na jego otwarty sposób bycia. Ponadto zaintrygował go fakt, że był on mistrzem sprintu. Choć Kanadyjczyka mocno ograniczała słaba znajomość języka krsz, nawiązał z młodzieńcem rozmowę i po sześciu dniach od momentu, gdy się poznali, wyzwał go na pojedynek.

Ku swemu zdumieniu i niezadowoleniu Orme przegrał na wszystkich dystansach o kilka metrów.

- No cóż, nie jestem w dobrej formie - powiedział, dysząc ciężko. - 'Potrzeba mi z pięć

miesiący treningu. Każdy krok ma tu pięć metrów długości. Co prawda, nie jestem już młodzieniaszkiem. Pewnie na Ziemi też by ci dołożył. Trzydzieści pięć lat to jednak za dużo jak na sprintera. Ziemskiego sprintera. Nie jestem też przyzwyczajony do biegania boso... - przerwał i po chwili dodał z uśmiechem: -

Ciekawe, czy potrafię wymyślić jeszcze jakieś usprawiedliwienia.

Wtedy właśnie Filemon powiedział mu, że ma tyle samo lat, co on.

- Tak, ale ja nie brałem leków opóźniających proces starzenia się. Idę o zakład, że pod względem fizjologicznym masz najwyżej dziewiętnaście lat.

- Dlaczego nie poprosiłeś, aby dano ci te leki? - zapytał Filemon.

- Uważałem za oczywiste, że mi odmówisz - odrzekł zaskoczony Orme. - Ostatecznie jestem tu obcy.

- Poproś Hfathona. To nic nie zaszkodzi.

Wieczorem Orme powtórzył wszystko swym towarzyszom. Postanowili rano zwrócić się do Hfathona z odpowiednimi prośbami. Bronski zadał Orme'owi wiele pytań dotyczących tego, co widział na stadionie. W końcu Orme zapytał go: - Dlaczego tak nagle zainteresowała się sportem? Zawsze myślałem, że cię to nudzi.

- Zdziwiło mnie to, ponieważ starożytni Hebrajczycy nie znosili igrzysk i w ogóle nie byli zainteresowani sportem. Utożsamiali igrzyska z pogaństwem -

Grecję i Rzymem. Jednakże poglądy zmieniają się z czasem. Ostatecznie współczesni Izraelczycy są bardzo usportowieni. Ortodoksyjni Żydzi stanowią w Izraelu mniejszość.

Rankiem, gdy przybyli nauczyciele i wymieniono pozdrowienia, Orme przedstawił swój projekt.

Hfathon milczał przez minutę z rękami złożonymi jak do modlitwy. W końcu oświadczył:

- Tak, wiedzieliśmy, że o to poprosicie. Odbyliśmy wczoraj wieczorem naradę na ten temat. Nie trwała długo. Uznaliśmy, że nie możemy w tej chwili podać wam leku.

Hfathon sprawiał wrażenie, jakby to zamykało sprawę, lecz Orme nie dawał za wygraną:

- Dlaczego?

- A dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- To byłoby humanitarne.

- Czyżby? Wciąż wiemy o was niewiele. Skąd możemy mieć pewność, że ostateczne efekty nie byłyby negatywne?

- Negatywne? - odezwała się Madeleine. - Czy chodzi ci o to, że mogłoby nam to zaszkodzić, ponieważ nasz metabolizm jest inny od waszego? Czy też o to, że mogłoby wywrzeć destrukcyjny wpływ na nasze społeczeństwo?

- Tak czy inaczej - dodał Nadir - w jaki sposób podanie go wyłącznie nam mogłoby wywrzeć zły wpływ na mieszkańców Ziemi?

- Najpierw odpowiem na twoje drugie pytanie, Madeleine. Mogłoby to spowodować zaburzenie w ziemskim społeczeństwie. To byłoby złe. Zauważyłem, że starasz się unikać takich określeń, jak "zło" i "grzech" lub dyskredytować je. Czy nie wierzysz w istnienie tych zjawisk?

Hfathon znakomicie potrafił zmienić niewygodny dla siebie temat.

- Wolę używać określeń naukowych - odrzekła Madeleine.

- Istnieje więcej niż jeden rodzaj nauki. Istnieje też wiedza, która wykracza poza naukę.

Nie będziemy się jednak teraz o to spierać. Odpowiem także na twoje pytanie, Nadir.

Gdybyśmy podali ci ten lek, a potem wrócilibyśmy na Ziemię, wasi uczeni mogliby odkryć jego skład, dokonując analizy twojej krwi. Niemniej z tego, co wiem o stopniu zaawansowania waszej

nauki, sšdżę, że podobny lek, choć - oczywi□cie - nie tak skuteczny jak nasz, jest już na Ziemi znany. Jednakże z jakiego□ powodu, być może zbliżonego do tych, dla których my go wam na razie nie podajemy, faktu tego nie podano do wiadomo□ci publicznej.

Ornie zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu sprzeczać się z Marsjanami, ani też ich błagać.

- No dobrze - powiedział. - Rozumiecie jednak, dlaczego go pragniemy?

Hfathon u□miechnł się:

- Rozumiemy doskonale. Muszę dodać, że odstawimy wam także pigułki przyspieszające naukę. Próbki krwi, które pobrali□my wczoraj, wykazują, że niebawem mogš wystšpić efekty uboczne.

- Co za efekty uboczne? - zapytała Madeleine. - Niczego nie zauważyłam.

- Nie mogła□ nic zauważyć przed ich wystšpieniem, a mogłoby to mieć miejsce za około trzy dni. Możecie natomiast doznać pewnych zaburzeń w zwišzku z ich odstawieniem. Wrażenie, że w sšsiednim pokoju sš ludzie, podczas gdy nikogo tam nie ma i różne inne objawy paranoidalne. Zrozumcie, że zgodnie z tym, co powiedzieli□cie o Ziemianach, wielu z nich nie stosowałoby tabletek zgodnie z naszymi wskazaniem. Ludzie głupi i przestępcy mogliby ich nadużywać.

- Oczywi□cie tu nikt ich nie nadużywa? - odrzekła rozgniewana Danton.

- Nikt

Nie odpowiedziała, lecz było widać, że jest w□ciekła. Orme również miał pretensje do Hfathona. Czuł się tak, jakby czyniono mu niesprawiedliwe wyrzuty.

Musiał jednak przyznać, że Krsz miał rację.

Po południu na stadionie usiłował subtelnie wycišgnć od Filemona informację na temat tuneli prowadzących na powierzchnię. Tamten jednak nie wpadł w żadnš ze słownych pułapek, które zastawił Orme. Nie sprawiał wrażenia, że wie, o co Orme'owi chodzi. Unikał po prostu tematu, ku któremu tamten go popychał. Chciał

rozmawiać o sporcie na Ziemi. Kanadyjczyk zadawał sobie pytanie, czy był on istotnie taki prostoduszny, na jakiego wyglšdał. Skšd, na przykład, Hfathon wiedział, że Orme poruszy sprawę leku? Czy Filemon powtarzał wieczorem to wszystko, co usłyszał od niego po południu?

A może Marsjanin miał ze sobš nadajnik? Krsz stwierdził pewnego razu, że nawet gdy Ziemianie odzyskają wolno□ć, nie będš pozostawieni samym sobie. Orme spodziewał się, że zostanie mu przydzielony przewodnik. Tak się jednak nie stało. Po upływie pierwszego tygodnia mógł chodzić gdzie tylko chciał bez towarzystwa. Z pozostałš trójkš było tak samo.

W jaki sposób kontrolowano ich poczynania na odległo□ć. A może Marsjanie zbierali informacje od tych, którzy z nimi rozmawiali? Je□li chodzi o inwigilację wizualnš, można jš było prowadzić za pomocš kamer ukrytych w sklepieniu jaskini. Gdy wchodzili do budynków, znajdujące się tam telewizory, choć ich ekrany nie □wieciły, mogły służyć jako kamery. Niewykluczone również, że Marsjanie wszczepili do ciał wię□niów audiomonitory.

Orme zadawał sobie niekiedy pytanie, czy aby nie dajš o sobie znać efekty uboczne po odstawieniu pigułek Wtyk Straszny. Czyżby były to objawy paranoi?

Pewnego dnia, około godziny trzynastej, Orme zmęczył się lekturš ksižki na temat dyferencjalnego napędu fotonowego. Następnie przeszedł do działu humanistycznego i przejrzał katalog literatury pięknej, zawierający wiele tytułów z zakresu poezji. Co najmniej połowa miała charakter religijny. Uznał

jednak, że nawet gdyby znał język lepiej, trudno by mu było zrozumieć poezję z powodu jej skondensowania, nadmiaru niejasnych aluzji oraz kalamburów.

Metrum poezji w języku krsz oparte było na iloczasiu, a nie na akcencie, podobnie jak w

klasycznej poezji greckiej i łacińskiej. Ponadto często stosowano aliterację i paralelizm. Ten ostatni, jak wyjął mu specjalista, został zapożyczony z poezji hebrajskiej.

Orme postanowił wreszcie wrócić do domu i tam kontynuować czytanie Testamentu Macieja, jednakże po drodze zmienił zdanie. Dlaczego nie pożyczył samochodu i nie przejechał się trochę? Jeśli władze mają coś przeciwko temu, zdższ go o tym powiadomić.

Na miejskim parkingu nie było strażników. Dwanaście kabrioletów stało w dwóch równych rzędach na kamiennej nawierzchni. Wsiadł do jednego z nich i nacisnął starter, uruchamiając silnik. Nie było kluczyków, ponieważ prywatne osoby nie mogły posiadać samochodów. Wszystkie były własnością lokalnej społeczności albo rządu. Gdy ktoś potrzebował samochodu, po prostu wsiadał do niego i odjeżdżał.

Ciężarówek było bardzo niewiele, ponieważ rolnicy używali wozów konnych, a towary transportowano w napędzanych pneumatycznie kapsułach, poruszających się podziemnymi tunelami.

Ulice pokrywała gruba nawierzchnia przypominająca gumę, po której przyjemnie było jechać, zresztą chodzić też.

Orme wyprowadził samochód na ulicę, sterując nim ręcznie. Mógł podać ustnie miejsce przeznaczenia komputerowi i usiąść, czekając spokojnie, aż pojazd zawiezie go tam najkrótszą trasą. Lecz tylko nieliczni korzystali z automatycznego kierowcy, prowadzenie samochodu było uważane za przyjemne zajęcie.

Jadąc z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę - prędkością maksymalną wynosiła pięćdziesiąt pięć - Orme skierował się w stronę głównej arterii, która miejską obwodnicą prowadziła na otwartą przestrzeń. Nie było żadnych światła, znaków drogowych, drogowskazów, ani nawet tabliczek z nazwami ulic. Zakładano, że każdy obywatel zna okolicę, w której mieszka. Jeśli był

przybyszem skądinąd, mógł odnaleźć dom poszukiwanej osoby, zapytując innego obywatela lub komputer. Nie istniała też poczta. Ludzie porozumiewali się i przekazywali różne dane za pomocą odbiorników telewizyjnych.

Orme dowiedział się już, że jaskinia, w której mieszka, jest najstarsza. Gdy skontaktował się z rządowym biurem informacyjnym, pokazano mu mapę wszystkich jaskiń i tuneli. Niewstpliwie jego próba została zarejestrowana, lecz nikt nie wspomniał o tym ani słowem, jak również nie odmówiono mu żadnej informacji. Nie pytał o to, gdzie znajduje się wejście do tuneli prowadzących na powierzchnię.

Miał nadzieję dociec tego sam.

Po piętnastu minutach przyjemnej jazdy, wolnej od kurzu i zgiełku klaksonów, minszszy przez cały ten czas zaledwie kilka samochodów, musiał zwolnić do piętnastu kilometrów na godzinę, ponieważ droga wiodła przez małe miasteczko.

Największą budowlę stanowiła kopuła wysoka na sześć metrów, mniej więcej rednicy dziewięćdziesięciu. Okazało się, że był to dach podziemnego elewatora, w którym zbierano zboże pochodzące z okolicznych pól.

Orme zwolnił jeszcze bardziej, aby ominąć małe dzieci grające w coś, co przypominało hokej. Przerwały zabawę, aby przyrzeć się czarnoskóremu człowiekowi. Umiechnął się do nich. Niektóre z nich odpowiedziały mu uśmiechem.

Nagle podbiegła do niego kobieta z wielką skórzaną torbą i zawołała, żeby się zatrzymał. Zrobił to, zastanawiając się, czego może chcieć.

- Czy jedziesz do Jiszub? - zapytała.

- Nie wiem. Gdzie to jest?

- Około dziesięciu kilometrów stąd. Prosto, tę drogę. Muszę się tam dostać, a wszystkie samochody są zabrane. Poszłabym na piechotę, ale nie zdążę.

- Jadę w tamtą stronę. Wsiadaj.

Rzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła przy nim.

- Jestem Gulthilo Ribhka bat Jiszak. Oczywiście wiecie, kim jesteście. Richard Orme, Ziemianin.

Była ładna. Kilka cali wyższa od niego, miała duży biust, szczupłe kostki, żółte kręcone włosy i ciemnoniebieskie oczy. Nie zdziwiło go jej gockie imię, oznaczające „Złocista”, ponieważ wiedział, że niektórzy z Ziemian sprowadzonych na Marsa pochodzili z Europy Północnej. To tłumaczyło takie imiona jak Fauho, Rau-tha, Swiglja i Haurnja.

Nie zdziwił go też fakt, że napotkał blondynkę. Choć większość ludzi mieszkających na Marsie była niebiada i reprezentowała typ ziemnomorski, zdarzali się też tacy, którzy mieli niebieskie bądź zielone oczy oraz włosy rude lub blond. Nie były one jednak naturalne. Niektórzy z przodków Marsjan mogli być blondynami, lecz geny odpowiedzialne za jasną barwę włosów zostały zdominowane w ciągu wielu pokoleń przez te bardziej powszechne. Jednakże, od czasu do czasu, rodzice chcieli, dla urozmaicenia, mieć dziecko o jaśniejszej karnacji i wówczas bioinżynierowie czynili zadość ich życzeniu, dokonując manipulacji genetycznych.

W ten sposób Gulthilo przypominała swoją odległą prababkę, której zawdzięczała również swoje imię.

Ruszył naprzód.

- Czym się zajmujesz? - zapytał.

- Uczę gry na flecie na farmach i w kilku miasteczkach. Zwykle, jeśli nie znajdę samochodu, jadę na rowerze. Jednak dziś rano mój rower się zepsuł, a wszyscy wokół potrzebowali swoich i żadnego nie udało mi się pożyczyć. Na szczęście zjawili się ty. Cieszę się z tego bardzo, ponieważ jest to być może jedyna okazja, żeby porozmawiać z którymś z was.

Jej opowieść brzmiała przekonująco, choć wydawało się dziwne, żeby od nikogo nie można było pożyczyć roweru. Chyba że mieszkańcy potrzebowali ich w związku z jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem. Orme zaczął podejrzewać, że dziewczyna została podstawiona. Może władze liczyły na to, że będzie mniej ostrożny w rozmowie z - jak miał sądzić - przypadkowo spotkaną osobą.

To nie paranoja, powtarzał sobie. Moje podejrzania mają realne podstawy. Być może jednak wyrzdzam jej krzywdę.

- Dokąd jedziesz? - zapytała bez ogródek, z otwartością charakterystyczną dla tubylców. Podobnie jak dzieci, nie obawiali się obcych, nawet tych z innej planety.

- Po prostu przed siebie. Podziwiam piękno krajobrazu. Chciałem wreszcie zobaczyć coś innego. Mam doć uniwersytetu. Liczyłem, że się odprężę.

- Jesteś żonaty?

Choć przyzwyczał się już do bezpośredniości Marsjan, to pytanie zdumiało go.

- Byłem, ale żona rozwiodła się ze mną - odpowiedział.

- Niedawno był w telewizji program o was, Ziemianach. Widziałyście go? Nie? No więc komentator powiedział, że u was jest dużo rozwodów. Można dostać rozwód z byle powodu albo w ogóle bez powodu. To wydaje się dziwne. Tutaj tylko niewiara, cudzołóstwo, okrucieństwo albo całkowita niezgodność charakterów mogą być przyczyną rozwodu. Kiedyś mogła być niś jeszcze bezpłodność, ale teraz wszyscy są płodni. Oczywiście wszyscy też wierzą w Mesjasza, co jednak nie powstrzymuje nielicznych, złych ludzi od sprzeciwiania się mu potajemnie.

A więc nawet tutaj istnieli dysydenci.

- Kiedy moja żona wyszła za mnie, wiedziała, że pragnę tylko jednego: zostać

astronautę... podróżnikiem kosmicznym. Gdy jednak o mały włos nie uległem wypadkowi, nie ustawała w wysiłkach, aby nakłonić mnie do rezygnacji z tego zawodu i znalezienia sobie bezpieczniejszej pracy. Dlatego się rozstaliśmy.

- A może jesteś zaręczony? Uśmiechnął się i zapytał: - A czy ty jesteś zamężna lub zaręczona?

- Nie. Mój mąż, w chwili gdy za niego wyszłam, miał dwieście czterdzieści lat.

Umarł wkrótce po tym, gdy najmłodsze z naszych dzieci poszło na uniwersytet. To było dwa lata temu. Kilkunastu mężczyzn stara się o moją rękę, ale nie podjęłam jeszcze decyzji. Poza tym raczej cieszy mnie to, że jestem wolna od małżeńskich obowiązków. Można powiedzieć, że jestem na urlopie.

Orme był ciekaw, jak się czuje człowiek, który wie, że jego ojciec miał już dwieście lat, zanim on przyszedł na świat. Jeśli był Marsjaninem, prawdopodobnie nie widział w tym nic dziwnego.

Był zachwycony swą pasażerką. Choć suknię miała zapiętą pod szyję i sięgającą aż do kostek, tkanina była na tyle cienka, że zdawała się uwydatniać jej bujne kształty oraz długie nogi. Twarz miała również zmysłową: pełne wargi, lekko zakrzywiony, lecz subtelny nos, gęste czarne brwi, delikatna jedwabista skóra, niebieskie i ciemne oczy. Orme westchnął. Nigdy nie będzie należała do niego, nawet przez chwilę.

W końcu, gdy mijali farmę, rzekł:

- Dwa lata bez mężczyzny to dość długo, nie sądzisz? Powiedziawszy to, spojrzał na nią i zauważył, że się zarumieniła. - Posunąłem się za daleko - pomyślał. -

Kto by się spodziewał!" Od dzieciństwa nie widział ani razu, żeby kobieta się czerwieniła.

- A ty jak długo jesteś bez kobiety? - zapytała. - Sześć miesięcy? Czy to dużo?

- Nie można powiedzieć, żeby to była wieczność - odparł wesoło.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła cicho: - Zatrzymaj się przy tym drzewie.

Spojrzał na nią, lecz nic nie powiedział. Zatrzymawszy samochód, zorientował się, że drzewo i pole wysokich szesunit - roślin przypominających słoneczniki - zasłaniało ich ze wszystkich stron, z wyjątkiem drogi, którą przyjechali i którą przez ostatnie pięć minut nikt nie przechodził. Przynęła się do niego. Na nogach poczuł dotyk jej ud.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę tego pragnę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i wpiła się wargami w jego usta. Po chwili jej język wcisnął się do gardła, stykając się z jego językiem.

- To nie może być prawda" - pomyślał.

Niemniej jednak, wszystko działo się realnie.

Pozwoliła mu dotknąć swojej piersi, lecz gdy próbował rozpiąć jej szatę, cofnęła się. Oboje dyszeli ciężko.

- Chciałam tylko zobaczyć, jak to jest, gdy całuje się Ziemiak - powiedziała.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. - Byłam też ciekawa tego. Jest takie dziwne w dotyku. Ale przyjemne.

- Może przyniesie ci szczęście - odrzekł. - W dawnych czasach biali ludzie zwykli dotykać wełnistej czupryny Murzyna na szczęście.

- To dziwne.

- No i jak ci się podobało całowanie Ziemiaka?

- Bardzo podniecające. Aż za bardzo. Nie zapominaj, że od dwóch lat nie całowałam nikogo, z wyjątkiem moich krewnych. Robię się bardzo namiętna.

Zwracano mi też uwagę, że jestem zbyt ciemna. Nie jestem jednak złą kobietą. Po prostu

nie mogłam nad sobą zapanować.

- Ja nigdy jeszcze nie całowałem Marsjanki - oznajmił Orme. Po chwili dodał: - Moglibyśmy pójść na pole.

Zaczerwieniła się ponownie, lecz w chwilę potem uśmiechnęła się.

- Gdybyśmy to uczynili, musielibyśmy wziąć ślub.

- Nie powiedziałbym nikomu.

- Aleja bym wiedziała. Zresztą nie jestem w tobie zakochana. Przepraszam cię.

Nie powinnam była tego robić. Tylko że...

- Nie przepraszaj. Było cudownie. Mam jednak nadzieję, że nie podpuszczasz innych mężczyzn w ten sposób. Który z nich mógłby cię zgwałcić.

- Tylko zły człowiek uczyniłby coś takiego. Poza tym trafiłby za to do Szeolu.

- Gdzie to jest? Zadrzała.

- Nie chcę o tym mówić. Jedźmy, proszę.

- Jak sobie życzysz.

Po chwili namysłu powiedział:

- To jest niewstpliwie najbardziej moralne społeczeństwo w Układzie Słonecznym.

Przynajmniej najciślej przestrzegające norm. Jednak natura ludzka musi być wszędzie taka sama. Jaki procent panien młodych jest tutaj w ciszy w chwili ślubu?

Roze miała się.

- Ocenia się, że mniej więcej jedna czwarta. Jednak żadna kobieta nie zostaje okryta hańbą. Winny mężczyzna nigdy jej nie odrzuca. Nie ośmieliłby się.

- Przypuszczam, że jest to powodem wielu nieszczęśliwych małżeństw.

- Dlaczego miałyby tak być?

Nie potrafi w tej chwili na to odpowiedzieć. Będzie musiał znacznie lepiej poznać poglądy tych ludzi, zanim wda się w jakikolwiek spór. Było oczywiste, że tutejsze warunki były na ogół, a nawet przeważnie, zupełnie inne, aniżeli ziemskie.

Gulthilo wskazała na gorejszą kulę.

- Jemu by się to nie spodobało.

- Aha, jemu! Ale dlaczego strach przed nim miałyby prowadzić do szczęścia?

- Kochamy go - odparła. - Oddawalibyśmy mu cześć boską, gdyby nam pozwolił.

Wciśz jednak powtarza, że to nie on jest Miłosiernym.

Orme postanowił zmienić temat. Cała ta gadanina, choć przyniosła wiele informacji, nie przybliżała go do celu. Skoro ta kobieta była tak bezpośrednia, dlaczego on nie miałby zachować się podobnie? Być może zyska coś przez zaskoczenie.

- Tak przy okazji, powiedz mi, gdzie zaczyna się wejście do tuneli prowadzących do statku kosmicznego? - zapytał.

- Tam.

Wskazała na błękitną ścianę jaskini. Podsztył wzrokiem za niewidzialnym przedłużeniem jej palca, nie dostrzegł jednak nic szczególnego.

- Jeśli pojedziesz drogą, która biegnie równoległe do tej, jakieś osiem kilometrów stąd, a potem skierujesz się prosto w stronę ścian, to dotrzesz do traktu wspinającego się w górę. Następnie trafisz na półkę skalną, na której stoi niewielki budynek pomalowany w niebiesko-czerwone pasy. Z tyłu, za nim, jest wejście.

To było tak łatwe. Być może za łatwe.

- Czy to wartownia?

- Nie. Po co mieliby tam być strażnicy?

Czyżby go nabierała? A może naprawdę uważała, że Ziemianie byli skłonni do ucieczki

w stopniu nie większym, niż tłusty wół pasący się na bujnej łące. Czy tutejsze władze sędziły podobnie?

- Jeśli zabłędzisz, możesz zapytać o drogę w wiosce Gamaliel. Zwolnij, proszę.

Tu mieszka Wang ben Hebel. Uczę jego syna i córkę.

Orme zawrócił na cementowym podjeździe w kształcie podkowy i zatrzymał się przed samym domem. Podobnie jak większość

budynków mieszkalnych był on drewniany i miał siedem boków. W tej kulturze liczbie siedem przypisywano wielkie symboliczne znaczenie. Dom wznosił się na półtora piętra, a drewno, z którego go zbudowano, było, jak wiedział Orme, bardzo twarde (pochodziło ze ła wiata Krszów) i bardzo cienkie. Deski były ustawione pionowo. W ła cianach osadzono liczne duże okna. Przypominający pa-godę dach pomalowany był na czerwono. Kilka schodków prowadziło na jasnoniebieską werandę. Okap był bardzo szeroki ze względu na żydowską tradycję, która głosiła, że jeśli człowiek spadnie z dachu, jego krew nie powinna zbrukać ła cian domu.

Wielkie zwierzę, przypominające czarnego wilka, lecz pochodzące ze ła wiata Krszów, zerwało się z werandy i głołno załwier-gotało. Po chwili dwoje dzieci w wieku dziesięciu i trzynastu lat wybiegło na zewnątrz. Szczupła ciemnoskóra kobieta, prawdziwa piękność, pojawiała się w kilka sekund później.

Widok Orme'a zaskoczył wszystkich troje. Gdy Gulthilo przedstawiła go - jak gdyby nie wiedzieli, kim był - ułmiechnęli się szeroko. Wyglądali na szczerze zachwyconych. Gulthilo podziękowała mu za podwiezienie, spoglądając na niego z tajemniczym wyrazem twarzy. Zrozumiał, że musi się pożegnać. Zanim jednak zdążył

zrobić krok w stronę samochodu, zawołała:

- Poczekaj moment! - Po czym powiedziała coś szybko w języku krsz do kobiety imieniem Estera.

- Jesteś głodny? - zapytała Gulthilo.

- Nie jadłem jeszcze obiadu, ale...

- W takim razie zapraszamy cię na obiad. Nie odmawiaj, proszę...

- Wspólnie z wami?

- Tak. Estera właśnie oglądała telewizję. Podano, iż Rada zdecydowała, że wolno wam jeść z nami przy jednym stole. Nie możecie już spożywać nieczystych pokarmów, ponieważ wasze zapasy się skończyły. Rzecz jasna dotyczy to tylko powszednich posiłków. W dni ła wiśteczne nadal będziecie jeść osobno. Musicie przestrzegać zasad.

- Przyznaję, że niezbyt przyjemnie jest czuć się jak parias - odrzekł Orme.

Podziękował jej i przestąpił próg szerokich drzwi. Na framugach znajdowały się mezuzy - małe pudełka zawierające ła więte księgi. Jedyne mieszkania na Marsie, w których ich nie powieszono, zajmowali Ziemiańskie.

Pierwszy z pokoi był wysoki i przestronny. Deski ła cian były na przemian koloru białego i jasnoniebieskiego. Z sufitu zwisały trzy żyrandole z ciętego kwarcu. W

każdym z nich znajdowało się sześć ogromnych żarówek. Jedyną ozdobę ła ciany stanowiły dwa wielkie i bardzo płaskie teleekrany oraz olbrzymia włócznia zawieszona na wspornikach. Zgodnie ze starodawnym zwyczajem Krszów ojciec wręczał uroczycie włócznię synowi w chwili, gdy ten się żenił. Ludzie przejęli ów zwyczaj mniej więcej w czasie, gdy wydrżono szóstą jaskinię.

Podłoga wykonana była z mahoni. Gdzieś tam dobiły już dywaniki w jasne wzory. Całość uzupełniały meble: olbrzymi stół zajmujący ła rodek pokoju, pięć sof, kilka małych stolików, pulpit i wielkie biurko, które miało na każdym z rogów wysokie okrągłe słupki, wyrzełsione w szłcioramiennie gwiazdy i wzory kwiatowe.

Z pokoju wychodziło się bezpośrednio na patio, pokryte wypolerowanymi granitowymi płytkami. W centralnym punkcie znajdował się duży siedmiokątny basen. Pośrodku z otworów wyrastały drzewa o rozłożystych konarach, wysokie na pięć, sześć metrów. Podobne do kanarków żółte i szkarłatne ptaszki ćwierkały wśród gałęzi, podskubując fioletowe owoce, wielkości i kształtem zbliżone do gruszki.

W jednym z kątów stała kotka, ubarwieniem przypominająca lwicę. Obserwowała trzy bawiące się kocięta. Jej spiczaste uszy, mordka oraz wielkie zielone oczy przywoływały na myśl rysia.

Estera zaprowadziła ich na drugą stronę patio. W korytarzu wskazano Orme'owi obszerną łazienkę. Zamknął drzwi, załatwił potrzebę fizjologiczną, a następnie umył twarz i ręce. Wanna - tak wielka, że mogło się w niej wygodnie pomieścić troje ludzi - była wykuta w bloku lżejszego czarnego bazaltu.

Gdy powrócił do towarzystwa, zaprowadzono go do olbrzymiej kuchni z piecem tak wielkim, że można by upiec w nim cielaka. Nie wyglądało jednak na to, aby często go używano. Na jednej ze ścian znajdowały się półki z nożami, piłami, tasakami i przyborami stołowymi. Na innych umieszczono talerze i garnki. Przy zlewie stał pień do krojenia mięsa. Jeden z rogów zajmowała duża elektryczna kuchenka oraz mikrofalowy piekarnik. Była tam również zmywarka do naczyń, dwie wysokie lodówki i - na samym środku - stół tak wielki, że mogło przy nim zasiść dwadzieścia osób. Nakryto go jednak tylko dla sześciu.

Estera krzątała się wkoło, ustawiając na stole półmiski z jedzeniem i wazy z owocami. Dziewczynka pomagała jej, lecz syn stał nieruchomo, gapiąc się na Orme'a. W końcu matka wysłała go do piwnicy, do której włąz znajdował się w jednym z kątów pomieszczenia. Po minucie chłopiec wrócił stamtąd, niosąc dwie wielkie butelki wina. W tej samej chwili wszedł do pomieszczenia Wang Elkana ben Hebhel - głowa rodziny. Gulthilo przedstawiła mu Orme'a. Ukłonili się sobie nawzajem. Gospodarz był najwyraźniej zaniepokojony widokiem tej wręcz baśniowej istoty - czarnoskórego Ziemianina. Przyglądał się mu w sposób, który na Ziemi uznano by za nieuprzejmy. Tutaj jednak takie zachowanie świadczyło o dobrych manierach.

Ben Hebhel wrócił właśnie z pola, gdzie sprawdzał, jak rośnie jęczmień. Umył się pospiesznie i zdjął ubranie robocze, zastępując je czystym białym strojem. Jego kapelusz, przypominający kowbojskie sombrero, był także koloru białego. Na ramiona zarzucił taśmę - srebrzystą chustę modlitewną. Chłopiec wybiegł z pokoju. Po chwili wrócił, przynosząc takie same chusty dla wszystkich członków rodziny, jak również dla Orme'a.

- Nie jesteś naszej wiary, jak dotąd - powiedziała Gulthilo - lecz Rada zdecydowała, że możesz się modlić razem z nami, jeżeli sobie życzysz. Tylko ta kobieta, Danton, nie może brać udziału w modlitwach, dopóki pozostanie ateistką.

- Chętnie pomodłę się z wami - odparł Orme.

Tu jednak formułę dziękczynienia i błogosławieństwa wypowiedziano po posiłku.

Zaczęli jeść smaczną zupę jarzynową, czarny chleb, sałatę oraz ser. Na Marsie obiad był lekkim posiłkiem. Nie podano na stół mięsa, nie trzeba więc było uważać, aby nie zetknęło się ono z produktami nieczystymi.

Orme musiał odpowiadać na mnóstwo pytań zadawanych głównie przez dzieci. Przy pomocy Gulthilo robił to najlepiej, jak potrafił. Raz nawet zacytował Nowy Testament: "To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu"⁴¹

- A więc znasz tę wypowiedź Mesjasza - stwierdził Wang. - To znaczy, że czytałeś Testament Macieja?

Orme wyjaśnił, że na Ziemi zachowały się świadectwa innych uczniów Jezui. Zebrano je w księgę tworzącą ciąż dalszy tego, co Ziemianie nazywali Starym

Testamentem - do świętej księgi Żydów staro-i nowożytnych oraz chrześcijan.

- Tak, słyszeliśmy o tym - powiedziała Gulthilo. - Za dwa tygodnie zostanie nadany pierwszy z programów, które przedstawiś nam historię wyznawców Mesjasza od chwili, gdy prorok Maciej opuścił Ziemię.

Głównym źródłem informacji dla twórców tej serii był Bronski, choć i Orme dostarczył tyle danych, ile tylko mógł. Nie był jednak z siebie zadowolony, gdyż ujawniła się jego ignorancja w sprawach własnej religii. Wykształcony żyd, Bronski, wiedział o niej znacznie więcej od niego.

- Wracając do Testamentu Macieja - cięgnął Wang. - Nie powiedziało, czy go czytało.

- Przeczytałem mniej więcej jedną czwartą - odrzekł Orme. - Idzie mi to ciężko, ponieważ nie znam jeszcze dobrze języka krsz. Chociaż muszę przyznać, że tekst jest napisany do ciebie przejrzyście. Oryginału greckiego nie mógłbym w ogóle przeczytać.

- I czy ci autorzy Nowego Testamentu, jak ich nazywasz, zgadzają się z Maciejem?

Orme uśmiechnął się.

- No cóż, w niektórych fragmentach tak, a w innych nie. Na przykład Maciej nie mówi nic o narodzinach dziewicy, o Trójcy świętej, rodowodzie Jezusa czy... wielu innych rzeczach.

Bronski, który zdążył już przeczytać Testament Macieja cztery razy, powiedział

Orme'owi, że wszystkie księgi Nowego Testamentu zostały napisane wiele lat po ukrzyżowaniu Jezusa. Ponadto wiele z nich, zwłaszcza cztery Ewangelie, stały się niewątpliwie obiektem manipulacji.

* Ewangelia według św. Marka (2,27) Cyt. wg. Biblii Tysiąclecia, wyd. III.

Orme zaprzeczył temu, lecz Bronski, który był wietnym znawcą Biblii, cytował mu odpowiednie wersety i przytaczał obszernie komentarze.

- Mateusz, Marek, Łukasz i Jan nigdy nie słyszeli o narodzinach z dziewicy.

Paweł nic o tym nie wspomina, a może się założyć, że gdyby o czym takim słyszał, poświęciłby temu własny komentarz. Wszystkie wzmianki na ten temat w czterech Ewangeliach są niewątpliwie późniejszymi dodatkami, „nabożnymi”

oszustwami. Ponadto z Ewangelii jasno wynika, że Jezus był Żydem, który uważał się za Mesjasza i Zbawiciela wyłącznie Żydów. Rozszerzenie wiary na gojów było głównie dziełem Pawła i Barnaby. Większość Żydów nie uznała Jezusa za Mesjasza, poczyniono więc pewne zmiany w Prawie Mojżeszowym, aby pozyskać gojów. Na przykład zrezygnowano z obrzezania i z zakazów dotyczących odżywiania się. Jeśli chodzi o wiarę w narodziny dziewicy, była ona powszechna wśród pogan. Ich mity i legendy zawierały setki podobnych przykładów.

- Dlaczego nigdy nie słyszałem o tym wszystkim? - zapytał Orme.

- Dlatego że, podobnie jak większość chrześcijan, nie chciało ci się przeczytać dostępnej literatury. Rzecz jasna wielu ją czytało, lecz nie przyjęli oni odkryć uczonych do wiadomości. Zignorowali je, ponieważ ich wiara była ślepa. A jeśli nawet uwierzyli w nie, to dokonali ich racjonalizacji i stali się niezdecydowanymi liberalnymi chrześcijanami. Z drugiej strony fundamentalistom wierzą, że naprawdę istnieli Adam, Ewa i rajski ogród i że wszę skusił Ewę, aby zjadła owoc z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, i że wszę został przeklęty, utracił swe kończyny i musi teraz pełzać na brzuchu po wieki. Cha! Cha!

Orme zdenerwował się i przestał w końcu spierać się z Bronskim.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Maciej nie wiedział nic o zmartwychwstaniu Jezusa, choć słyszał plotki na ten temat. Jednakże jako trzynasty apostoł znał

dobrze wszystkich, którzy byli bliscy Jezusowi, i żaden z nich nie twierdził, że widział

Pana powstałego z grobu.

- A więc - oznajmił Bronski - relacje na ten temat w czterech Ewangeliach sš sfalsyfikowane. Marek, Łukasz, Mateusz i Jan podajš sprzeczne historie. ChrzeŹcijaŹscy apologetyci napisali wiele ksiŹzek usiłujšcych wytłumaczyŹ te sprzecznoŹci. Źadna z nich nie jest przekonujšca. Stanowiš za to wspaniałe przykłady zdolnoŹci ludzkiego umysłu do wynajdowania interpretacji niewygodnych faktów. I to wszystko! Jedynym wnioskiem, jaki można z tego wysnuŹ, jest ten, Źe z Jezusa zostało zaledwie kilka zbutwiałych koŹci w jakimŹ kamiennym grobie lub zgoła proch. Sš jednak niezbite dowody na to, Źe Jezus pojawił się nagle na Marsie na krótko przed tym, jak zaczęto drŹżyć jaskinie pod jego powierzchnię. Nie było go na statku Krszów, gdy startował on z Ziemi, a przynajmniej nie wykryto jego obecnoŹci na pokładzie. I nagle - bach! Pojawił

się! Maciej, który znał go dobrze, rozpoznał go. Wtedy właŹnie Jezus oznajmił, Źe zmarł na krzyŹu i został pochowany, lecz - wbrew temu, co twierdŹ Ewangelie - niektórzy z jego uczniów zabrali ciało z grobu i pochowali w innym miejscu.

Wiesz, Źe ich wrogowie oskarŹali ich o to. Niemniej twierdził ów Jezus, Źe jego duch został zabrany do nieba. Potem zaŹ Bóg skierował go z powrotem do Źwiata materialnego, lecz nie na Ziemię. Bóg oŹwiadczył mu, Źe się mylił - Jezus, nie Bóg, oczywiŹcie - co do czasu i natury Dni Ostatnich. Został zatem wysłany w nowym cielesie, które zresztš wyglšdało tak samo jak stare, na Marsa, aby władał

tam swoim ludem, przygotowujšc go do misji ustanowienia Królestwa Syjonu na Ziemi. Co o rym wszystkim sšdzisz?

Oszołomiony Orme mógł tylko odrzec, Źe nie ma w tej chwili nic do powiedzenia.

Dodał jeszcze, iŹ ma wraŹenie, Źe cała ta opowieŹ zalatuje nieŹwieŹš rybš.

- Ryba była symbolem dla pierwszych chrzeŹcijan - odrzekł Bronski.

Orme nie spytał go, co chciał przez to powiedzieŹ.

Od dnia owej rozmowy starał się przeczytaŹ relację Macieja tak szybko, jak tylko pozwalała na to jego znajomoŹŹ języka. Na razie dobrnšł do fragmentu, w którym Maciej i jego uczniowie zapadli w Libii na dŹumę i modlili się, aby Duch BoŹy wybawił ich od złego, podobnie jak uczynił to z narodem wybranym w czasach MojŹesza.

Pozostały czas na posiłek w domu Wanga uprzyjemniły opo-wiadane przez gospodarza dowcipy. Miał do tego wielki talent i Orme z chęciš spędziłby z nim cały dzieŹ, rywalizujšc z nim w opowiadaniu kawałów.

JednakŹe Źaden z dowcipów nie był ŹwiŹski". To było zabronione.

W koŹcu Wang oŹwiadczył, Źe musi wracaŹ do pracy, a Gulthilo zabraŹ się do lekcji.

Orme podziękował za obiad i wsiadł do samochodu, podczas gdy pozostali zebrali się na ganku, aby go poŹegnaŹ i prosiŹ, aby ich jeszcze kiedyŹ odwiedził.

Zanim Orme zdŹszył odjechaŹ, Gulthilo podbiegła do niego i pochyliła się nad siedzeniem, dotykajšc nadgarstka męŹczyzny.

- MoŹe nie powinniŹmy się spotykaŹ - powiedziała. - Chciałabym jednak jeszcze kiedyŹ cię zobaczyŹ. JeŹli któregoŹ dnia będziesz przejeŹdŹał tš drogš, zapytaj o mnie w wiosce Nod. MoŹesz takŹe skontaktowaŹ się ze mnš przez teleekran.

- Chciałabym bardzo. Nie wiem jednak, czy władze mi w tym nie przeszkodŹš. Poza tym, co powie twoja rodzina, gdy pomyŹli, Źe się do ciebie zalecam?

- Będziemy się o to martwiŹ póŹniej - odparła. Cofnęła dłoń, zostawiajšc na jego ręce ciepły, przyprowadzajšcy o mrowienie Źlad. - Reszta zaleŹy od ciebie. Ja juŹ i tak byłam zbyt Źmiała.

Odjechał, nie oglądając się za siebie. Było to miłe doświadczenie, które w znacznym stopniu, choć na krótki czas, złagodziło jego poczucie wyobcowania.

Poza chwilami, które spędzał w towarzystwie Filemona i pozostałych sportowców, dotkliwie dokuczała mu samotność. Jak to się mówi? „Obcy w obcym kraju”.

Nieklamana gościnnie i przyjazne nastawienie tej rodziny oraz względy, jakimi obdarzyła go Gulthilo, sprawiły, iż poczuł się bardziej swojsko i bezpiecznie.

Powtarzał sobie jednak, że to tylko złudzenie. Randki z tą blondynką mogły go drogo kosztować, za rodziną ben Hebhela okazała mu serdeczność, ponieważ prawdopodobnie wymagało tego od nich ich Prawo.

Nie, na pewno krzywdził ich, myśląc w ten sposób. Ich uprzejmość nie była wyłącznie formalna. Okazali mu autentyczne zainteresowanie. Oczywiście, mogło się tak dziać choćby dlatego, że stanowił dla nich atrakcję. Będł mieli się czym pochwalić przed przyjaciółmi.

Powtarzał sobie, że znów ma objawy paranoi. Dlaczego nie przyjąć, iż są szczerzy, dopóki nie znajdzie dowodów, że jest inaczej?

Wang podarował mu butelkę wina. Orme pociągnął z niej co chwila. Gdy wreszcie dotarł do ścian jaskini, był na wpół pijany. Zdał sobie sprawę z tego, że doprowadzenie się do tego stanu było głupotą. Przecież, szukając wejścia do tunelu, musi być w pełni władz umysłowych. Zrozumiał wtedy, że pił wino dlatego, iż nie wierzył, aby ta próba mogła mu się powieść. Zachowanie przeciwnika było ostentacyjne, podejrzanie obojętne. Nie obchodziło ich, że Orme wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie, robiąc to, na co miał ochotę, i że mógł w końcu odnaleźć wejście do tunelu. Cały czas wiedzieli, gdzie się znajduje. Mogli go powstrzymać w każdej chwili.

Gdy skończył butelkę, zamiast nabrać odwagi i optymizmu, poczuł głęboki strach.

Był idiotą, jeżeli sądził, że zdoła tak po prostu podjechać do miejsca, które umożliwiło mu ucieczkę, i wydostać się tamtędy. Żadni inteligentni ludzie - a Marsjanie byli inteligentni, mimo że mieli dziwaczne przekonania religijne - nie pozostawiliby drogi, prowadzącej na zewnątrz, niestrzeżonej. Być może jednak zrobili to, aby dotarłszy na powierzchnię, przekonał się, że ładownik jest uszkodzony lub że go tam nie ma.

Mimo to pojechał drogą wiodącą ku górze kopuły. Do diabła! Powinien doprowadzić to do końca!

Zbliżał się do metalowych drzwi, dwójga masywnych drzwi, osadzonych w ścianie jaskini. Po jej prawej stronie widniała kopuła, lśniąca w przygasającym świetle późnego popołudnia. Wokół nie było nikogo. Czuli się tak pewnie, że nawet nie wystawili straży. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przez minutę siedział

spokojnie, nasłuchując i uważnie obserwując okolice. Odwrócił się i spojrzał za siebie. Nikt nie nadjeżdżał jego ładem. Jedyнным pojazdem w zasięgu wzroku był wyładowany czarna wóz konny, znajdujący się w odległości kilkuset metrów.

„Najpewniej jakiś rolnik” - pomyślał.

Wokół zalegała cisza. Lekki wietrzyk owiewał mu twarz. Było to normalne zjawisko w tej olbrzymiej jaskini. Niekiedy na dachach domów lub kopułach spichlerzy, w strumieniu albo w rzecz-ce pojawiał się odblask światła. Jeden raz Orme dostrzegł intensywny błysk, jakby promienie odbiły się od lustra. Z gęstego lasu, rosnącego w pobliżu ścian jaskini, wybiegł jeleni rudoj maści; rozejrzał się wkoło i z powrotem zniknął pomiędzy drzewami.

Było cicho i spokojnie. Niemniej jednak ten wiat stanowił bombę zegarową, która mogła eksplodować... na Ziemi. Jakie plany snuli Marsjanie?

Orme wysiadł z samochodu i podszedł do kopuły. Wielkie okna były odemknięte,

również drzwi stały otworem. Ze □rodka nie dobiegał żaden odgłos. Gdy jednak zajrzał przez okno, ujrzał Krsza. Siedział za biurkiem i pisał co□ piórem.

Sprawiał wrażenie, jakby usłyszał Orme'a, choć ten nie wydał przecież żadnego d□więku.

- Wejd□, Richard - powiedział Hfathon. - Czekałem na ciebie.

10.

Orme wszedł do □rodka. Serce biło mu szybko. Usiadł na krze□le, które wskazał mu Krsz. Hfathon pochylił się nad biurkiem i posłał przybyłemu u□miech. Nie umknęło uwagi kapitana, iż Marsjanin wygląda na bardzo zadowolonego z siebie, ale Krsz wskazał rękš tablicę rozdzielczš znajdujčš się na □cianie.

- Przy jej użyciu można otworzyć drzwi do tunelu. Załóźmy, że potrafiłby□ tego dokonać. I co dalej? Wywołałoby to alarm w centralnym budynku rżsdowym oraz w całym kompleksie tuneli, gdzie cały czas stacjonujš strażnicy. Nawet gdyby ich tam nie było, nie zdołałby□ otworzyć żadnych drzwi bez użycia kodowego sygnału d□więkowego pochodzšcego ze specjalnego urzšdzenia oraz bez pomocy dwóch nadzorców w budynku rżsdowym.

Orme wzruszył ramionami.

- Musiałem spróbować.

- Oczywiście. To był twój obowišzek. Zasuęujesz na pochwałę. Jestem jednak zdziwiony, a nawet rozczarowany, że twoim towarzyszom zabrakło podobnej odwagi i determinacji.

- Sš przekonani, że ucieczka jest niemożliwa, więc nie wzišłem ich ze sobš.

Zresztš sš tak zafascynowani tym, czego nas uczycie, iż nie my□lę, aby naprawdę chcieli uciec. A przecież naszš powinno□ciš jest powrócić na Ziemię, jak tylko nadarzy się okazja.

- Jakkolwiek, z innego punktu widzenia - odrzekł Hfathon -nie masz żadnych obowišzków wobec swojego państwa, je□li ich spełnienie miałoby oznaczać wybór zła przed dobrem. Istnieje Kto□ większy niż państwa, czy nawet □wiat cały.

Powiniene□ być o tym pomy□leć. Gdyby□ to uczynił, wiedziałby□ juź, że należy pój□ć za Synami □wiatła, a nie Synami Ciemno□ci. Im ofiarowałby□ swójš lojalno□ć, gdyby□ potrafił zrozumieć, że większo□ć mieszkańców Ziemi, to Synowie Ciemno□ci, wtedy...

- Dlaczego miałbym tak sšdzić? - wybuchł Orme.

- To oczywiste - odparł Hfathon. - Ty i twoi towarzysze powiedzieli□cie nam wiele o warunkach panujšcych na Ziemi. Jest jasne, że niesprawiedliwo□ć, nęđza, morderstwa, wszelkie wyobra-

źalne rodzaje zbrodni, a nade wszystko nienawi□ć, sš tam zjawiskiem powszechnym.

Macie □rodki, aby uczynić Ziemię podobnš do rajy, lecz używacie ich do złych celów. - Przerwał. Po chwili za□ dodał: - Zakładam oczywiście, że mówicie prawdę. Nie wyobrażam sobie, żeby□cie celowo przedstawili obraz swojej planety w tak czarnych barwach. Powiedz szczerze, czy nie jest tu znacznie lepiej, niż gdziekolwiek na Ziemi?

- Tak - odrzekł Orme - przyznaję, że to, co widziałem do tej pory, prezentuje się bez porównania lepiej. Macie tu jednak nielicznš społeczno□ć, która nie jest poddana różnorodnym wpływom, jakie istniejš na Ziemi. Chodzi mi o to, że jeste□cie jednorodni. Nie macie różnych ras, narodów, języków, ideologii i religii. Nie macie też tysišca rozmaitych, często sprzecznych ze sobš tradycji.

Nie znacie również konfliktów pomiędzy klasami, rasami i systemami politycznymi.

Pozbyli□cie się tego wszystkiego, tworzcš zunifikowane pod względem politycznym,

religijnym i ekonomicznym społeczeństwo. Uznali was za jedną tradycję za własną i kultury wowa-li was za wolni od jakichkolwiek obcych wpływów. Uczynili was to już dawno temu, a poza tym wasza wysoko rozwinięta nauka i technika zapewniły wam dobrodziejstwa, które dla nas, Ziemiaków, nie były wtedy dostępne.

- To prawda - zgodził się Hfathon - Tak więc... moglibyśmy udostępnić wam te dobrodziejstwa, których wamiś wam brak. Jednakże nie w charakterze darów, które w sposób nieunikniony wykorzystalibyście do złych celów.

- Chciałbym się napić wody. Hfathon wstał z krzesła mówiąc: - Pozwól, że ci podam. Jestem tu gospodarzem... Choć nie zapraszałem cię tutaj.

Udał się do sąsiedniego pomieszczenia i po chwili wrócił, niosąc w ręku wysoką szklankę.

- Proszę. To znacznie lepsze dla ciebie niż wino, którego dziś tak bardzo nadużyłeś.

Orme wypił wodę.

- Dziękuję - powiedział. - Zgadza się, trochę się zalałem. Napięcie było zbyt silne.

Chciałem też uczcić to, że wyrwałem się na wolność choć na chwilę.

- Nie było ci na wolności ani przez moment. Byłeś pod stałą obserwacją. Nie miałeś żadnej szansy uciec dokądkolwiek. W ogóle nigdy w swoim życiu nie znałeś wolności. Jedynym prawdziwie wolnym człowiekiem jest ten, kto wyswobodził się od zła. W połowie wolny jest ten, który stara się to osiągnąć.

- Daruj sobie te slogany.

- Może masz rację. Przykład jest skuteczniejszy niż słowa. "Po owocach poznacie je".

Wracamy już. Ja poprowadzę.

Orme podszedł za nim, zastanawiając się, jak Krsz się tu dostał. Nigdzie nie było widać innych samochodów. Albo przywieziono go tu, albo też podziemny system komunikacji służył nie tylko do transportu towarów.

Gdy samochód ruszył w dół, Orme zapytał:

- Widzieliście wszystko, jak się zdarzyło?

- Nie - odrzekł Hfathon. Spojrzał na niego z boku i uśmiechnął się. - Nie widzieliśmy cię w czasie, gdy przebywałeś w tamtym domu, ani też wtedy, gdy zatrzymałeś się pod drzewem z Gulthilo bat Jiszak. Swoją drogą, co tam robiliście?

- To nasza sprawa - odrzekł Orme.

- Niewstpliwie. Jeśli tylko wasze sumienia potrafią sobie z nimi poradzić.

- Nie robiliście nic złego - odparł Orme gniewnym tonem.

- Być może, w każdym razie z twojego punktu widzenia. Zresztą nieważne, przynajmniej w tej chwili. Zostawmy to. Richard, wiem, że ty i twoi towarzysze byliście zaniepokojeni, ponieważ nie pozwoliliście wam porozumieć się z Ziemią.

- Zaniepokojeni? Byliście oburzeni!

- No właśnie. Nie chcieliście jednak, abyście składali raport, póki nie będzie on kompletny. Musicie zrozumieć nas dogłębnie, poznać na wylot, zanim nas opiszecie. Na to trzeba czasu. Gdybyście mieli opowiedzieć o nas już teraz, przekazalibyście jedynie półprawdy i pobieżne wrażenia. Chcemy, żeby na Ziemi pojęto dokładnie, kim i czym jesteście. Rzecz w tym, że póki co najprawdopodobniej nie dano by wiary jakimkolwiek waszym raportom. Jednakże za dwa dni, gdy złożycie swój meldunek, będziecie mogli potwierdzić, iż to wszystko jest prawdą, i to nie tylko przy użyciu słów.

- Że co jest prawdą? - zapytał powoli Ziemiak.

- To, co zobaczycie za siedem dni. Nie będziecie wtedy mieli wątpliwości. Ludzie na Ziemi, mam nadzieję, również nie. Mogą jednak potrzebować więcej... Nie myślimy o tym na razie.

Wyraz twarzy Hfathona sugerował stan bliski ekstazy. Po chwili zaczął nucić pieśń, którą Orme słyszał już przedtem na ulicach, a raz również w wykonaniu Filemona.

- Ciesz się, że czujesz się szczęśliwy - powiedział. - Ja jestem jedynie zdumiony i pełen sceptycyzmu.

- To się zmieni - odparł Hfathon i rozśmiał się.

- Mam nadzieję, że na lepsze - odparł Orme ponurym głosem.

- Od tego zależy twoje życie.

Orme nie pytał go, co miał na myśli. Miał już dość wykrętnych odpowiedzi, które wydawały się sprawiać ich opiekunom tyle przyjemności.

Na chwilę przed wjazdem do centrum jaskini ręczny zegarek Hfathona wydał brzęczy dźwięk. Krsz powiedział coś do niego, po czym podniósł go do ucha.

Zmarszczył brwi, rzekł coś po cichu, po czym zwrócił się do Orme'a.

- U Madeleine Danton wykryto włanie raka wstroby. Kapitan był wstrząśnięty.

Przez chwilę nie był zdolny nic powiedzieć.

- Badania rozpoczęte przed dwoma dniami włanie ujawniły jego obecność - oznajmił Krsz.

- Ale przecież zbadano już dokładnie przed startem! Uwierz mi, wszystkich nas sprawdzano bardzo skrupulatnie. Hfathon wzruszył ramionami.

- Przypuszczalnie był za mały, aby wasze instrumenty mogły go wykryć. A może powstał pomyślenie. W każdym razie Madeleine jest teraz w głównym szpitalu.

Zawieziono ją tam natychmiast, gdy tylko lekarze stwierdzili raka.

- Biedna Madeleine - powiedział Orme. Po chwili dodał: - Kto by się spodziewał, że nawet na Marsie napotkamy raka?

- Nie ma się czym martwić - odrzekł Krsz. - Nikt już na to nie umiera.

Ponieważ Orme nalegał, Hfathon podjechał do szpitala, który okazał się małym jednopiętrowym budynkiem w pobliżu głównego gmachu rządowego. Jego niewielkie rozmiary były jednak zwykłym kamuflażem.

Pod powierzchnią miał jeszcze dziesięć kondygnacji. Darfton znajdowała się na szóstej. Idąc korytarzem, Orme zauważył, że zadbano, aby personel i pacjenci nie odnosili wrażenia, iż są pogrzebani żywcem. Za każdym z okien rozciągały się piękne widoki - drzewa, ptaki, jelenie pasące się na łąkach, dzieci bawiące się w oddali. Sceny te wyglądały zupełnie jak prawdziwe. W poczekalni spotkali Shiraziego i Bronskiego. Na powitanie obaj wstali z krzeseł, lecz wyraz smutku nie zmienił ich twarzy. Shirazi uśmiechnął się nawet - Włanie się dowiedziałem - powiedział Orme. - Jak się czuje Madeleine?

- Wszystko w porządku - odrzekł Nadir. - Za kilka minut już wypuszczysz. Zabieg jest krótki, ale mężczyzna, dziewczyna musi więc chwilę odpocząć.

- Chcesz powiedzieć, że już po wszystkim? Ledwo postawili diagnozę i już już wyleczyli? Jak to możliwe?

- Mnie też trudno w to uwierzyć - odpowiedział Nadir. - Jednak lekarze zapewnili mnie, że jest już całkiem zdrowa, a ponadto nie będzie żadnych przerzutów.

- Poinformowano mnie na uniwersytecie - oznajmił Bronski. - Uważali, że powinienem się dowiedzieć, chociaż równie dobrze mogli poczekać, aż będzie po wszystkim.

- Ale nie masz im tego za złe, że przeszkodzili ci w pracy, prawda? - zapytał Orme.

- Nie bądź złośliwy. Jasne, że nie. Obawiam się jednak, że prawdopodobnie wezwali nas tu wszystkich, aby nam zaimponować. Chcieli pokazać, jak bardzo zaawansowana jest ich wiedza medyczna. Musimy przecież mieć coś do przekazania na Ziemię.

- Zaczekaj chwilę - rzekł Orme. - Wam też powiedzieli? Mam nadzieję, że za dwa dni pozwolę nam skontaktować się z Ziemią?

- Tak. Trrwangon, moja nauczycielka, powiadomiła mnie o ich decyzji na chwilę przed tym, jak dowiedziałem się o Madeleine.

- Rada uznała, że wasz niepokój osłabnie, jeśli uprzedzimy was, że nie będziecie musieli czekać zbyt długo - stwierdził Hfathon. - Poza tym możecie powoli rozpocząć prace nad raportem, czy raczej jego pierwszą częścią. Drugi zaczniecie przygotowywać za osiem dni. Zostań przekazane razem.

- To świetnie - stwierdził Orme. - Chociaż, mówiąc szczerze, zdaje mi się, że jednak knujecie coś, co może nas niemiło zaskoczyć.

Hfathon uśmiechnął się.

- Wybacz, że to powiem, ale według mnie postępujecie niehumanitarnie, nie chcąc podzielić się z Ziemią waszymi cudownymi lekami - dodał Nadir Shirazi. - Gdyby można było przekazać dane o nich natychmiast, uratowałyby życie milionom ludzi, wielu innym oszczędziłyby mnóstwo cierpień.

- Wstąpię - odparł Hfathon. - Słyszyc po tym, co nam powiedzieliście, nawet gdybyśmy przekazali waszym uczonym niezbędne informacje w tej chwili, upłynęłoby kilka lat, zanim rzędy na Ziemi zezwoliłyby na korzystanie z naszych medykamentów. Po pierwsze, dane musiałyby zostać sprawdzone. Następnie przeprowadzono by doświadczenia na zwierzętach. Potem ustawodawcy zdecydowałiby, czy i kiedy należy udostępnić nasze leki. Rzecz jasna, musieliby prędzej czy później to zrobić ze względu na opinię publiczną, lecz cały proces zajęłby, powiedzmy, od czterech do sześciu lat. Mam rację?

- Obawiam się, że tak - odrzekł Orme.

- Ponadto, gdyby nawet recepty oraz dane kliniczne, gromadzone w ciągu dwóch tysięcy lat - z których wynikałoby jednoznacznie, że skuteczność leku wynosi sto procent - zostałyby nawet przekazane, to wasze władze i tak zażądałyby przeprowadzenia niezależnych testów, prawda?

- Zgadza się.

- No więc, po co się spieszyć?

- Myślimy tylko o ludziach, których można by uratować - odparł Shirazi.

- A weźmy choćby - wtrącił Orme - lek opóźniający starzenie. Im później dotrze na Ziemię, tym więcej ludzi umrze z powodu chorób wieku starczego.

- To prawda. Nie można jednak nic na to poradzić. Jeżeli w ogóle prześlemy wam sposób produkcji tego leku, zrobimy to

tylko pod pewnymi ściśle określonymi warunkami. Kraje socjalistyczne będą musiały podać go wszystkim, bez wyjątku, na koszt państwa. Nie pozwolimy, by sprzedawano go dla zysku, czyniąc dostępnym tylko dla tych, którzy mają pieniądze. Kraje komunistyczne będą musiały uczynić to samo. Nie będą mogły odmówić podania leku więźniom politycznym. Ponadto, aby się upewnić, że nasze warunki są spełnione, w każdym kraju powołamy specjalne jednostki administracyjne. Będą one zorganizowane tak, że rzędy nie będą w stanie w żaden sposób ingerować w ich działalność.

Orme spojrział na Bronskiego i Shiraziego. Każdy z nich wiedział, co myślał pozostałi. Było możliwe, choć mało prawdopodobne, że ich własne państwa na to zezwolą. Będą stawiały opór, lecz gdy tylko ludzie dowiedzą się, że taki lek jest osiągalny, zaczną wywierać nacisk, któremu nie będzie można się oprzeć. Tak czy inaczej, rzędy z pewnością spróbują zachować jakiś rodzaj kontroli nad całą sprawą. Co zaś się tyczy państw komunistycznych, nie pozwolą one na przekroczenie granicy tak wielkiej liczbie cudzoziemców, jak będzie niezbędna do

zorganizowania skutecznego nadzoru. Uznajś ich za szpiegów, w prze□wiadczeniu, że rozdawnictwu leku towarzyszyć będzie propagowanie antykomunistycznych haseł.

Czy zdołajś jednak oprzeć się żśdaniom swych obywateli, gdy ci dowiedzś się, że uniemożliwiono im przedłużenie życia? Czy nie doprowadzi to do zamieszek, a nawet rewolucji?

Tak czy owak, nastśpi olbrzymie zamieszanie. Nic już nie będzie jak przedtem, w żadnym państwie, niezależnie od ustroju czy ideologii.

Marsjanie posiadali straszliwś broń. W pewnym sensie mogli wysadzić Ziemię w powietrze, nie oddajśc ani jednego wystrzału. W gruncie rzeczy mogli prowadzić wojnę pod pozorem udzielania olbrzymich dobrodziejstw. Długowieczno□ć to tylko jedna z pozycji w ich arsenale. Eliminacja chorób byłaby następńś. Jednak Orme domy□łał się, że to tylko drobiazg w porównaniu z tym, czego Marsjanie do tej pory nie ujawnili. Podejrzewał, że wkrótce wszystkiego się dowie. Jako chrze□cijanin powinien z przejściem oczekiwać nadej□cia tego, co miało się wydarzyć za siedem dni. Drżał jednak ze strachu - strachu, który był zapowiedziś wielkiej trwogi.

11.

Hfathon powiedział im, że mogś wspólnie zmontować czterogodzinny □program”.

Powiedzś i pokażś wszystko, co zechcś. Nie będzie żadnej cenzury, chyba że ich stwierdzenia okazałyby się błędne lub wręcz kłamliwe. W takich przypadkach ich □gospodarze”, jak Hfathon okre□lał Marsjan, o□wiecś ich, aby mogli powiedzieć prawdę. Nic jednak nie zostanie wycięte.

Przygotowanie raportu nie było tak łatwe, jak się wcz□niej całej czwórce zdawało. Trudno było zachować równowagę, ponieważ każde z nich chciało pokazać jak najwięcej rzeczy dotyczących własnej specjalno□ci. Po całodziennej dyskusji zgodzili się, choć z niechęciś, że każde z nich ograniczy swójś czę□ć programu.

- Najważniejsi sś sami Marsjanie - stwierdził Orme. - Ich historia, wliczajśc w to pochodzenie Krszów. Musimy pokazać, w jaki sposób zdołali przeżyć na Marsie oraz jaki jest aktualny obraz ich społeczeństwa. To najbardziej zainteresuje ludzi na Ziemi. Dokładne dane na temat stanu ich wiedzy mogś zaczekać. Poza tym, szczerze mówić, brak nam informacji dotyczących naprawdę istotnych osiągnięć nauki i techniki. Do tego ten program ma najwyra□niej stanowić zaledwie wstęp, streszczenie tego, co nam się dotychczas przydarzyło. De takich informacji zdołamy wcisnąć w ramy czterech godzin? Będziemy się musieli maksymalnie streszczać. I tak dla naszych ludzi będzie to nie lada szok. Pierwsze dziesięć minut oszołomi ich do tego stopnia, że w ogóle nie zrozumiejś pozostałych dwustu trzydziestu.

- Poza tym - dodała Madeleine - nie wiemy, ile z tego, co przygotowujemy, zostanie pokazane naprawdę. Musimy oszczędzać czas na to, co stanie się za sze□ć dni.

Wyglśdała na całkowiec zdrowś, lecz było oczywiste, że nie sypia dobrze.

Niespodziewane wykrycie raka oraz jego równie nagłe i nieoczekiwane wyleczenie wstrzśsnęły niś. Orme podejrzewał jednak, że nie to było głównś przyczynś jej bezsenno□ci. Zapowiedziane wydarzenie - pojawienie się Mesjasza - niepokoiło jś głąboko. Nie mogła po prostu dać wiary w to, co Marsjanie jej o nim powiedzieli. Z drugiej strony, w □wietle tego, co tu przeżyła, nie mogła uwierzyć, że jś okłamujś. Orme dziwił się, że sam jest równie niespokojny, jak Madeleine. Ona była ateistkś, można więc było przewidzieć, że wszystko to mocno jś poruszy, zwłaszcza je□li wziść pod uwagę religijne wychowanie, jakie otrzymała. Poprzez mroczne warstwy pod□wiadomo□ci przebijały się na □wiatło dzienne wpojone w dzieciństwie odruchy. Religijne wychowanie nie mogło zniknąć bez □ładu. Takie rzeczy nigdy się nie

zdarzały. Natomiast on... urodził się i wychował w rodzinie baptystów, którzy wszystko, co było napisane w Biblii, traktowali dosłownie.

Orme usiłował sobie przypomnieć, co wiedział z Biblii na temat Jezusa. Jezus Chrystus narodził się z dziewicy i zmarł na krzyżu za grzechy ludzi, zapewniając im zbawienie, zmartwychwstanie i życie wieczne, jeżeli uwierzysz, iż jest on Synem Bożym, równym Bogu, oraz jeżeli będziesz przestrzegali złotej reguły, przyjmiesz pewne dogmaty i zostaniesz ponownie narodzeni” na sposób duchowy.

Orme wierzył w to wszystko, mimo pewnych wątpliwości, zanim nie trafił do szkoły średniej. Tam jednak poznał nieodparte dowody na istnienie ewolucji, na trwającą miliardy lat historię Ziemi, a także szereg innych rzeczy; wszystko to sprawiło, że odszedł od ortodoksji, choć ufał, że nie utracił łaski.

Aczkolwiek nie wierzył, że Stary Testament należy traktować dosłownie, sądził, że Nowy Testament stanowi wiemy zapis przedstawianych wydarzeń. Jego rodzice byli przerażeni owymi poglądami. Uważali, że pójdzie do piekła, jeżeli nie powróci na drogę prawdy. Choć zasmucało go to, nie wyrzekł się jednak swej bardziej liberalnej odmiany chrześcijaństwa. Nie wierzył już, że pójdzie do piekła, pełnego ognia i siarki, gdzie czekają go wieczne męczarnie cielesne, jeżeli nie będzie ufał w literalny sens przekazu starotestamentowego. Być może pójdzie do piekła, ale będzie ono miało charakter duchowy, oparty na straszliwej pewności, że został raz na zawsze odcięty od kontaktu z Bogiem.

Robił też rzeczy, o których wiedział, że są złe. Od czasu do czasu upijał się i sypiał z dziewczętami, na długo przed ślubem. Gdy jednak miał już żonę, pozostawał jej wiemy, choć nie było to łatwe. Rozwód był dla niego ciężkim ciosem. Czyż Chrystus nie powiedział, że jedyną przyczyną rozwodu może być niewierność?

Orme żył jednak w społeczeństwie, w którym uzyskanie rozwodu było równie łatwe, jak zawarcie małżeństwa. W każdym razie on nie chciał rozwodu, lecz walka o to w sądzie byłaby bezcelowa.

Orme modlił się do Boga i Jego Syna każdej nocy, a niekiedy również w dzień i miał nadzieję spotkać się pewnego dnia z Jezusem twarzą w twarz. Jeżeli wierzyć Marsjanom, wkrótce rzeczywiście stanie twarzą w twarz z żywym Zbawicielem. Skąd więc ten niepokój, przyspieszona akcja serca, nudności i pragnienie ucieczki?

Czyżby dręczyło go to, iż będzie musiał jakoś się przekonać, że ma do czynienia z prawdziwym Chrystusem? Nie sądził, aby potrafił to uczynić, choć w Biblii bez wątpienia nie brakowało wskazówek pomagających oddzielić prawdę od fałszu.

Marsjanie twierdzili jednak, że Jezus zamieszkiwał z nimi, choć większość czasu spędzał w kuli, która zastępowała im słońce. Utrzymywali, że posiadają na to niezbita dowody. Ponadto z tego, co przekazał Maciej, który znał Jezusa w Palestynie, wynikało, iż był on tylko człowiekiem, choć większym od innych, ponieważ był Mesjaszem.

Maciej był jednym z purysim - „oddzielonych”, czyli faryzeuszów. Jezus przeklął ich podobnie jak konkurencyjne stronnictwo saduceuszów. Jednakże złorzeczenia, jakimi obrzucił faryzeuszów, dotyczyły tylko tych spośród nich, którzy byli hipokrytami. W przeciwieństwie do swych rywali, saduceuszów, wierzyli oni w zmartwychwstanie i w anioły, podobnie jak Jezus. Choć przestrzegali Prawa Mojżeszowego ściślej niż on, przyznawali jednak, iż może ono podlegać zmianom.

Nie byłiby ślepo posłuszni, gdyby było to sprzeczne z rozumem lub z ich sumieniem. Gdy faryzeusze oskarżyli Jezusa o nieprzestrzeganie szabatu, o jądanie z celnikami i grzesznikami oraz o nieobmywanie rąk przed posiłkiem, odpowiedział im: „To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu”.

Faryzeusze mogli pogodzić się z tą zasadą, przynajmniej w teorii. Ich odpowiedź Jezusowi nie została uwieczniona w Nowym Testamencie, lecz Maciej twierdził, że z czasem wielu z nich zgadzało się w tym punkcie z Chrystusem.

Faryzeusze zabiegali również gorąco o zbawienie nie tylko Żydów, lecz całej ludzkości. Wierzyli, że prędzej czy później, rzecz jasna, poganie zaakceptują Prawo i będą wyznawać tylko jednego Boga, pod warunkiem, że będzie to Prawo Mojżesza, a Bogiem będzie Jahwe. Naród Izraela stanie się pierwszym ze wszystkich, jako starszy i mądrzejszy brat. W przeciwieństwie do innych sekt faryzeusze uznawali również prozelityzm, to znaczy dopuszczali możliwość nawracania pogan na judaizm.

Choć Jezus nie był faryzeuszem, zgadzał się z wieloma ich doktrynami i praktykami. Przez pewien czas, według Macieja, był nawet eseneuszem, doszedł jednak do wniosku, że obyczaje wspólnoty z Qumran są zbyt surowe i brak im humanitaryzmu tych, którzy naprawdę kochają dzieci Adama i Ewy. Dlatego ich opuścił.

Orme, który nie potrafił czytać książki Macieja wystarczająco szybko, aby ukończyć ją przed nadchodzącym wydarzeniem, nalegał, aby przeczytał mu ją Bronski. Francuz uczynił to, zatrzymując się od czasu do czasu, aby wyjaśnić mu trudniejsze ustępy.

Gdy doszli już do końca, Orme pokręcił głową.

- Teraz już nic nie wiem - oznajmił. - Maciej był apostołem i uczniem Jezusa, który znał go bardzo dobrze i towarzyszył mu w wędrówkach po Palestynie.

Powinien podawać czyste fakty, skoro jego świadectwo nie uległo żadnym zmianom.

Nie mówi nic o narodzinach z dziewicy, ani nie wspomina o tym, że śmierć Chrystusa była odkupieniem grzechów ludzkości i przez to otworzyła drogę do zbawienia. Nie napomyka też nic o cudach, jakie według autorów Biblii czynił

Jezus. Najwyraźniej nie widział ich, choć spędził z nim wiele czasu. Twierdzi, że słyszał opowieści o cudach po śmierci Jezusa, nie daje im jednak wiary, ponieważ wie, że nic takiego nie miało miejsca. Również jego relacja z procesu przed Piłatem różni się wyraźnie od zamieszczonej w Ewangeliach. A przecież on tam był. Twierdzi, że Piłat wcale nie umywał rąk...

- To była przeróbka wprowadzona później przez tych, którzy chcieli całą winę zrzucić na Żydów - powiedział Bronski. - To znaczy tych Żydów, którzy nie chcieli uwierzyć, że Jezus był Mesjaszem oraz partenogenetycznym potomkiem Boga i Maryi.

- Jasne. Jezus nie uczynił żadnych cudów, póki był na Ziemi. Kiedy jednak statek wylądował na Marsie i zaczęto kopać, Mesjasz pojawia się i Maciej natychmiast go rozpoznaje. I wówczas Jezus robi parę cudów.

Dopiero wtedy...

- To tłumaczy - odparł Bronski - dlaczego Krsze nawrócili się na judaizm.

- Nie uwierzyliby w cuda bez niedwuznacznych, naukowo sprawdzonych dowodów - powiedział Orme. - Co więc mam sądzić?

- Poczekamy i zobaczymy, co się stanie.

- Ty wydajesz się przekonany, niezależnie od tego, co się wydarzy - odezwał się Shirazi z lekkim pogardem w głosie.

Trzy tygodnie wcześniej Bronski przestał się golić i zaczął zapuszczać pejsy.

Zamiast kłaść się do łóżka o tej porze co Orme, przesiadywał w salonie, czytając po hebrajsku Pięcioksiąg, który był wierną kopią egzemplarza przywiezionego przez Macieja z Ziemi. Orme zapytał go, w jakim celu robi to wszystko.

- To nie jest Palestyna, a ja nie wróciłem do obyczajów swych przodków. Jak na razie. Nie przestałem być agnostykiem. Ale... cóż... mam dziwne uczucie, że wróciłem do domu po długiej, pełnej bólu podróży. Do domu! Na Marsie! Nie potrafię teraz tego wyjaśnić.

Niemniej... stoję jak Rut wśród obcych pól i te pola nie wydają mi się aż tak obce.

- Uważaj, żeby faktycznie nie wyprowadzono cię w pole - zażartował Orme.

- Tak. Być może to pycha, niechęć do przyznania się, iż byłem w błędzie, do zniszczenia wyobrażenia o sobie samym, powstrzymuj mnie przed podjęciem decydującego kroku. Zresztą, nawet gdybym udał się do synagogi, nie wpuszczono by mnie tam. Musiałbym uznać, że Jezus jest Mesjaszem, a tego nie jestem pewien... jak dotąd.

Shirazi obserwował to wszystko, lecz na razie nie czynił żadnych uwag. Był równie zakłopotany jak pozostali, może nawet jeszcze bardziej. Był muzułmaninem, choć niezbyt pobożnym. Podobnie jak trójce jego towarzyszy przeżył szok, gdy odkrył, że Mars znajduje się we władaniu Żydów. Ostatecznie, gdyby członkowie ekspedycji próbowali przedtem odgadnąć, kim mogł być mieszkańcy Marsa, żaden z nich nie umiałby takiej ewentualności na swojej liście. Nie było też nic dziwnego w tym, że czuł się nieswojako jako jedyny muzułmanin wśród miliona Żydów. Ponadto, dopóki tu nie przybył, tubylcy nigdy nawet nie słyszeli o jego religii. Shirazi był wykształconym, dobrze wychowanym człowiekiem, który rzadko miał trudności z przystosowaniem się do społeczeństwa, w którym się znalazł. Niemniej w swojej ojczyźnie miewał

kłopoty ze względu na podejmowane protesty przeciw cenzurze i metodom policyjnym.

Należy też dodać, że obyczaje Marsjan były pod wieloma względami podobne do panujących w jego kraju rodzinnym. Mężczyźni byli obrzezani. Od kobiet wymagano, aby na pierwszym miejscu stawiały macierzyństwo. Istniały ścisłe zakazy dietetyczne. W pewnych wyznaczonych momentach odbywała się publiczna modlitwa.

Przestrzegano szabatu.

Ponadto Jezusa uważano tu za proroka, choć stosunek do niego był inny niż wśród muzułmanów, którzy mieli Jezusa w wielkiej estymie, lecz uważali go za niższego od Mahometa, podczas gdy tutaj Chrystus był ostatnim i największym z szeregu proroków, od Abrahama począwszy. Prorok islamu, Mahomet, był na Marsie całkowicie nieznany.

Pomimo tych różnic związki były na tyle silne, że Irańczyk mógł się czuć mniej więcej jak w domu. Na szczęście nie było tu napięcia pomiędzy muzułmanami a Żydami, wywołanego tym, że ci ostatni nadal okupowali Palestynę.

Gdy jednak stało się dla Shiraziego jasne, że Bronski myśli o „powrocie” - jak to określił - do ortodoksyjnego judaizmu, zaczął go traktować z sarkazmem. Dał nawet do zrozumienia, iż sądzi, że Bronski jest oportunistą.

- Poza tym - powiedział pewnego razu podczas gorzej, choć kulturalnej dyskusji z Francuzem - nie byłby już Żydem, tylko chrześcijaninem.

- Nieprawda - odrzekł Bronski. - Chrześcijanin to człowiek, który wierzy, że Jezus został niepokalanie poczęty dzieckiem Boga i Maryi, że został zesłany, aby odkupić grzechy świata, na podobieństwo kozła ofiarnego w starych obyczajach hebrajskich. Marsjanie uważają Jezusa za Mesjasza, i to wszystko. Ponadto również wy, muzułmanie, jeśli wierzycie w to, co mówi Mahomet, musicie wierzyć w narodziny Jezusa z dziewicy. W Koranie jest napisane, że istotnie został on zrodzony przez dziewicę imieniem Maryja. Jednak Mahomet twierdzi, że Jezus nie został naprawdę ukrzyżowany, a jedynie widmo, które wyglądało dokładnie tak jak on, zostało przybite do krzyża i umarło tylko na pozór.

Nieoczekiwanie Shirazi rozemniał się i napięcie nieco zelżało.

- Po pierwsze, znam wielu chrześcijan, którzy wątpią w opowieść o niepokalanym poczęciu. Uważają, że to mit i że Jezus został poczęty w taki sam sposób, jak ty i ja. Był tylko człowiekiem, choć największym, jaki kiedykolwiek żył. Istnieje też wielu muzułmanów, którzy sądzą, iż niektóre opowieści zawarte w Koranie mają sens symboliczny lub pedagogiczny.

Jestem jednym z nich. Jeżeli więc mówisz, że ktoś jest muzułmaninem bądź chrześcijaninem, musisz zdefiniować, jaki rodzaj muzułmanina czy chrześcijanina masz na myśli. Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Przepraszam, jeżeli powiedziałem coś, czym cię dotknęłam, nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego tak inteligentny i wykształcony człowiek odczuwa pokusę nawrócenia się na prymitywną religię.

Bronski wyrzucił ręce w górę i wyszedł.

Opuszczając pokój, krzyknął:

- Nie odczuwam pokusy! Nie ma w tym pokusy, ponieważ to nie jest prymitywna religia!

I teraz, gdy Shirazi powiedział, iż Bronski jest przygotowany na każdą ewentualność, dał tym samym ponownie do zrozumienia, że uważa go za kameleona.

Jak dotąd nie posunął się jednak do stwierdzenia, że być może zdradził on Ziemię.

- Najwyraźniej nie rozumiesz - powiedział Bronski - że religia stanowi akt wyboru nie intelektualnego, lecz duchowego. Pod słowem "duch" rozumiem irracjonalne jądro każdej osoby. Nie używam słowa "irracjonalne" w sensie pejoratywnym. Irracjonalne jądro jest częścią osoby ludzkiej, która tęskni za nieśmiertelnością wbrew rozumowi, który podpowiada, że nic takiego nie istnieje.

Tęskni także za Stwórcą - swym Ojcem, na istnienie którego można znaleźć wiele argumentów. Duch uznaje Moc większą niż wszystkie moce. Jest to równie ważna część osoby jak jej mózg i bez niej nikt nie może być w pełni człowiekiem, niezależnie od tego, jakie ma inne zalety. Dzieje się tak, ponieważ...

- Posłuchaj. Wystarczy już - przerwał mu Orme. - Dokończycie tę dyskusję innym razem.

Teraz musimy wspólnie zrealizować program. Nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- Myślę, że przeżywasz załamanie nerwowe, Avram - powiedziała Madeleine.

- Dość tego! - przerwał Orme. - Wszyscy odczuwamy cholernie silne napięcie. Nie jestem pewien, czy na Ziemi nie uznaję nas za wariatów, kiedy to zobaczysz. Musimy im jednak powiedzieć prawdę, weźmy się więc do roboty.

Ponieważ widzowie na Ziemi wiedzieli, co zaszło, aż do chwili, gdy drzwi tunelu zatrzasnęły się za Orme'em i Bronskim, kosmonauci zdecydowali, że zacząć od tego momentu. Marsjanie sfotografowali przybyszów, gdy niesiono ich nieprzytomnych do więzienia. Mieli też hologramy wszystkich istotnych wypadków, które zaszły później (Orme podejrzewał, że również wielu nieistotnych). Czwórka Ziemiaków mogła zatem wybierać swobodnie, co i w jaki sposób pokazać.

Wszyscy po kolei złożyli relację ze zdarzeń, w których brali aktywny udział - czy może nie tak bardzo aktywny, skoro na wycieczki byli przez Marsjan prowadzeni, a lekcje były im udzielane. Skończywszy odnieśli wrażenie, iż udało im się przedstawić w sposób zadowolający obraz życia Marsjan oraz zdać relację ze swoich własnych przeżyć podczas pobytu na tej planecie.

Rzecz jasna na Ziemi będą chcieli zadać tysiące pytań, nie otrzymają jednak żadnych wyjaśnień. Ale co można zdziałać w cztery godziny? Poza tym na wiele z pytań czworo Ziemiaków do tej pory nie znało odpowiedzi.

- Powinniśmy jutro poznać niektóre z nich - stwierdził Orme.

- Tak, ale to spowoduje lawinę nowych pytań, na które nie będziemy umieli odpowiedzieć - odparł Bronski.

Zmęczeni położyli się do łóżka, lecz nikt nie mógł zasnąć. Wszyscy spodziewali się, że nazajutrz rozpocznie się niezwykle ważny dzień w ich życiu.

Bronski zaczął cicho pochrapywać. W końcu Orme także zapadł w sen. Jednakże godzinę później przebudził się. Miał wrażenie, że ktoś stoi przy jego łóżku.

12.

- To już jutro - powiedział Orme.

Czwórka Ziemiaków siedziała w salonie u Shirazich. Po kolacji włożyli kasetę - włączyli sześciocian o boku równym dwóch i pół centymetra - do specjalnego otworu w obudowie odbiornika telewizyjnego. Oglądali program - już po raz czwarty -

który wspólnie zmontowali. Zgodnie z tym, co obiecali Marsjanie, niewiele zostało ocenzone. Ostatnie pół godziny programu było autorstwa ich gospodarzy i składało się głównie z filmów przedstawiających Jezusa podczas "wizyty". Było też kilka scen z Ziemi, nakręconych przez Krszów w roku pięćdziesiątym, oraz obrazy bitwy z Synami Ciemności, a także zapis instalowania się pod powierzchnią Marsa, gdy ich statek uległ rozbiciu.

Program kończyła krótka wypowiedź Hfathona w języku greckim - nie licząc ostatniego słowa.

- To wszystko prawda. Za kilka dni znowu się z wami połączymy. Szalom.

Orme mógł sobie wyobrazić szok, konsternację, zdumienie i frustrację, jakie zapanowały na Ziemi. Rzecz jasna, znajdzie się wielu takich, którzy poddadzą w wątpliwość autentyczność tego programu. Stwierdzą, iż jest to oszustwo i winę obarczą Marsjan, swój własny rząd lub rząd jakiegoś obcego państwa. Jednakże władze będą musiały przyznać, że niezależnie od treści transmisji, pochodzi ona z Marsa. Ponadto program został nadany wielokrotnie, aby się upewnić, że będzie odebrany na obu półkulach Ziemi.

- Tak jest, jutro - potwierdził Bronski ponurym głosem. Madeleine rozczłapała się, lecz w jej wnętrzu nie było radości.

- Boisz się, że będziesz zmuszony uwierzyć w Chrystusa, prawda? Ty, agnostyk, zobaczysz, dotkniesz, usłyszysz... i w związku z tym będziesz musiał uwierzyć!

Powtarzam ci, to bzdura! Marsjanie oszukują nas z jakichś, im tylko znanych, złowieszczych powodów.

- Jesteś przedstawicielką świata nauki - odparł Bronski - ale nie myśl logicznie. Sądzę, że nawet jeśli dowody staną się niezbita, potwierdzone w stu procentach, nadal nie przyjmiesz tego do wiadomości.

Pozwalasz, aby zapanowały nad tobą irracjonalne uczucia.

- A ty - odrzekła - nie czekasz nawet na dowody. Jesteś już gotów uwierzyć!

Pokręcił głowę.

- Nieprawda. Jednakże to wszystko, co wydarzyło się do tej pory... No, cóż...

musisz przyznać, że jest absolutnie nieoczekiwane i fantastyczne, a jednak zdarzyło się naprawdę. Czy wstąpił w to, że Maciej rzeczywiście istniał i że bardzo dobrze znał Jezusa? Albo że osoba zwana Jezusem mieszka w tym "słońcu"?

- Niczego nie przyznam - odparła Madeleine. - Jak mogłabym to zrobić? Nie miałam okazji zbadać dowodów w sposób naukowy.

- Jak by to zrobiła? - zapytał Shirazi. - Do takich spraw nauka nie ma zastosowania.

- Właśnie że ma! - odparła Madeleine. Orme przerwał im.

- Nie ma sensu wieść sporu o to, co ma się wydarzyć. Dlaczego nie odłożymy na bok spekulacji? Wszyscy się tylko przez to denerwujecie. Ja idę obejrzeć uroczystość. Czy ktoś wybiera się ze mną?

Bronski i Shirazi wyrazili na to ochotę, lecz Madeleine wymówiła się, twierdząc, że jest zmęczona. Najwyraźniej pragnęła, aby Irarkzyk został z nią, lecz nie powiedziała tego głosem. Shirazi popatrzył tylko na swoją "marsjariską" małżonkę i wzruszył ramionami. Orme

zastanawiał się, jak długo jeszcze tych dwoje ze sobą wytrzyma. Choć nie zauważył żadnych kłótni, wyczuwał jednak między nimi chłód, któremu musiały towarzyszyć starannie skrywane różnice zdań.

- Wróć szybko - oznajmił Nadir.

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

Irańczyk rozebrał się i wyszedł w ślad za pozostałymi dwójką.

Gdy opuścili dźwiękochłonne mury budynku, usłyszeli muzykę, krzyki i śmiechy dobiegające z oddali. Poszli na wielki plac, oświetlony setkami pochodni, gdzie napotkali wielu znajomych, którzy oferowali im wino i jedzenie. Orme wypił kilka szklanek, po czym przyłączył się do tańczących. Były to dziwne pląsy. Polegały na wirowaniu, podskokach i wierzgnięciu nogami. Przypomina-

ło to bardziej taniec rosyjskich chłopów, niż Izraelitów. Muzyka była, w dosłownym sensie, nieziemską, ponieważ wywodziła się z tradycji kulturowej Krszów.

Po godzinie Orme poczuł zmęczenie, choć ze względu na słabe przyciśnięcie powinien był wytrzymać dłużej. Być może spowodował to nadmiar wypitego wina, jako że niektóre z tańców wymagały od uczestników, aby podskakiwali ze szklanką wina w dłoni, nie roniąc z zawartości ni kropli. Od czasu do czasu następowały przerwy i wtedy tańczący wypijali trunek ze szklanek, które szybko napełniali z powrotem. Być może też powodem było napięcie nerwowe. Ostatnio nie spał dobrze.

Koszmary, wizje Sędzi Ostatecznego, tajemnicze postacie bez twarzy, wskazujące na niego z wyrzutem; błądzenie przez mgłę i nagłe zatrzymywanie się nad krawędzią przepaści; tak wyglądały jego noce. Kilkakrotnie też budził się z uczuciem, że ktoś stoi przy jego łóżku.

Odszedł na bok, dysząc ciężko.

- Mam dość! Wracam do domu!

Reszta Ziemi postanowiła dotrzymać mu towarzystwa. Gdy jednak przebijali się przez hałaśliwy tłum, Orme poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Odwróciwszy się spojrzał w błękitne oczy Gulthilo.

- Co tu robisz? - zapytał. Po chwili dodał: - Przepraszam, że odezwałem się tak obcesowo. Zaskoczyła mnie. Zapuściła się daleko od swojej wioski.

Usmiechnęła się i przysunęła bliżej, tak aby mógł ją usłyszeć w tym zgiełku.

- Znowu jestem zbyt zmęczona. Przyszłam tu, aby być z tobą.

- Co na to twoja rodzina?

- Nie jestem ich własnością. Czy chcesz ze mną zatańczyć? Orme spojrzał na swych towarzyszy, którzy stali nie opodal.

- Idźcie, chłopaki! - zawołał. - Avram, nie czekaj na mnie! Bronski podszedł do niego, marszcząc brwi.

- Richard, nie pakuj się w nic. Znasz ich zasady. Oni...

- Dam sobie radę - odparł kapitan. - Możecie iść. Nic mi nie będzie.

Bronski, z miną nadal poważną, odszedł na bok. Powiedział coś do Shiriaziego, po czym obaj oddalili się, spoglądając jednak za siebie.

- Jestem zbyt zmęczony, żeby tańczyć - powiedział Orme. - Może usiądziemy gdzieś i porozmawiamy?

Gulthilo wzięła go za rękę i poprowadziła przez tłum. Gdy zeszli z placu, zatrzymała się, usiadła z gracją na trawie pod drzewem i zaproponowała: - Usiądź przy mnie.

Posłuchał jej, rozglądając się niespokojnie dookoła. W okolicy było przynajmniej dwadzieścia par siedzących lub leżących w cieniu. Obserwując jedną z nich, doszedł do wniosku, że wkrótce będzie ich więcej.

Gulthilo pocałowała go w policzek. O mały włos nie podskoczył do góry z wrażenia.

- Nie bśd□ taki nerwowy, Richard - szepnęła. - Nie zamierzam cię uwie□ć.

Roze□miała się cicho.

- Nie miałabym jednak nic przeciwko temu, aby□ to ty uwiódł mnie.

- Nie mów tak - odrzekł. - Jestem bardzo wrażliwy na twoje zaczepki. Wiesz, że nie trzeba mi wiele. Tutaj jednak oczekuje się, że mężczyzna będzie zakochany w kobiecie, z którą... hmm... się prze□pi. Uważam, że jeste□ piękna i atrakcyjna, ale... nie jestem w tobie zakochany.

Nie odsunęła się od niego.

- Dziękuję za szcero□ć. Jak mógłby□ być we mnie zakochany, skoro widzieli□my się tylko raz i to przez krótkś chwilę? Ja jednak - przerwała, zaczerpnęła tchu i dokończyła - my□lę, że się w tobie zakochałam.

Pot spływał mu po twarzy i nie było to wyłącznie skutkiem tańca. Również drzenie, jakie odczuwał, nie było wywołane jedynie przemęczeniem. Objśł jś ramieniem, lecz po kilku sekundach opu□cił rękę.

- Nie powinni□my siedzieć tak blisko siebie. Potrzebna mi raczej ochłoda, a nie rozgrzewka. Znow□ się roze□miała.

- Gdyby doszł□ między nami do zbliżenia, zrobiłby□ to z namiętno□ci, to znaczy, z pożśdania, prawda?

- Szczerze mówić, nie wiem. Co to, u diabła, za rozmowa? Nie mogę uwierzyć.

Wypiła□ za dużo?

- Nie. Przez ostatnie dwie godziny wypila□m tylko cztery szklanki wina i to jeszcze wtedy, gdy byłam we wsi. Wyjechałam stamtśd bez słowa i udałam się tutaj. Nie zrobiłam tego tylko pod wpływem chwilowego impulsu. My□lałam o tobie przez cały dzień, musiałam jednak zdobyć się na odwagę, aby zrobić to, czego pragnęłam.

Zaczśł się podnosić, ale powstrzymała go.

- Nie bśd□ tchórzem, mój dzielny astronauto.

- To nie tchórzostwo, tylko, no wiesz, zwykły zdrowy rozsśdek i rozważa. Obawiam się, że zaczynam je tracić. Posłuchaj, Gulthilo, to głupota! Gdyby□my byli na Ziemi, nie wahałbym się ani chwili, ponieważ oboje wiedzieliby□my, o co chodzi.

Tu jednak jest Mars. Pewne normy społeczne sś inne, aniżeli na Ziemi, nie tak liberalne. Teraz zresztś i tam obyczaje zaczynajś się zmieniać. Nie sś już tak swobodne jak kiedy□. To jednak nie należy do sprawy. Nawet gdyby□ była gotowa podjść ryzyko i, hmm... zrobić to tylko w imię namiętno□ci... Co ja mówię?

Przemawiam jak postać z powie□ci wiktoriańskiej! Wiesz, co miałem na my□li.

Gulthilo podniosła się z trawy. Choć było ciemno, na jej twarz padała wystarczajśca ilo□ć □wiatła, aby móc dostrzec, że Marsjan-ka u□miecha się. Je□li poczuła się urażona, nie dała tego poznać po sobie.

- Jeste□ w błędzie, sśdzśc, że nie zrobię tego z tobś, je□li nie będziesz we mnie zakochany - przerwała na chwilę. - Rozumiesz?

Nie chciał patrzeć na niś z dołu, podniósł się więc również. Wciśż jednak musiał zadzierać głowę do góry. Była bardzo wysoka.

- Mały czarny człowieku, którego tak bardzo kocham, wracam teraz do swojej wioski. Być może już nigdy cię nie zobaczę, choć mam nadzieję, że będzie inaczej. Bardzo bym chciała, aby□ to ty przyszedł do mnie, a nie na odwrót.

Je□li to uczynisz, będę wiedziała, że zrozumiałe□, iż jeste□ we mnie zakochany.

- Masz na my□li to, że poproszę cię o rękę? - zapytał ochrypłym głosem.

- Oczywiście□cie. Drżysz jak trścona struna harfy. Jeste□ poruszony, prawda?

Wyciągnęła do niego ręce, objęła go i pocałowała w usta. Przez chwilę, gdy czuł nacisk jej wydatnych piersi i dotyk dużych, wielkich, miękkich warg na swoich ustach, miał wrażenie, że skapitułuje. Wypuściła go jednak z objęć. Cofnął się, lecz jej ręka została na jego ramieniu. Uścisk Gulthilo był bardzo silny.

- Szalom, Richard, choć mam wrażenie, że nie pokój ci teraz w głowie.

Rozebrała się cicho i oddaliła, kołysząc biodrami.

Orme wypuścił z płuc powietrze. Co za kobieta! Lwica! W jakim stanie go zostawiła! Odczuwał ból w kroku. Cały był rozdygotany.

Po drodze do domu uspokoił się nieco. Myśli przestały mu się kłębić w głowie.

Możliwe - pomyślał, przeklinając swą ciężką podejrzliwość - że ona pracuje dla marsjańskiego rządu, który kazał jej uwieścić go i zmusić do małżeństwa. Gdyby do tego doszło, mógłby zerwać więzy z Ziemi i stać się Marsjaninem. Być może też miała go omotać, aby - jeżeli nie zechciałby zrobić z niej uczciwej kobiety, jak brzmiało stare powiedzenie - można go było wtrącić do więzienia jako przestępcę.

Albo też...

Do diabła z tymi przypuszczeniami! Jeżeli nawet była uwodzi-cielką, to z pewnościamiś niekonwencjonalną. Mogła go zdobyć, gdyby naprawdę się postarała.

Opodal domu minął pijana, na wpół rozebrana parę leżącą pod krzakiem. Zanosilo się na kolejne małżeństwo.

Bronski siedział w pokoju, obserwując przebieg uroczystości na ekranie telewizora. Spojrzał na wchodzącego Orme'a, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Możesz się nie obawiać - powiedział Orme. - Wróciłem. Cnota tubylczych niewiast pozostała nienaruszona. W każdym razie ta, którą ze mnie widziałeś, jest nadal równie cnotliwa, jak przedtem.

- To byłaby straszna głupota - odpowiedział Bronski. - Kim ona jest?

- To ta kobieta o gockim imieniu. Opowiadałem ci o niej. Francuz wstał z miejsca.

- Idę spać. Naprawdę martwiłem się o ciebie. Mogłeś popaść w straszliwe tarapaty.

- Nie wspominając o moralnej ujmie dla ciebie i pozostałych - odparł Orme. - Nie byłoby żadnych kłopotów. Musiałbym się po prostu z nią ożenić. Ma na to wielką ochotę.

- Chcesz powiedzieć...

- Tak. Oświadczyła mi się.

- L..

- Dałem jej kosza, choć nie powiedziałem tego wprost. Oznajmiłem jej tylko, że jej nie kocham.

- A gdybyś ją kochał?

- Nie wiem. Gdybym chciał się z nią ożenić, musiałbym nawrócić się na judaizm, to jest na marsjańską odmianę chrześcijaństwa, czy jak to tam zwał. Przecież wiesz. Gdybym to uczynił, stałbym się Marsjaninem. Moje więzy z Ziemi zostałyby zerwane. Tego by przynajmniej ode mnie oczekiwano. Czy potrafiłbym jednak...

zostać po tej stronie? Za bardzo mi to to zdradzi.

- Nie zgadzam się - odrzekł Bronski.

Zaczął analizować ten problem ze skrupulatnością rabina.

- Przede wszystkim - powiedział - winieneś dochować wierności nie Ziemi, jak to określiłeś, lecz w pierwszej kolejności twojej ojczyźnie - Kanadzie, a w drugiej - Konfederacji Północnoamerykańskiej. Nie masz, na przykład, żadnych zobowiązań w stosunku do państw komunistycznych. Myślisz o Ziemi jako monolitycznym tworze, przeciwstawionym równie monolitycznemu Marsowi. Mars jest takim monolitem, lecz Ziemia nie. Musisz

uporządkować swój tok myślenia, że nie wspomnę o uczuciach.

- Jaka jest różnica między jednym a drugim? Bronski zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się.

- U większości ludzi nie ma żadnej. No dobrze, pomyśl o tym sam. Ja idę spać. Skierował się w stronę sypialni, lecz po chwili przystanął.

- Wiesz co, to było trafne spostrzeżenie.

- Które?

- To o różnicy między myślami a uczuciami.

- Zaczekaj - rzekł Orme. - Powiedziałem tylko... Nie wiem zresztą, czy mówiłem cokolwiek.

- Grunt, że wie najważniejsza częśćka twojej osoby. Dobranoc, Richard. Ty również powinieneś iść do łóżka. Jutro... to może być najważniejszy dzień w naszym życiu. Powinieneś wypocząć. Będą ci potrzebne wszystkie siły. Fizyczne, intelektualne i emocjonalne. Jeśli istnieje między nimi jakakolwiek różnica.

Orme życzył mu dobrej nocy, lecz sam chodził jeszcze w kółko po pokoju przez co najmniej dwie godziny. Jego myśli krążyły pomiędzy Gulthilo a człowiekiem, który mieszkał podobno we wnętrzu marsjańskiego "słońca". Oboje oferowali mu, lub zdawali się oferować, nowe życie. W tej chwili jednak te oferty były nie do przyjęcia. Gdyby miało się to zmienić, stałoby wobec nowego dylematu. Tak już jest, że nowe życie, nawet znacznie lepsze od starego, zawsze przynosi ze sobą nowe problemy, kolejne dylematy.

Czy naprawdę wierzył w autentyczność obu propozycji? Gulthilo mogła być agentką, która miała za zadanie skusić go, aby w rezultacie stał się Marsjaninem. Jeśli za chodzi o człowieka zwanego Jezusem, cała sprawa mogła okazać się oszustwem, a on mógł być kimś innym, niż twierdzili Marsjanie.

Kimkolwiek jednak był, nie pozostawało to zgodne z oczekiwaniami Orme'a, który wierzył - lub sądził, że wierzy - iż Jezus jest jednorodnym Synem Bożym i że jego przeznaczenie zostało określone jeszcze przed stworzeniem świata. Złożył on siebie w ofierze, aby cały świat mógł zostać zbawiony, aby mógł żyć w wiecznej szczęśliwości i uniesieniu, oglądając Boga twarzą w twarz. Nadejdzie dzień, zapowiedziany blisko dwa tysiące lat temu, Dzień Sędzi, a wraz z nim z jednej strony najstraszliwsza trwoga, z drugiej zaś - bezgraniczna radość. Ci, którzy nie uznali Boga, pójdą do piekła. Piekło oznacza wiadomo, że potępieni zostali na zawsze pozbawieni kontaktu z Bogiem.

Jednakże Jezus nie przebywał na Ziemi, lecz na Marsie. Był tylko człowiekiem, który w czasie, gdy żył na Ziemi, uważał się za Mesjasza, Żyda, który przybył, aby wskrzесиć święte Królestwo Izraela. Na dodatek okazało się, że bardzo niewiele z tego, co napisano o nim w Nowym Testamencie, odpowiadało prawdzie.

Orme powinien być wstrząśnięty tą informacją. Przeżył szok, zgoda, lecz nie tak wielki, jak należało tego oczekiwać. Dlaczego? Ponieważ jego wiara nie była wcale tak głęboka i mocna, jak mu

się zdawało. Nie był niedzielnym chrześcijaninem, to fakt, lecz wiara nie zapuściła głębokich korzeni w jego sercu. Nie miał mocnego przekonania o jej prawdziwości. Nie w głębi duszy - tam gdzie mieszkają autentyczne żywe przekonania. Prawdziwe światło ukrywało się w ciemnej głębinie.

Wyszedł na zewnątrz. Wszędzie panował już spokój. Ludzie skryli się w swoich domach. Światła w mieszkaniach pogasły. Być może ulice były patrolowane przez policjantów, lecz Orme nie dostrzegł nikogo. Nigdy zresztą nie spotkał tu policjanta, choć wiedział, że istnieje. Jak mu powiedziano, nie nosili oni mundurów i było ich bardzo niewiele. To też świadczyło

wymownie o tym społeczeństwie, jedynym w swoim rodzaju, przynajmniej w Układzie Słonecznym.

Gdzie można było szukać lepszych warunków do życia? Nigdzie.

Idąc pogrzeżoną w ciszy ulic, spojrzął na kulę zawieszoną pod sklepieniem jaskini.

Widział teraz blaskiem ziemskiego Księżyca w pełni. Można było nawet dostrzec na niej te same plamy - przypominające człowieka na Księżycu ludziom Zachodu, a zająca Japończykom.

Tam w górze, wewnątrz lżejszej kuli, KTOś mieszkał - jeżeli wierzyć Marsjanom.

Orme nie miał powodu im nie wierzyć. Nie potrafił po prostu pogodzić się z tą myślą.

Zatrzymał się i stał przez chwilę, przygarbiony. Nagle uniósł obie ręce do góry i krzyknął:

- Hej TY, tam na górze! Czy znasz odpowiedzi na wszystkie moje pytania?!

Odzewu, rzecz jasna, nie było.

13.

Niebo mieniło się wszystkimi kolorami tęczy.

Orme wyglądający przez okno zauważył, że błękit został zastąpiony przez poziome pasma jasnego, lżejszego fioletu, błękitu, oranżu, czerwieni, zieleni, żółci, bieli i czerni. Barwy widma znaczyły całe sklepienie. Tu i ówdzie złote, ciemnoniebieskie, szkarłatne i srebrzyste gwiazdy zapalały się, ogromniały, by nagle eksplodować. Obłoki rozmaitych kształtów, kolorów i odcieni kłębiły się w różnych miejscach nieboskłonu, pęczniały i pędziły po sklepieniu, zlewały się ze sobą, tryskając przy tym światłem, a potem, pulsując, gasły.

- Hej, Avram, popatrz na to!

Bronski podszedł do niego i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Wstrząśnij się, jak na to patrzę.

- Ciekawe, jak to robiś? - zapytał Orme. - Całe sklepienie musi być pokryte urządzeniami elektronicznymi.

- Nie sądzę. Pamiętaj, że są znacznie bardziej zaawansowani niż my. Idę o zakład, że opiera się to na jakiejś nieznanej nam zasadzie. Tak czy owak, to nie jest dla nas najważniejsza sprawa. Zapomnij, że jesteś inżynierem, Richard. Przynajmniej na jeden dzień.

Ludzie zaczęli wychodzić z domów. Włożyli najlepsze ubrania. Niezależnie od płci, odziani byli w długie, jedwabiste różnobarwne szaty. We włosy wpięli kwiaty. Wszyscy się podskakiwali. Wielu z nich trzymało się za ręce. Orme otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Usłyszał odległą muzykę licznych orkiestr.

Uderzenia w bębny, dźwięki tręb, fletów, piszczałek, brzęk harf i cymbałów.

Nagle z tyłu odezwał się jakiś głos. Orme odwrócił się i ujrzał, że Bronski gestem przyzywa go z powrotem. Zawrócił i na ekranie holograficznego telewizora ujrzał uśmiechniętego Hfathona.

- Oczekujemy was na placu za godzinę - powiedział Krsz. - Lepiej ruszajcie od razu. Nie będzie łatwo przepychać się przez tłum.

Orme spojrzął na zegarek.

- Tak, wiemy o tym. Czy nie moglibyście wysłać kogoś, żeby nas podwiózł?

- Dzisiaj tylko Mesjasz może jeździć samochodem - odparł Krsz. - Wszyscy przybyli już wczoraj i zatrzymali się u rodziny bledzi przyjaciół. Powinienem był

was uprzedzić, że będziecie musieli dostać się tu na piechotę. Pospieszcie się, proszę.

Niech spłynie na was jego uśmiech. Szalom.

Obraz zniknął.

Orme spojrzął na Bronskiego, wzruszył ramionami i rzekł: - Miałem nadzieję, że

potraktujš nas w sposób szczególny. Ostatecznie jesteŃmy ich goŃciami i ta uroczystoŃć odbywa się po trosze na naszš czeŃć.

Francuz spojrział na niebo pokryte wspaniałymi rozbłyskami.

- Wcišž podejrzewasz, że to oszustwo?

- Tego nie powiedziałem. Po prostu trudno mi zapanować nad emocjami.

- Nie tylko tobie - odrzekł Bronski. - ChodŃmy juŃ lepiej.

Ponownie wyszli z domu. Orme pomyŃł, iŃ to dobrze, że nie muszš zamykać drzwi.

ŃTo przecieŃz nieistotne - skarcił się w duchu. - Czy rzeczywiŃcie? Od rana staram się myŃleć tylko o rzeczach nieistotnych. Po to, aby nie myŃleć o...

NIM.”

- Gdzie Madeleine?

- Powiedziała, że nie idzie. Ńle się czuje.

- Czy uprzedziła o tym Hfathona? Nadir pokręcił głowš.

- Nie. Nie odezwała się do niego ani słowem. Orme skrzywił się.

- To niezły numer. Czy naprawdę jest chora? Shirazi skinšł głowš.

- Tak, ale mam wrażenie, że wyŃcznie na tle nerwowym. PrzeŃywa bardzo silne napięcie.

CiŃgle powtarza, że to jedno wielkie oszustwo, że nie ma po co tam iŃć. Mówiłem jej, że powinna to zrobić, gdyŃ w przeciwnym razie Marsjanie poczujš się urażeni.

Orme’a czuł, jak wzbiera w nim gniew, lecz wytłumaczył sobie w koŃcu, że w gruncie rzeczy przeŃywał takie same emocje, jak Madeleine. Przyczynš jej choroby był strach. Strach przed tym, że to wszystko mogłoby się okazać prawdš.

Dlaczego jednak on, chrzeŃcijanin Jest tak przeraŃony? Czy nie powinien radować się wraz z Marsjanami?

- To bzdura - powiedział głoŃno. - WeŃmy jš ze sobš... nawet gdybyŃmy musieli wywlec jš siłš!

Poprowadził pozostałych do domu. Spodziewał się, że Madeleine włšczy choć telewizor, aby obserwować wypadki. JednakŃe aparat był wyŃczony, a Danton leŃała na łóŃku. Usiadła, gdy wtargnš do Ńrodka.

- MógłbyŃ przynajmniej zapukać.

- WiedziłaŃ, że przyjdziemy. Jazda, Madeleine, wstawaj. Idziemy! PrzestaŃ zachowywać się jak dziecko!

Pod wpływem tych słów zerwała się na równe nogi z ogniem w oczach. Wrzasnęła coŃ po francusku, wykrzywiajšc twarz w okropnym grymasie. Następnie zatrzymała się, przetarła rękš czoło, otrzšnęła się i powiedziała po angielsku: - Specjalnie mnie zdenerwowałeŃ, żebyim wstała z łóŃka, prawda?

Skinšł głowš.

- Musisz tam pójŃć, Madeleine, chyba że naprawdę Ńle się czujesz. JeŃli tak jest, wezwę lekarza.

Nie dodał, że lekarz będzie umiał stwierdzić, czy jest naprawdę chora, czy tylko symuluje.

- Nie wiem, co się ze mnš dzieje - odparła. - Dam sobie jednak radę. Rzecz w tym...

- ...że podobnie jak i ja, boisz się, iŃ może to być prawda.

- Co? PrzecieŃz ty...

- Porozmawiamy o tym innym razem.

Wyszli na ulicę. Wkrótce zrównali się z tłumem. Oboje milczeli. Dwaj pozostali męczyŃni raz po raz odzywali się do siebie szeptem. Gdy przybyli wreszcie na plac, pochłonił ich ocean hałasu. Wszyscy dookoła rozmawiali. Grała, jak się zdawało, nie mniej niŃ setka

rozmaitych orkiestr. Je- li chodzi o liczbę ludzi, Orme miał wrażenie, że musi ich być przynajmniej milion. Tłoczyli się, tworząc olbrzymi pierścień, okalający pokaźnych rozmiarów kamienną platformę na środku placu. Orme nigdy przedtem jej nie widział, po prostu dlatego, że jej górna część znajdowała się do tej

pory na poziomie nawierzchni. Teraz platforma zaczęła z wolna się podnosić.

Stało na niej około pięćdziesięciu osób.

- Jak się mamy przepchać? To niemożliwe! - zawołał Shirazi.

- Hfathon na pewno o tym wie! - odkrzyknął Orme. - Co on kombinuje? Powinien był załatwić, żeby sprowadzono nas tu wezwonij!

Podskoczył z wrażenia, gdy ktoś dotknął jego barku. Obejrzawszy się zobaczył

Krsza ubranego w zieloną szatę z karmazynową szarfą na piersi.

Za nim znajdowała się długa srebrzysta łódź. Przynajmniej wyglądało to jak łódź

wiosłowa, choć nigdzie nie było widać wiosł ani dulek. Krsz odwrócił się i odszedł,

wskazując Orme'owi gestem, aby udał się za nim. Kapitan zawołał

pozostałych i zaprowadził ich do pojazdu. Krsz wyciągnął spod szaty miniaturowy

metaliczny róg. Przyłożył jeden z jego końców do warg i przemówił. Głos zabrzmiał potężnie.

- Proszę, wsiadajcie do szrt.

Cała czwórka spojrzała po sobie nawzajem. Wszyscy wzruszyli ramionami i wdrapali się do środka, gdzie usiedli na niskich siedzeniach z wysokimi oparciami. Krsz usiadł wygodnie w fotelu znajdującym się na dziobie i odsłonił małą skrzynkę z licznymi diodami.

- Trzymajcie się. To potrwa tylko minutę - przemówił przez swój róg.

Zamanipulował przyrządami. Pojazd wzniósł się łagodnie w górę, zatrzymał na wysokości sześciu metrów, zwrócił w stronę platformy i ruszył w jej kierunku, przyspieszając powoli. Nie było słychać żadnego odgłosu silnika, choć być może tonął on w ogólnym tumulcie. Pasażerowie nie odczuli również żadnych wibracji.

Gdy łódź znalazła się ponad platformą, zaczęła powoli osiadać i wkrótce wylądowała.

Krsz wskazał im gestem, że mają wysiść. W chwilę później łódź

podniosła się ponownie i popłynęła nad tłumem, tym razem szybciej. Następnie wylądowała po drugiej stronie i wówczas opuścił ją Krsz.

- Mogliście się tu dostać, prosząc po prostu ludzi, aby was przepuścili -

odezwał się Hfathon. - Uczyniliby to. Byliście już jednak spóźnieni, wezwałem więc szrt.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że oblali właśnie pewien rodzaj testu. "Pewnie na inteligencję" - pomyślał Orme. Nie wspominał o oporach Madeleine. Mimo to Krsz z pewnością wiedział, że coś jest z nią nie w porządku. Odcień jej skóry był

bliski szary, a oczy miała dziwnie rozbiegane, jakby obawiała się, że coś

może się na nią rzucić. Możliwe jednak, iż on sam wcale nie wyglądał lepiej. Czy mógł być błąd pod swoim czarnym pigmentem i czy jego twarz zdradzała napięcie?

Również Bronski i Shirazi nie prezentowali się szczególnie.

Platforma wciąż powoli się podnosiła, gdy jednak znalazła się na wysokości dziesięciu metrów nad powierzchnią, znieruchomiała. Mijały minuty. Orme spojrzął

w górę, w stronę kuli, przysyłając ręką oczy. Świeciła równie jasno jak zawsze.

Z cizby stojącej na środku platformy wystąpił jakiś Krsz. Miał na sobie szatę w białoniebieskie pasy, a do prawdziwej brody przypisał sztuczny: dłuższy, gęstszy i czerwony. W prawej dłoni dzierżył trzonek laski pasterskiej, wykonanej z jakiegoś ciemnoniebieskiego drewna.

- Rabin Manasse ben Machir - szepnął Hfathon do ucha Orme'a.

Rabin uniósł laskę. Zgiełk tłumu i muzyka ucichły. Słuchać było tylko płacz niemowląt.

Kobieta stojąca na skraju zbiorowiska, tuż pod platformą, odsłoniła pierś i zaczęła karmić dziecko, które natychmiast umilkło. Orme na widok tego wspaniałego biustu wyrażnie się ożywił. W tej samej chwili jednak ogarnął go wstyd. Odczuwał podniecenie seksualne, czekając na nadejście Mesjasza.

- Panie, wybac mi - szepnął.

„Cóż mogę na to poradzić - pomyślał jednak. - Minęło już wiele czasu, a ja nie jestem święty”.

Rabin zaczął śpiewać. Przy trzeciej frazie tłum podjął śpiew. Słowa były w języku hebrajskim, którego Orme nie rozumiał, zaczął jednak śpiewać wraz z innymi. Najpierw używał bezsensownych słów, a potem przerzucił się na Modlitwę Pańską w języku angielskim.

Hfathon trzącił go lekko i powiedział:

- Nie musisz śpiewać. Lepiej milczeć, niż wypowiadać niewłaściwe słowa.

Orme poczuł, jak twarz mu płonie.

Rabin ponownie uniósł swoją laskę. Znowu zapanowała cisza, którą mścił z rzadka płacz niemowląt. Orme nie spojrział w dół. Nie chciał, aby rozpraszał go widok nagich piersi. „On potrafi czytać w myślach i pozna prawdę” - pomyślał. W

sekundę później doszedł jednak do wniosku, że to z pewnością bzdura.

Ostatecznie, zgodnie z tym, co mu powiedziano, Mesjasz to tylko człowiek -choć adoptowany przez Boga - i wcale nie telepata. „Poza tym -pomyślał - nie wiem, czy to, co o nim mówisz, jest prawdą. Być może Danton ma rację.

W chwilę później szepnął:

- O, Panie, uchron mnie przed zwstąpieniem. Spraw, abym uwierzył.

No i proszę! Czyż to nie dziecko odezwało się w nim? Dziecko wierzące we wszystko, co mu powiedzieli ojciec i matka? Dziecko, które nigdy nie umiera?

Zdał sobie sprawę, że podczas gdy był pogrążony w myślach, rabin wraz z tłumem rozpoczęli następny hymn, tym razem w języku krusz. Teraz mógł zrozumieć większość słów, przyłuszczył się więc do śpiewających. Trzeci hymn był jednak znów po hebrajsku, umilkł więc, czując na sobie surowe spojrzenie Hfathona.

Rabin uniósł laskę. Milion ludzkich głosów, nie licząc niemowląt, opadło w dół jak fala rozbijająca się o brzeg. Pulsujące światła zaczęły gasnąć. Na sklepienie wrócił jednolity błękit. Po chwili słońce również zaczęło przygasać.

Tłum wydał przeciągły okrzyk zachwytu. Kula rozjaśniła się czerwienią, a potem stała się niewidzialna. Jaskinię wypełnił mrok. Orme nie widział nawet Hfathona i Danton, stojących tuż przy nim. Wokół niego, jak i w jego wnętrzu, zapanował

całkowity mrok. Słyszał jedynie krew pulsującą we własnych żyłach. Nawet niemowlęta zamilkły, choć Orme spodziewał się, że zarówno one, jak i nieco starsze dzieci, zapłaczą głośno.

Jak długo to trwało? Nie potrafił powiedzieć. Wydawało mu się, że upłynęło wiele minut. Nagle rozległ się grzmot. Orme podskoczył z wrażenia. Był to tylko odgłos laski rabina uderzającej o kamień. Po chwili protagonista natężył głos i tłum ponownie zaczął śpiewać.

Orme nie przestawał patrzeć w górę. Ujrzał niebawem pierwsze ciemnoczerwone rozbliski wracającego do życia słońca. Stopniowo stawało się coraz jaśniejsze i w końcu jego blask był wystarczający, by dostrzec ludzi stojących obok. Było to jednak światło widmowe, w którym ludzie wyglądali jak duchy.

Pod koniec kolejnego hymnu słońce znów nieco pojaśniało. Po raz drugi tłum wydał okrzyk zachwytu. Orme mógł teraz dostrzec czarny punkt na tle pomarańczowej kuli.

Zbliżał się do nich sukcesywnie.

Słońce pojaśniało jeszcze bardziej, choć nie na tyle, aby Orme nie mógł co chwila

spoglądać na nie przez sekundę lub dwie. Było już widać wyraźnie zarys ludzkiej sylwetki.

Orme jęknął głośno i uciszył dłoń Danton. Była zimna i wilgotna.

Z tyłu ktoś głośno pierdnął.

Orme parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Spodziewał się, że winny spotka się z oburzeniem zebranych, lecz ku jego zdumieniu większość na platformie również wybuchnęła głośnym śmiechem. Rozejrzał się wokoło i dostrzegł

Jaakoba, który - mimo że się uśmiechał - był czerwony ze wstydu. Rabin, który nie widział w tym nic zabawnego (aczkolwiek musiał wiedzieć, że śmiech jest sposobem na rozładowanie napięcia), uderzył laską o kamień i uciszył zebranych krzykiem.

Orme ponownie spojrzał w górę.

- Słyszę, że szczękasz zębami, Richard - oznajmiła Danton. Zacisnął, mocno zęby, zdając sobie sprawę, że drży cały jak w gorączce.

- Ty też nie wyglądasz za dobrze, Madeleine - powiedział.

Również Shirazi nie sprawiał korzystnego wrażenia. Był blady. Przygryzał nerwowo wargi. Bronski miał usta rozchylone, a zęby zaciśnięte. Zaciśnięte dłonie podniósł na wysokość splotu słonecznego.

Mężczyzna ubrany w szatę koloru błękitnego opadał powoli w dół. Stopy miał bosc.

Długie włosy ciągnęły się za nim. Zdawały się być koloru ciemnoczerwonego.

Ramiona trzymał opuszczone wzdłuż ciała, a głowę odrzuconą do tyłu.

Rabin huknął:

- Ja Jezua ha Meszizach!

Tłum powtórzył ten okrzyk.

- Oto Jezus, Mesjasz!

Mężczyzna, który wysładował na platformie wśród okrzyków, wrzasków i łkań miliona ludzi, miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy i brodę koloru tycjanowskiego oraz miłą, nieco semicką twarz. Nie takie jednak rysy zostały uwiecznione na sławnym Całunie Turynskim. Jego ramiona były muskularne, ale nie masywne. Dłonie - duże, o długich palcach. Oczy - czarne i lśniące. Wargi -

pomyślał Orme - nieco za grube, jak na człowieka rasy białej". (Ale cóż on miał tu do powiedzenia?) Kości policzkowe osadzone wysoko, policzki nieco zapadnięte, nos długi i lekko haczykowany, podbródek masywny, z wyraźną kreską pośrodku.

Skóra o pięknej, złocistobrązowej barwie.

Stał bez ruchu, przez chwilę spoglądając na ludzi zebranych na platformie.

Następnie odwrócił się, unosząc prawą rękę, i przemówił głębokim, wyważonym barytonem.

- Niech Duch święty uśmiechnie się do was, dzieci moje. Jest On z was bardzo zadowolony. Dzień powrotu już niedaleki.

Tłum bił brawo przez wiele minut. W końcu Jezus uciszył ich, unosząc rękę.

Wszyscy natychmiast umilkli, z wyjątkiem niemowląt, które znowu zaczęły płakać.

- Powrót jest bliski, przed nami jednak jeszcze wiele pracy. Jutro wasi przywódcy zaznajomią was ze szczegółami. Ogólne zarysy planu są wam znane.

Dlatego też nie spędzę tego dnia z wami, jak to bywało uprzednio.

Tłum przecisnął jęk zawodu.

Jezus uśmiechnął się i oznajmił:

- Nie wrócę też jednak do domu tak szybko, jak to zwykłem robić. Tym razem spędzę z wami całe dwa tygodnie. Milion ludzi wydał okrzyk radości.

- Spotkał was niezwykle zaszczyt! Na pewno zostaje z waszego powodu! - Hfathon

ryknął Orme'owi w ucho.

Kanadyjczyk ledwie go słyszał. Odczuwał rosnące odrętwienie, nie na tyle jednak, aby nie zdawać sobie sprawy, że cały drży. Poczłł gwałtowną potrzebę oddania moczu. Postać Jezusa migotała, jakby powietrze pomiędzy nimi rozrzedzało się pod wpływem ciepła.

Jezus uniół rękę. Ponownie, jakby za nacięnięciem guzika, tłum zamilkł.

- Pójdcie dzieci moje do synagogi, oddać cześć waszemu Ojcu, a potem radujcie się jedzeniem, miechem, miłością i wszystkimi dobrymi rzeczami, którymi pobłogosławił was Ojciec. Szalom.

Jezus odwrócił się i podszedł w stronę czwórki Ziemiań. Orme padł na kolana i ucałował wyciągniętą do niego rękę.

- Wybacz mi, Panie - powiedział. - Wstąpiłem. Dopuściłem się złych uczynków...

Wszystko zawirowało. Gdy odzyskał przytomność, leżał na plecach. Otworzył oczy i ujrzał brodatą twarz.

- Co się stało?

- Zemlałem - odparł Hfathon. - Tak jak i Madeleine.

14.

Czwórka Ziemiań znajdowała się w mieszkaniu Shirazich.

To miało podłoże emocjonalne - stwierdził Orme. - Pozwoliłem zapanować nad sobą wyuczonym w dzieciństwie odruchom. Czuję się już znacznie lepiej. Naprawdę ochłoniłem. Potrafię spojrzeć na to obiektywnie. - Umiechnął się blade. - Pod warunkiem, że nie ma GO w pobliżu.

Madeleine odzywała się bardzo mało od chwili, gdy opuściła platformę i wróciła do domu podtrzymywana przez Nadira. Orme przypuszczał, że czuła się zawstydzona i upokorzona. Nic dziwnego. Była zagorzała ateistką od czasu, gdy skończyła osiemnastolatki. Otwarcie wyrażała pogardę dla tych, którzy sadzili, że Bóg może istnieć i namawiała się z tych, którzy twierdzili, że Jezus był Jego Synem. Co prawda Marsjanie nie mówili nic o narodzinach z dziewicy, a nawet temu zaprzeczali. Niemniej widok człowieka, który potrafi dowieść, że żyje już od ponad dwóch tysięcy lat, jak również jego znaczne podobieństwo do osoby, której portrety widziała tyle razy, choćby w domu rodziców, a także w kociach i galeriach sztuki, spowodowały u niej potężny wstrząs. Dawno pogrzebana, lecz nigdy całkowicie nie wygasła wiara, zapanowała nad nią.

A może nagle zwstąpiła w swoją rację? Może uległo w wyniku zniszczenia jej wyobrażenia o sobie samej jako racjonalistce, zawsze nastawionej sceptycznie, kierującej się wyłącznie przesłankami naukowymi? Kryzys tożsamości, brutalna, gwałtowna weryfikacja dotychczasowych wyobrażeń o sobie samym to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się człowiekowi. Nie ma przed tym obrony, poza szaleństwem lub samobójstwem, chyba że zaatakowany ma naprawdę silny charakter.

Madeleine była silna. Tak przynajmniej Orme sądził do tej pory. W tej chwili wyglądała jednak, jakby dopiero zaczynała powracać do zdrowia po długiej chorobie.

Milczenie, które narastało po słowach Orme'a, przerwał Avram Bronski.

- Ja też o mało nie zemlałem - powiedział. - Nie bódź na siebie zły, Richard To było wstrząsające przeżycie. Musimy jednak, jak powiedziały, ochłonić.

Ostatecznie można jako wytłumaczyć fakt, że on się unosił w powietrzu bez żadnego widzialnego napędu. W tym rzecz - widzialnego. Kto wie, jakie urządzenie mógł ukryć pod szatą? Ten pojazd, który zawiózł nas na platformę, również nie posiadał żadnych widocznych

rodzeń zasilania. Dlaczego z nim nie miałyby być tak samo?

Spostrzeżenia Bronskiego brzmiały rozsądnie. Nikt jednak nie uważał ich za bliskie prawdy. Z człowieka zwanego Jezusem promieniowała moc, która sprawiała, że zdawało się potwierdzać wszystko, co mówili o nim Marsjanie. Przyczyna leżała nie w jego słowach, w których nie było nic nadzwyczajnego, ani też w rysach jego twarzy czy postawie. Choć był przystojny, silny i prezentował się wspaniale, to wielu ludzi, których znali, posiadało te same cechy w równym lub nawet większym stopniu. On miał moc, charyzmę (słowo, które znaczyło tak mało, ponieważ tak często je nadużywano), były z niego niewidzialne błyskawice. Zarówno Krsze, jak i zamieszkali tutaj ludzie, gorąco pragnęli go oglądać, dotykać, przebywać z nim, aby spłynęła na nich choćby cząstka jego mocy. Jedyne czwórka marsonautów obawiała się go i myślała z lękiem o następnym spotkaniu. Równocześnie jednak przyciągało ich osobliwe pole magnetyczne, które wytwarzał. Tak czy inaczej, w najbliższej przyszłości musieli z nim spotkać. Nie istniał żaden prosty sposób, by tego uniknąć.

Może jednak obawiali się nie tyle jego, co samych siebie. Późnym rankiem, gdy włączyli telewizor, ujrzeli go, jak wychodził z głównego budynku rządowego.

Efekt wywierany przez obraz holograficzny był niemal tak potężny jak ten, który znali z platformy. W samym środku programu Danton wstała z krzesła i wyłączyła odbiornik. Nikt nie oponował.

- Nie wiem - powiedziała, kręcąc głową.

- Czego? - spytał Nadir.

- Po prostu nie wiem.

Wyszła bez słowa do sypialni. Irańczyk zaczął podnosić się z miejsca, aby pójść za nią, zmienił jednak zdanie.

- Martwię się o nią - rzekł, siadając z powrotem. - Nie chce mi zdradzić, co jej dolega.

- Wiesz, w czym rzecz - odparł Orme. Shirazi nie odpowiedział. Nie było potrzeby tego robić. W tej samej chwili teleekran zamigotał i pojawiła się przed nimi twarz Hfathona.

- Szalom - zaczął. - Proszę was, przyjdźcie natychmiast na uniwersytet, aby rozpocząć pracę nad następnym programem dla Ziemi. Gdy zostanie nadany, będzie wam wolno od czasu do czasu porozmawiać z waszymi ludźmi.

Jeśli Hfathon oczekiwał, że ucieszą się na tę wiadomość, doznał zawodu. Cała trójka milczała, spoglądając ponuro. Wreszcie Orme przemówił: - Za chwilę przyjdziemy, Hfathon. Przynajmniej my trzej. Nie wiem, jak Madeleine.

Puszyste brwi Krsza uniosły się w górę.

- Jeśli nie chce przyjechać, to nie musi. Pamiętajcie jednak, że należy wytłumaczyć waszym kolegom na Ziemi, dlaczego jej nie ma. W przeciwnym razie mogą nabrać jakichś podejrzeń.

Ponieważ Shirazi nie zdradzał ochoty, by udać się po Madeleine, do drzwi jej sypialni zapukał Orme. Nieoczekiwanie oświadczyła mu, że przyjdzie za minutę.

Kapitan wrócił do pokoju z uśmiechem na twarzy.

- Może niepotrzebnie się tak przejmowaliście. Mam wrażenie, że już z nią dużo lepiej. Ostatecznie jest przecież bardzo zrównoważona psychicznie. W przeciwnym razie nie byłoby jej tu z nami.

Bronski uśmiechnął się z przekśsem.

- Wytrzymałość każdego ma swoje granice, a załamanie może zostać spowodowane przez czynniki, których nie da się wcześniej wykryć. - Proszę bardzo. Bądźcie sobie pesymistami - odrzekł Orme.

Madeleine nie była zbyt ożywiona, ale odpowiadała na zadane jej pytania. Gdy jednak

weszli do biura Hfathona, straciła oddech z wrażenia. Wyglądała, jakby miała natychmiast stamtąd uciec. Kanadyjczyk nie potępiał jej za to. Sam był nie mniej zdumiony. Za biurkiem Hfathona siedział Mesjasz.

Jezus wstał i przemówił serdecznym tonem:

- Szalom, przyjaciele. Przybyłem tu, aby wam pomóc w przygotowaniu programu. Mogę w znacznym stopniu przyspieszyć tę sprawę.

Orme usiłował znaleźć w sobie dość odwagi. Dlaczego właściwie czuł się jak niegrzeczne dziecko, przyłapano na czymś bardzo wstydlwym przez potężną i surową starszą osobę? Był wartościowym i dumnym mężczyzną. Byłoby śmieszne z jego strony po prostu dać się zastraszyć. Jezus nie groził mu przecież w żaden sposób. Wydawał się bardzo przyjaźnie nastawiony, gotów traktować innych jak niemal równych sobie. Dlaczego więc nie podejść do tego na luzie?

Łatwiej było pomyśleć, niż zrobić. Mimo to podszedł do Jezusa z wyciągniętymi rękami i zdołał się nawet nieznacznie uśmiechnąć.

- Szalom, rabbi.

Jezus spojrzał na wyciągnięte dłonie, a potem skierował pytające spojrzenie na Hfathona.

- Rabbi - powiedział Krsz - na Ziemi istnieje zwyczaj podawania sobie ręki na powitanie. Tutaj jednak całuje się dłonie Mesjasza - dodał, zwracając się do Orme'a.

Murzyn poczuł się nieco pewniej. Mesjasz nie był wszechwiedzący.

Jezus oświadczył:

- Oni są naszymi gośćmi. Nie mam nic przeciwko uhonorowaniu nieszkodliwego zwyczaju. - Wyciągnął rękę. Marsonauta ujął ją. Poczuł potężny ucisk i lekkie mrowienie. Podejrzywał, iż tamten mógłby zmiażdżyć jego dłoń, gdyby tylko zapragnął. Być może jednak ponosiła go fantazja.

Następnie Jezus podał dłoń pozostałym. Madeleine musiała zebrać wszystkie swoje siły. Ucisnęła mu rękę mocno, patrząc przy tym prosto w jego wielkie ciemne oczy, przypominające oczy jelenia.

- Mocna baba! - pomyślał Orme. - Jest równie twarda, jak my wszyscy".

Niemniej Madeleine lekko pobladła, zresztą Shirazi i Bronski także.

- Za waszym pozwoleniem - powiedział Jezus tonem, który wskazywał, iż spodziewał się, że przystaną na wszystko bez zastrzeżeń - zamierzam zrobić coś, co rzadko czynię.

Ludzie to lubią,

choć mówiłem im, że zbyt to przypomina tanie pseudomagiczne sztuczki. Mówiłem im też, że sami mogliby tego dokonać, gdyby tylko mieli dość wiary we własne siły.

Hfathon i jego koledzy powiedzieli mi o księżce, którą nazywacie Nowym Testamentem. Wiem, że mowa jest tam o tak zwanych cudach, które ponoć czyniłem podczas pobytu na Ziemi. Nie robiłem tego, choć mogłem. Wtedy jednak o tym nie wiedziałem. Nawet Syn Człowieczy nie jest doskonały, jak to ongi rzekłem w Palestynie. Tylko Duch Boży ma tę właściwość. Tylko On jest dobry. Jestem jednak Jego adoptowanym synem i w związku z tym mogę dokonać kilku rzeczy, nieosiągalnych dla zwykłych śmiertelników. Przynajmniej na razie.

Podszedł do stołu i nalał wina do pięciu szklanek.

- Najpierw napijmy się razem, przyjaciele.

Orme wziął szklankę z jego ręki. Pomyślał o swoich rodzicach, którzy twardo odmawiali spożywania jakichkolwiek napojów alkoholowych, chociaż wierzyli, że Jezus zamienił wodę w wino podczas wesela w Kanie Galilejskiej. Gdyby mogli ujrzyć Jezusa w tej chwili, dostaliby apopleksji.

Wypiwszy wino, podszedli za Mesjaszem przez szereg pokoi do olbrzymiego audytorium.

Czekały tam na nich ekipy telewizyjne, wielu pracowników uniwersytetu oraz rzesza urzędników państwowych. Było też kilku szczególnie uprzywilejowanych studentów oraz, przypuszczalnie, paru krewnych i protegowanych osób na wysokich stanowiskach. Tutaj, podobnie jak na Ziemi, nepo-tyzm nie był

zjawiskiem nieznanym. Był może trochę mniej ostentacyjny.

Jezus podszedł do szefów ekip telewizyjnych, aby z nimi porozmawiać. Każdy z nich musiał najpierw ucałować jego rękę. Or-me'owi podobał się ten widok. Byli tacy pokorni i pełni respektu. Kontakty z przedstawicielami telewizji na Ziemi napełniały go odrazą. Strugali takich ważniaków. Zwłaszcza pracownicy telewizji państwowej. Rzecz jasna, sami lizali tyłki wyżej postawionym urzędnikom i politykom.

Przez kilka minut Orme kręcił się bez celu. Kamery irytowały go. Były to małe urządzenia wielkości paczki papierosów, które operatorzy trzymali jedną ręką, spoglądając jednocześnie przez wizjer przytwierdzony do grzbietu pudełka. Kilku miało na głowach opaski, do których przymocowali kamery, mniej więcej na wysokości oczu.

Oczywiście wszelkie przewody czy kable dawno wyszły tu z użycia.

W głębi sali ulokowały się ekipy – ledźśce to, co rejestrowały kamery dokonujące montażu i innych dziwnych czynności, niezrozumiałych dla laika. Tuż obok znajdowała się trybuna, na której stała orkiestra. Orme spojrzał w tamtą stronę.

Zdumiał się, ujrzawszy Golthilo, która ćwiczyła właśnie na swym flecie.

Podszedł do niej natychmiast

- Gulthilo!

Przestała grać i uśmiechnęła się do niego.

- Richard! Jak się masz?

- Poza tym, że jestem lekko wstrząśnięty, to nie najgorzej. Do jego obecności - wskazał ręką na Mesjasza - trudno przywyknąć. Gulthilo spojrzała na Jezusa wzrokiem pełnym uwielbienia.

- Nigdy się do niego nie przyzwyczaisz. Spojrzała na Orme'a i uśmiechnęła się.

Poczuł, że topnieje. Była tak piękna.

- Czy myślałaś o tamtej nocy?

- Nie zapomniałem o niej ani przez chwilę.

Było to kłamstwo, lecz rzeczywiście myślał o niej wiele.

- I co z tego wynikło?

- Kilkadzieś erekcji - oznajmił, zastanawiając się, czy tutejsze obyczaje pozwalają na tak śmiały wypowiedz.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, lecz szybko tam powrócił.

- I to wszystko?

- Jasne, że nie. Posłuchaj, Gulthilo. Wydaje mi się, że jestem w tobie zakochany. Czy jednak poznałem cię naprawdę? A ty mnie? Pochodzimy z bardzo odmiennych kultur. Czy moglibyśmy żyć ze sobą bez konfliktów? W małżeństwie zawsze występują różnice zdań, nawet jeśli małżonkowie zostali wychowani w tej samej kulturze. Oczywiście podstawowym źródłem zdrażnień są różnice charakterów oraz płci. W naszej sytuacji jednak... Nie chodzi o to, że jesteście żydówkami.

Jesteście marsjańskie żydówki, a to zupełnie inna sprawa! Gdyby nie to... no cóż...

- Ale ty też zostałąś żydem - odrzekła. - W przeciwnym razie nie moglibyśmy się pobrać. Nie wyszłabym za ciebie.

Zaległa między nimi cisza, choć wokoło nadal było gwaro. Muzycy dęli w trąbki, rżępolili na skrzypkach, dmuchali we flety, uderzali w dzwonki, walili w bębny.

Nieco dalej rozlegały się okrzyki członków ekip telewizyjnych oraz salwy śmiechu, być może wywołane czymś, co powiedział Jezus, ponieważ dobiegały z tłumu zebranego wokół niego.

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać, ani cię prosić - odpowiedziała. - Nie rozumiem jednak, jak możesz się wahać. Mam na myśli nawrócenie. Jesteś inteligentnym człowiekiem. W przeciwnym razie przez myśl by mi nie przeszło, aby wyjść za ciebie, niezależnie od tego, jak bardzo byłbyś fizycznie pociągający.

Wiem, że bylibyśmy dobrym małżeństwem przez co najmniej sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat, a może dłużej. Wysłałam nasze fizyczno-chemiczno-psychologiczne dane do ośrodka i odpowiedzieli mi, że stanowimy świetnie dobraną parę. Twoje geny również są do zaakceptowania, choć stwierdzono dziedziczną skłonność do cukrzycy, a w wieku lat pięćdziesięciu pięciu mógłbyś zachorować na raka wątroby. Rzecz jasna, można temu zapobiec. Moglibyśmy mieć piękne i inteligentne dzieci. Bylibyśmy wszyscy tacy szczęśliwi. Nie znaczy to, że nie przeżywalibyśmy konfliktów czy przejściowych kryzysów, lecz z tym dalibyśmy sobie radę.

Życie na Marsie wydawało mu się jedną serią zdumiewających niespodzianek. Przez co najmniej minutę nie mógł wykrztusić słowa. Wreszcie eksplodował: - Jezu Chryste!

Gulthilo spojrzała na niego zdziwiona. Zdał sobie sprawę, że odezwał się po angielsku.

- Chcesz powiedzieć - zaczął powoli w języku krz - że wysłałaś tam moją mapę genetyczną, czy jak to się nazywa, nawet nie pytając mnie o zgodę?

- Dlaczego miałabym pytać?

- Ostatecznie miałbym zostać twoim partnerem. A co by się stało, gdyby badania wykazały, że całkowicie do siebie nie pasujemy? Czy kierujecie się wyłącznie nimi? Czy nie wolno wam zawierać małżeństwa z kim chcecie, niezależnie od tego, co mówi aparatura?

- Oczywiście, że wolno. Niektórzy nie zwracają na to uwagi.

Przecież istnieje też namiętność, jak chyba dobrze wiesz. Jednakże dwa tysiące lat praktyki wykazały, że te badania potwierdzają się w 98,1 procent przypadków.

Nie chodzi przecież o sezonowe małżeństwo. Mówię o dobrym, porządnym małżeństwie, o trwałej, wzajemnej miłości. Co prawda, sądząc z tego, co usłyszałam od ciebie, większość ludzi na Ziemi nie posiada cech niezbędnych do stworzenia takiego związku.

- Może trochę przesadziłem - odrzekł. - No dobrze, a co z pozostałymi, z tym 1,9 procent?

- Nie mają dzieci. Z jakich przyczyn są bezpłodni.

- Myślałem, że wasi uczeni potrafią uczynić płodnym każdego.

- Teoretycznie potrafią. Jednakże te przypadki przeczą temu. Zawahała się, po czym wskazała ręką gdzieś za jego plecy, a następnie szybko ją cofnęła.

- Nigdy tego nie powiedziano publicznie, ale wszyscy uważają, że to on jest powodem tej bezpłodności. Ome obejrzał się.

- Kto? Aha, masz na myśli jego?

Gulthilo skinęła głową.

Orme spojrzał na nią z niedowierzaniem:

- Nie gadaj! Czy wiesz, co ty mówisz? Czy on może zapobiec poczęciu za pomocą... czego...? Samej myśli? Teleantykoncepcja?

- Nie wiem, jak on to robi. Jednak to prawda. Tak przynajmniej sądzą. Jak inaczej można by to wytłumaczyć?

- Najprawdopodobniej odpowiedzialni za to są wasi uczeni, czy raczej wasz rząd.

- O nie! - odpowiedziała. - To byłoby sprzeczne z prawem.

- A więc on łamie prawo?
- On jest źródłem wyższego prawa.

Orme westchnął. Jeźli wierzyła, że rządzący państwem nie robią niczego potajemnie, była naiwna. A może jednak miała rację? Ostatecznie знаła swój świat lepiej niż on. Czy rząd tutaj ośmieliłby się zrobić coś nielegalnego? Wszyscy jego członkowie wiedzieli doskonale o parze oczu, które ślepiły ich ze słońca”

i - przynajmniej w teorii - widziały wszystko.

- Odeszliśmy za daleko od mojego pytania - stwierdziła. Przypadek zrzucił, że został zwolniony z obowiązku udzielenia odpowiedzi. Podszedł do niego jakiś Krsz i poinformował go, że powinien wraz z innymi zająć miejsce w wydzielonym sektorze i tam czekać w spokoju, aż przyjdzie kolej na jego wystąpienie.

Richard udał się za nim aż do narożnika sali. Usiadł tam wraz z Bronskim i Shirazim, którzy sprawiali wrażenie, jakby chcieli się odezwać, lecz nie starczało im odwagi. Po kilku minutach orkiestra zaczęła przygrywać.

Hfathon, skłpany w jasnym świetle, stanął na samym środku olbrzymiej sali.

Kilkunastu kamerzystów ustawionych w różnych miejscach, skierowało na niego obiektywy. Orme popatrzył w górę i dostrzegł jeszcze dwóch. Usadowili się na balkonach, wysoko na ścianie.

Reżyser dał znak. Muzyka przeszła w zawołanie zakończone uderzeniem cymbałów, pod wpływem którego Orme aż podskoczył.

Hfathon, uśmiechając się, zaczął mówić po grecku.

15.

„Za około jedenaście minut - pomyślał Orme - przekąniki umieszczone na satelitach wokół Ziemi zaczną odbierać te transmisje. We wszystkich stacjach telewizyjnych, na całej planecie, zasiedli już zapewne uczeni, specjaliści od nowotestamentowej greki, którzy będą pospiesznie tłumaczyć wszystko na swój język ojczysty. Niektóre wyrazy mogą stanowić dla nich zagadkę, ponieważ nie wchodziły na Ziemi w zakres słownictwa tego języka. Ich znaczenie będą musieli odgadnąć później”.

Hfathon oraz dziesięciu jego towarzyszy uczyli się wprawdzie angielskiego od swoich kolegów, lecz lekcje nie trwały więcej niż godzinę i nie odbywały się codziennie. Minie jeszcze kilka miesięcy, zanim uczniowie zaczną mówić płynnie.

Hfathon jednak, podobnie jak trzej inni Krsze, miał znakomity akcent z Toronto i mógł być zrozumiany wszędzie, gdzie mówiono po angielsku.

Orme zaproponował, że przemówi sam, co wyeliminowałoby potrzebę angażowania tłumaczy, jednakże odmówiono mu, nie podając żadnego wyjaśnienia.

Sądził, że „gospodarze” upierali się przy grece koine, ponieważ chcieli być bardziej autentyczni. Ziemianie nie mogli teraz wątpić, iż Marsjanie znali język Nowego Testamentu i to lepiej niż uczeni z Zielonej Planety. Był to kolejny dowód na prawdziwość ich słów. Można było co prawda twierdzić, że nauczyli się tego języka od Bronskiego, lecz ów potrafił jedynie biegle w nim czytać. Poza tym nawet najbardziej podejrzliwym trudno byłoby uwierzyć, że Marsjanie zadawali sobie tyle trudu z nauką koine tylko po to, aby dodać jeszcze jeden szczegół do swojego, i tak już bardzo starannie przygotowanego, oszustwa.

Nagle Hfathon przestał mówić. Orkiestra zagrała kilka taktów utworu przypominającego początkowy fragment VII symfonii Beethovena. Jezus ha Meszjach, Jezus Chrystus - albo jego przekonujący sobowtór” - pomyślał Orme -

wyszedł powoli na środek. Hfathon, zatrzymując na nim spojrzenie, wycofał się w cień. Jezus podniósł rękę. Muzyka umilkła. Zaczął mówić po grecku głębokim głosem, pod wpływem którego ciarki przebiegły Or-me'owi po plecach.

Kanadyjczyk rozejrzył się wokół i nabrawszy pewno ci, że nikt na niego nie patrzy - choć mogły być na niego skierowane ukryte kamery - szepnął Bronskiemu do ucha:

- Co on mówi?

Bronski odwrócił głowę, tak iż jego usta znalazły się tuż przy uchu Orme'a.

Równocześnie nie starał się jednym okiem obserwować mówiącego.

- Powiada, że nie lubi tego robić, lecz sądzi, iż zachodzi potrzeba, aby zademonstrował swoją moc. Zdaje sobie sprawę, że w takiej sytuacji łatwo o oszustwo, lecz -jak twierdzi -dokonywał takich samych rzeczy w warunkach laboratoryjnych, pod ścisłą kontrolą. W późniejszym terminie zostanie nadany zapis filmowy tego wydarzenia. Rzecz jasna, można podejrzewać, że Marsjanie podadzą fałszywe dane na temat tych eksperymentów, więc za jakiś czas przebywający gościnnie na Marsie Ziemianie obejrzą następny pokaz, aby mogli przekonać się, a co za tym idzie, również mieszkańców swojej planety, że jego moc jest autentyczna.

- Tak, ale na Ziemi powiedz, że zmuszono nas, abyśmy to potwierdzili.

- O tym właściwie nie teraz mówi. O! O!

- Co? Co?

- Oświadczyl, że jeżeli to nie wystarczy, przekona wszystkich, gdy przybędzie na Ziemię! Rozległo się chóralne:

- Ja Jezua!

Orme zaczął coś mówić, lecz jakiś twardy przedmiot ugodził go w plecy. Obejrzał się i zobaczył stojącego za nimi olbrzymiego Krsza. W ręku trzymał długą drewnianą tykę, końcem której szturchnął Ziemianina. Krsz pokręcił głową, przykładając palec do warg. Orme czuł się tak, jakby ktoś cięły zwrócił mu uwagę podczas nabożeństwa.

Postać w błękitnej szacie, stojąca na środku sali, wyciągnęła ręce nad głową.

Następnie uniosła się na wysokość około trzech metrów ponad podłogę i - wciąż wyciągając ramiona - wykonała trzy

L

pełne obroty. Orkiestra zaczęła grać jakś szaleńczo muzykę w tonacji moll.

- Jak na pokazie iluzjonistycznym - mruknął Richard. Był jednak przekonany, że to nie żaden trik.

Jaki efekt mogło wywołać oświadczenie Jezusa, że zamierza on przybyć na Ziemię?

Konsternację, rzecz jasna. Zwłaszcza wśród mężów stanu i osób religijnych. To była najbardziej niepokojąca wiadomość, jaka kiedykolwiek dotarła na Ziemię. Jej implikacje nie ograniczały się do sfery religii. Dadaż się one odczuć na każdym polu - politycznym, religijnym, naukowym, ekonomicznym, psychologicznym i tak dalej.

Jak wiele krajów pozwoli swoim obywatelom obejrzeć ten program? Z pewnościami nie kraje komunistyczne. Tam aparatczyki obejrzą go, lecz nigdy nie pozwolą na to szerokim masom. Nie da się jednak ukryć takiej rzeczy na zawsze i wkrótce pojawi się pochodzący z przemysłu kasety, choćby ze wszystkich sił starano się temu zapobiec.

Ciekawe jednak, co robiś rzędy demokracji socjalistycznych? Czy przekazujesz program, czy też zastanawiasz się teraz goręczo, jakś podjąć decyzję? Jeżeli ta transmisja zostanie udostępniona, wiele grup społecznych zareaguje histerycznie. Zaprotestują różne kościoły: protestanci, rzymscy katolicy i chrześcijanie obrędku wschodniego, zapewne też ortodoksyjni i reformowani żydzi, muzułmanie, choć ci ostatni nie byli liczącymi się siłami politycznymi w Ameryce Północnej, i kto wie, ile jeszcze mniej znanych sekt. Reakcja bardziej liberalnych kościołów jest

trudna do przewidzenia. Wszystkich jednak, łącznie z liberałami, dręczyć będzie jedna myśl: a co, jeżeli to naprawdę jest Jezus, a oni wszyscy byli w błędzie?

Jeżeli chodzi o Hindusów, spróbujś oni przyswoić tego marsjań-skiego Jezusa swojej religii, tak jak to robili z niemal każdym nowym bogiem. Nie, jednak nie mogli tego uczynić, ponieważ ten Jezus zaprzeczał, jakoby był bogiem. Poza tym odrzuciłby on religię hinduskś w całośćci.

Jeżeli zał chodzi o agnostyków i ateistów, będs oni tak samo zaniepokojeni i zareagujś równie gwałtownie.

Była to polityczna bomba atomowa, podrzuciona ziemskim przywódcom. Cóż mogli z niś zrobić? Nie uda im się przecież pominść całej sprawy milczeniem. Politykierzy niełe się spocś, będsie ich dręczyć zgaga, a kolejki do toalety w budynkach rżsdowych wydłużś się w okamgnieniu.

Kanadyjczyk przerwał rozmyłania, gdy Jezus wysłdował łagodnie na podłodze. Mesjasz powiedział coł, ułmiechnł się, a następnie zwrócił twarz w ich stronę i wskazał na Orme'a. Przynajmniej ten odnióśł takie wrażenie.

- On zaraz... - powiedział Bronski cichym, lecz podekscytowanym głosem.

Richard Orme nie usłyszal reszty zdania. Nagle wzbił się w powietrze i popłynł ponad krzesłami w stronę człowieka wskazujścego na niego palcem.

Nie opierał się. Ostatecznie był przyzwyczajony do stanu nieważkołci. Czuł odrętwienie, jednak nie przeszkadzało mu to żywić nadziei, że nie wydawał się przestraszony lub łmieszny. Jezus powinien był przynajmniej go uprzedzić.

- Nie bój się! - krzyknł Jezus w języku krsz. - Nic ci się nie stanie.

Powiedział też coł po grecku. łZapewne - pomyłłał Orme -łumaczył słowa, które wyrzekł przed chwilś. Nie było czasu zastanawiać się nad tym nieistotnym szczegółem. Orme wystrzeł nagle w górę, głowś niemal dotykajśc sufitu. Z dołu i z boku kamerzołci skierowali na niego swe przyrzśdy. Próbował się ułmiechnś, lecz w tym momencie włłnie wywinł koziółka i, wciś obracajśc się, choć nie tak szybko, aby zakręciło się mu w głowie, opadł w dół. Na wysokołci dwóch metrów nad podłogś wirowanie ustało. Orme zawisł w powietrzu.

- Przepraszam cię, Richardzie Orme - powiedział Jezus. - Musiałem to uczynić, ponieważ twoje słowo, jako kapitana obecnych tu Ziemi, będzie miało większ wagę.

Zgił palce i Murzyn wysłdował łagodnie u boku Mesjasza. Odzyskał nagle swój ciężar. Stał na podłodze, mrugajśc oczami i ułmiechajśc się. Był to jednak ułmiech głupkowaty.

- Teraz - powiedział człowiek w błękitnej szacie - byłbym wdzięczny, gdybył powiedział swoim ludziom, po angielsku rzecz jasna, że nie było w tym żadnego oszustwa. '

Orme zaczął coł mówić. Poczul jednak, że jest zdyszany, odczekał więc chwilę, zaczerpnł tchu i rzekł:

- To, co mówi Jezus, jest prawdś. Nie doczepiono do mnie żadnych przewodów, żadnych urzśdzeń napędowych... nic z tych rzeczy. To dla mnie całkowite zaskoczenie. Nie wiem, jak on to zrobił, ale...

Nie powinien był użyć imienia Jezus. Ujawnił przez to, że wierzy, iż ten człowiek rzeczywiłcie jest tym, za kogo się podaje.

A czy nie wierzył?

- Dziękuję - powiedział Jezus.

Orme odwrócił się i udał w stronę sektora, lecz nagle przystanł. Drzał tak bardzo, że nie mógł dalej iłć. Wyglśdało na to, że nogi za chwilę odmówiś mu posłuszeństwa. I wówczas tajemnicza moc znów uniosła go w górę, przemiełciła w stronę krzesła, zatrzymała tuż nad nim,

odwróciła i łagodnie posadziła na miejscu.

- Ja Jezua ha Meszjach! - krzyknął tłum.

Jezus podniósł ręce. Zapanowała cisza. Po chwili na scenie pojawili się człowiek i Krsz. Ciśgnęli za sobą klatkę umieszczoną na kołach. W jej środku znajdował się wielki baran. Za nimi szedł Krsz trzymający w jednym ręku krótki, tępo zakończony włócznię, a w drugim wielki topór.

Baran beczał i walił rogami w pręty klatki. Niezależnie od tego, jaki czekał go los, nie okazywał strachu. Był gotów do walki.

Mężczyźni zatrzymali się przed Jezusem i złożyli mu pokłon. Jeden z nich otworzył drzwi klatki. Przez minutę baran stał nieruchomo, po czym wybiegł ze swojego więzienia, szarżując prosto na człowieka w błękitnej szacie. Rzesze ludzi wstrzymały oddech z wrażenia. Niektórzy krzyczeli głośno, lecz Jezus nie zwracał na nich uwagi. Wbił wzrok w barana i wskazał na niego palcem. Zwierzę zatrzymało się z drżeniem.

Krsz - mężczyzna umięśniony znacznie silniej, niż większość jego współplemieniców - wystąpił naprzód i stanął z boku zwierzęcia, unosząc w górę topór. W stalowym ostrzu odbiło się światło. Jezus wyrzekł coś i Krsz wziął

potężny zamach. Ostrze topora przebiło się przez wełnę, skórę, masywne mięśnie karku oraz kości. Głowa zwierzęcia upadła na posadzkę. Trysnęła krew, zalewając połę szaty oraz nagie stopy Jezusa.

Orme'owi zebrało się na wymioty. Bronski i Danton powiedzieli coś zduszonym głosem. Shirazi krzyknął głośno w swym ojczystym języku.

Tłum jednak zachował milczenie.

- To nie jest rytualnie czysty, czyli koszerny sposób zabijania zwierząt -

szepnął Bronski. - Myślę jednak, że i tak go nie zjedzą, więc to nie ma znaczenia.

Jezus podszedł do barana przez kałużę krwi, zatrzymał się, wziął w ręce jego głowę i uniósł ją wysoko. Krew pociekła mu po dłoniach i ramionach. Następnie uklęknął, przyłożył odciętą głowę barana do martwego tułowia i wstał. Wzniósł

oczy ku górze. Jego usta poruszyły się bezdźwięcznie. Ponownie uklęknął, przesunął palcami wzdłuż rany i znowu wstał. Cofnął się nieco.

Baran podniósł się niepewnie na nogi. Głowa nie odpadła mu.

Jezus wskazał na niego palcami i zwierzę weszło z powrotem do klatki.

Zatrzaśnięto drzwi. Klatka, dwaj holujący oraz Krsz z toporem, skryli się w cieniu.

- Ja Jezua ha Meszjach!

W tym okrzyku było tyleż lęku, co i triumfu.

Bronski złapał Orme'a za ramię.

- Na Boga! Krew paruje.

Tak było. Czerwona ciecz wrzała intensywnie. Po dwudziestu sekundach podłoga, szata i ubrany w nią człowiek były równie czyste, jak przed zarżnięciem barana.

Jezus wznosił ręce i wypowiedział po hebrajsku jakieś słowa, prawdopodobnie błogosławieństwo. Następnie odszedł. Tego dnia Orme nie widział go już więcej.

Chód Bronski był nie mniej wstrząśnięty, niż jego towarzysz, nie utracił swej rabinicznej dociekliwości.

- Ciekawe - mruknął - czy będzie musiał zostać rytualnie oczyszczony, skoro poplamiał się krwią? A może, jako że jest Mesjaszem, wszystko, co robi, jest koszerne? Ale ponieważ krew wyparowała i fizycznie jest czysty, to niewykluczone, że w ogóle nie można mówić o nieczystości. Masz jeszcze jakie

inne wyjaśnienie?

16.

Kto, kto o zachodzie słońca” lustrowałby okolicę z wieży gmachu rządowego, nie dostrzegłby żadnego wiatła poza dwoma domami, gdzie mieszkali goje, oraz blade kulki zawieszonoś tuż pod sklepieniem.

Lecz oto nagle, w oknach wszystkich domów, ujrzalby małe wiatelka, jak gdyby Bóg powiedział: „Niech się stanie wiatło”. Były to lampki łojowe zapalane przez głowę rodziny. Ich paliwo pochodziło z tłuszczu „czystych” zwierząt. Przy ich wietle odmawiano wieczorne modlitwy. Cała rodzina zbierała się przy oknie, podczas gdy ojciec recytował litanię do Stwórcy. Ponadto lampki gaszono i włączano wiatła elektryczne. Rodziny zasiadały do smacznego i sutego posiłku, a radość płynęła jak wino.

Tego wieczora, podczas kolacji w domu Shirazich, gdzie jadła cała czwórka Ziemiaków, atmosfera była ożywiona, lecz niezbyt radosna.

- Ta owca to mógł być robot - oświadczyła Madeleine. Położyła widelec przy talerzu, na którym stygł jej posiłek.

- Na pewno tak było. To jedyne rozsądne wyjaśnienie, a ja nie zamierzam wysłuchiwać niczego, co nie jest rozsądne.

- Sama jesteś nierozsądna - wtrcił się jej mąż. - Czy sądzisz, że potrafilibyśmy zbudować robota, który byłby tak podobny do żywego zwierzęcia?

- My nie. Ale oni są znacznie bardziej zaawansowani technicznie.

- Może sądzisz też, że Jezus też jest robotem? Albo wszyscy Marsjanie?

- Ironia jest tu zbyt uczona, Nadir. Nie podoba mi się także twoja sugestia, iż cierpię na urojenia.

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł Shirazi. - Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że wykazujesz nienaukową postawę. Jesteś zbyt uparta. Nie tylko w tej sprawie, w innych również.

Wciąż miał do niej żal z powodu, że nie zgodziła się gotować im posiłków. Madeleine twierdziła, że tak samo należy to do jej zadań, jak i do jego, a poza tym ona nie umie gotować i tyle.

- A podobno jesteś biochemikiem - nie dawał za wygraną Nadir.

Ta uwaga bynajmniej nie złagodziła napięcia między nimi.

- W każdym razie ja nie jestem robotem - oświadczył Orme. - I wiem, że nie zastosowano żadnych urządzeń mechanicznych czy elektrycznych, aby pomóc mi wzbąć się w górę. Nawet jeżeli Marsjanie znają tajemnicę antygravitacji, to z pewnością ci nie użyli żadnych urządzeń antygravitacyjnych w stosunku do mnie.

Danton podniosła widelec, przyjrzała się pieczeni wołowej, gotowanym kartoflom, szparagom i... odłożyła sztuce na bok.

- Może masz coś w rodzaju wiązki przyciągającej? - upierała się.

Orme roześmiał się:

- Z pewnością ci bym to poczuł.

- A co z parującą krwią? - zapytał Bronski.

- To jakiś związek chemiczny albo mieszanina.

- Musiałaś przecież czuć, że to zwierzę żyło - powiedział Orme.

- Nic nie czułam.

- Ty nigdy nic nie czujesz - wtrcił się Nadir. - Wiem o tym aż za dobrze.

- Nie mieszajmy do tego spraw osobistych - odparła chłodno.

Nadir podniósł się gwałtownie i wyszedł z domu wzburzony. Zapewne z chęcią trzasnąłby

za sobą drzwiami, lecz niestety zamykały się hydraulicznie.

- Nie wiem, co z nim poczęść - powiedziała Danton. - Mogłoby nam być razem dobrze, gdyby nie ten cały... Jezus.

Orme i Bronski milczeli. Dręczyły ich te same wstępliwości, co Irańczyka.

Jednakże Nadir, jako muzułmanin, przeżywał jeszcze silniejsze opory. Bronski ostatecznie wychowywał się w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej. Było mu łatwiej powrócić do wiary przodków. Orme był chrześcijaninem, mimo że po nawróceniu stałby się żydem - w pewnym sensie - nadal pozostałby chrześcijaninem.

Oczywiście nie w znaczeniu, jakie nadawała temu słowu większość Ziemian.

"Przynajmniej do tej pory" - pomyślał ponuro.

Nadir Shirazi, podobnie jak jego dwaj towarzysze, był już teraz całkowicie pewien, że człowiek zwany Jezusem nie był zwykłym śmiertelnikiem.

Wedle jego religii Chrystus był prorokiem, największym przed narodzinami Mahometa. Żaden pobożny muzułmanin nie wyrażał się źle o Jezusie. Muzułmanie sprzeciwiali się jedynie bałwochwalcemu stosunkowi chrześcijan do niego. Nie był on Synem Boga poczętym w sposób niepokalany ani tym bardziej nie był Bogiem.

Trójca święta nie istniała. Tutaj jednak Shirazi napotkał człowieka, który wydawał się być Jezusem i zaprzeczał, jakoby był Bogiem bądź narodził się z dziewicy. Uważał się jednak za Syna Bożego, choć jedynie adoptowanego.

Zmartwychwstał naprawdę, choć Koran - święta księga muzułmanów - zaprzeczał nawet temu, jakoby umarł on na krzyżu.

Główną przeszkodą na drodze nawrócenia był dla Shiraziego fakt, że musiałby zostać żydem. Mahomet, podejmując wysiłek założenia nowej religii, został

zdradzony przez jakieś pustynne plemiona żydowskie, zresztą składające się głównie z nawróconych Arabów. Niemniej jednak uprzedzenia wobec żydów istniały od zarania nowej wiary. Jednakże Prorok zaliczył naród żydowski w poczet ludów Księgi, czyli Starego Testamentu, który otaczał cześć. Co bardziej tolerancyjni władcy muzułmańscy w czasach średniowiecza, zwłaszcza w Iberii, gwarantowali żydom swobodę wyznania, a nawet niekiedy mianowali ich wezyrami. W wielkim poważaniu byli żydowscy filozofowie i uczeni. Jednakże kwestia palestyńska, syjonizm oraz utworzenie państwa Izrael zaostrzyły konflikt. Miał on charakter w równym stopniu polityczny, ekonomiczny i narodowościowy, co religijny, lecz większość muzułmanów traktowała go wyłącznie jako religijny. Shirazi był

Irańczykiem, nie Arabem, i jego kraj do niedawna nie był bezpośrednio zaangażowany w wojnę przeciwko Izraelowi. Niemniej wielu Iraczyków popierało swoich braci w wierze, a być muzułmaninem oznaczało mieć żydów w pogardzie.

Shirazi zaprzyjaźnił się z Bronskim bez oporów. Odebrał rzetelne wykształcenie i zachowywał sceptycyzm co do literalnej wykładni Koranu. Przebywając w Iranie, miał dosyć rozsądku, aby dzielić się tymi poglądami jedynie z bliskimi przyjaciółmi, którzy byli podobnego zdania. W końcu jednak musiał uciekać za granicę,

ponieważ nie mógł dłużej znieść braku wolności słowa. Poza tym kilku jego mniej ostrożnych przyjaciół trafiło do więzienia.

Shirazi mógł utrzymywać zażyłe stosunki z poszczególnymi Żydami, lecz wciąż nie opuszczała go głęboka niechęć do ich religii.

Niekiedy sam był gotów przyznać, że zachowanie to miało podłoże czysto emocjonalne, lecz silnie wpojone odruchy zwykle tłumiły głos rozsądku. Zdawał

sobie z tego sprawę, nie mógł jednak na to nic poradzić. A teraz otrzymał

niezbita dowody, iż to judaizm jest prawdziwą wiarą. Musiało tak być, skoro Jezus, o

którym sędził, wbrew Koranowi, że pozostały po nim tylko próchniejsze kości w kamiennym grobowcu, oczekujące na zmartwychwstanie wszystkich zmarłych w dniu Sędzi Ostatecznego, był nadal żywy. Z tych powodów Shirazi przeżywał

wewnętrzne rozdarcie, mimo że przyznawał, iż Jezus był tym, za kogo się podaje.

Walka, która toczyła się w jego wnętrzu, nie ustępowała zaciętości tej, którą przeżywała Danton, jedynie podłoże konfliktu było odmienne.

Orme również prowadził swój prywatny wojnę domową. Sposób na osiągnięcie pokoju z samym sobą wydawał się łatwy. Wystarczyło udać się do najbliższego rabina i wyrazić chęć nawrócenia się. Pragnął to uczynić zarówno z pobudek racjonalnych, jak i emocjonalnych. Jednakże coś w nim nadal stawiało opór. Nie wiedział, co to takiego. Może brało się to z tego, co słyszał na temat Antychrysta, fałszywego Chrystusa, który miał się pojawić w dniach poprzedzających nadejście Sędzi Ostatecznego. Czytał o nim w Biblii, słyszał w wielu kazaniach. Również jego rodzice często o nim mówili.

Wielu miało wziąć Antychrysta za prawdziwego Chrystusa. Czy ten Jezus był Antychrystem?

Orme nie wiedział. Nie miał żadnego sposobu, żeby to sprawdzić. Musiał polegać na swojej wierze czy też, inaczej mówiąc, intuicji. Gdyby był prawdziwym chrześcijaninem, potrafiliby dostrzec prawdę kryjącą się za zasłoną, odróżnić rzeczywistego Jezusa od fałszywego. Może w tym właśnie tkwił problem. Orme nie był prawdziwym chrześcijaninem. Chociaż jego wiara nie polegała tylko na czcnych deklaracjach, była zbyt słaba.

Nadal siedzieli w milczeniu. Richard wstał nagle z krzesła.

- Idę się przejść - oznajmił. - Czuję się tu jak na pogrzebie. Chcę porozmawiać z żywymi ludźmi. Bronski również się podniósł.

- Wracam do domu. Przepraszam cię, Madeleine. Dziękuję za kolację.

- Myślę, że wszyscy jesteście na dobrej drodze do wariatkowania - powiedziała. - Nic dziwnego. Znajdujemy się w irracjonalnym otoczeniu.

Orme podziękował Madeleine za kolację i wyszedł. Bronski podszedł za nim na ulicę.

- Przejdziesz się ze mną? - zapytał Kanadyjczyk.

- Nie. Muszę przemyśleć parę spraw. Albo wyczuć. Sam nie wiem. Mam nadzieję, że przyjdzie mi coś do głowy.

- Nawet jeśli nie wiemy, co myśleć - powiedział Orme - nie jesteście w tym osamotnieni. Wyobrażam sobie, co musisz czuć miliardy ludzi na Ziemi.

- Nie mogł być aż tak wstrząśnięty jak my. Ostatecznie my byliśmy na miejscu, a oni oglądali tylko program telewizyjny. To taka sama różnica jak między sytuacją, gdy naprawdę do ciebie strzelają, a oglądaniem na ekranie aktora uchylającego się od kul.

Powiedzieli sobie "dobranoc" i Orme wyruszył przed siebie. Jedyne światło pochodziło z okien domów, no i z "księżycy". Ten ostatni był jednak przynajmniej o jedną czwartą jaśniejszy, aniżeli ziemski Księżyc w pełni. Część kuli była tej nocy zaciemniona, tak aby imitować jedną z faz naturalnego satelity Ziemi. Gdy Orme zobaczył ten efekt po raz pierwszy, zainteresowało go, jaki to ma cel.

Powiedziano mu, że cykl odpowiada dokładnie fazom Księżycy, tak jak się go widzi w Palestynie. Daty starożytnych wieści, wyznaczanych właśnie na podstawie faz Księżycy, były nadal przestrzegane, choć z pewnymi modyfikacjami związanymi z tym, że plon zbierano tu trzy razy w roku.

"Słońce", rzecz jasna, zawsze stało w zenicie, nie można więc było ustalać dat wieści zależnie od zimowego i letniego przesilenia. Mimo to nadal przestrzegano tu ziemskiego kalendarza. Również dzień marsjański odpowiadał długości ziemskiemu. Pascha i Jom Kippur

były obchodzone raz do roku, a □więto Namiotów trzy razy.

Orme uważał, że łatwiej byłoby po prostu umówić się, że □księżyc” ma fazy. Zapewniłoby to lepsze o□wietlenie. Szaul odpowiedział mu, że to prawda, aczkolwiek nocne □wiatło nie jest im aż tak potrzebne. Większo□ć ludzi nie wychodziła z domu po zmierzchu, poza okresami □wištecznymi, a kiedy to robili, mogli korzystać z elektrycznych latarń lub reflektorów.

Nawet idšc ulicš, i to bynajmniej nie bocznš, Orme był niemal samotny. Kilku rowerzystów, para jadšca powozem, dwóch pieszych i jedna grupa przemieszczajšca się autem, oto wszyscy, których napotkał w przecišgu godziny.

Miał juź zamiar zawracać, gdy dostrzegł miejski parking. Dlaczego by się nie przejechać? Wybrał najbliższy pojazd, długi samochód z trzema rzędami siedzeń.

Wkrótce gnał juź po superauto-stradzie, o□wietlajšc sobie drogę silnymi reflektorami. Po piętnastu minutach skręcił i znalazł się na szosie prowadzącej prosto do jakiej□ wioski. Poniewaź blask □księżycy” był do□ć silny, a Orme nie jechał szybciej niź piętna□cie kilometrów na godzinę, postanowił wyłączyć □wiatła. Przyjemnie było przemykać niczym widmo pomiędzy rzędami wysokich drzew, rosnšcych wzdłuż szosy, mijać domy, z których przez otwarte okna dobiegały urywki pie□ni, wybuchy □miechu i odgłosy ożywionej rozmowy. W pewnej chwili dostrzegł przed sobą jaki□ wielki kształt Zwolnił, lecz okazało się, że to tylko przechodząca przez ulicę krowa. Jaki□ nieostrożny rolnik zostawił otwartš bramę.

To go pocieszyło. Niekiedy wyobrażał sobie, że Marsjanie sš nieomylni i jego własna niedoskonała□ć przepelniała go smutkiem. Na szczę□cie nie była to utopia.

Marsjanie okazywali się takimi samymi lud□mi jak on, choć obracali znacznie większą część swego potencjału ku dobru. Nie wykluczało to jednak lekkomy□lno□ci czy niedbalstwa.

W chwilę pó□niej minšł dom, z którego dobiegały odgłosy kłótni. Ujrzał mężczyznę i kobiety stojšcych przy oknie i wygrażajšcych sobie nawzajem.

Jeszcze jeden fakt zdawał się potwierdzać, że Marsjanie nie byli idealnymi androidami. Różnica polegała na tym, że tutaj kłótnia najpewniej nie zakończy się bijatyką ani morderstwem. Je□li jest to poważny spór, którego nie potrafiš rozstrzygnąć sami, udadzš się do miejscowego arbitra, który uczyni to za nich.

Tego wymagał zwyczaj, a tutaj tradycję szanowano.

Trzeba przyznać Marsjanom, że potrafili zachować dobre zwyczaje, a odrzucić złe.

To, co się sprawdzało, było dobre, je□li tylko nie wchodziło w konflikt z moralno□ciš. Przynajmniej z reguły tak było.

Czy jednak ten system sprawdzili się na Ziemi?

Tutaj działał dobrze, ponieważ mieli człowieka na □słóncu” (a także na □księżycu”), który obserwował ich uważnie.

Praktycznie, choć nie w teorii, głowš ich państwa i rodziny był Bóg.

Na Ziemi jednak nie było Jezusa. Przynajmniej fizycznie.

Orme, opu□ciwszy wioskę, przyspieszył i popędził bocznymi drogami, je□li można nazwać pędem pędka□ć pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. □wiatło □księżycy” padało na drogę pomiędzy drzewami, tworząc na jezdni czamo-białe wzory. Mrok, jasno□ć, mrok, jasno□ć. Była to znakomita ilustracja jego życia tutaj. Na Ziemi zresztš również. Czy na końcu drogi napotka o□lepiajšce □wiatło, przyćmiewajšce wszystkie inne?

Tak się istotnie stało. Nie było ono może o□lepiajšce, ale w każdym razie jasne.

Nie licząc księżycy, z pewno□ciš najja□niejsze, jakie napotkał od chwili, gdy rozpoczął przejażdżkę. Pochodziło z dużego domu, stojšcego w znacznej odległo□ci od drogi. Z trzech stron otaczały go potężne drzewa. Wielkie lampy, zwisajšce z arkady, o□wietlały parking

znajdujący się od frontu. Stało na nim przynajmniej dwadzieścia samochodów, sześć rowerów i dwa powozy.

W budynku nie było okien, a jedyne drzwi były zamknięte. Orme zatrzymał samochód. Wyglądało na to, że jakieś towarzystwo bawi się tam w najlepsze. Czy powinien się do nich przyłączyć? Zapewniano go, że zostanie mile przyjęty wszędzie, gdzie się pojawi, z wyjątkiem niektórych budynków rządowych. Nagle poczuł, że doskwiera mu samotność. Spacer i przejażdżka nie przyniosły mu upragnionej ulgi.

Podczas gdy stał tam niezdecydowany, ujrzał, jak otwierają się drzwi. Ze środka dobiegała muzyka i śmiechy. Wiatr przyniósł woń wina i czegoś mocniejszego. W drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny. Z tyłu widać było stoły, za którymi siedzieli goście, a jeszcze dalej tańczące pary.

Mężczyzna wyszedł na zewnątrz i kiedy znalazł się pod wiszącymi lampionami, Orme zawołał:

- Filemon?!

Człowiek podszedł przez parking i zbliżył się do drogi, gdzie mógł dostrzec w blasku księżyca czarną twarz Orme'a. Filemon zatrzymał się i pogładził ręce rude kręcone włosy. Mruknął coś pod nosem, po czym zawołał głośno: - Richard Orme! Jak tu trafiłeś?

- Przez przypadek. Jechałem sobie przed siebie i nagle zobaczyłem te wszystkie samochody i rowery. Pomyślałem, że może odbywa się tu jakaś zabawa. Czułem się samotny, więc...

Filemon minął samochód i rozejrzał się na wszystkie strony.

- Czy jesteś pewien, że nikt za tobą nie jechał?

- Nie. Dlaczego ktoś miałby to robić?

- Nieważne. Zaparkuj w pobliżu drzwi. Młody sportowiec usiadł obok Orme'a i pochylił się nad nim. Murzyn poczuł silny odór alkoholu.

- Przyprowałbym cię tu już wcześniej, ale za bardzo rzucasz się w oczy z tą czarną skórą i kręconymi włosami. Poza tym nie byłem pewien, jak na to zareagujesz.

Orme zaparkował wóz.

- O czym mówisz?

- Nieważne. Chodź ze mną.

Kanadyjczyk zastanawiał się, skąd Filemon zdobył wysokoprocentowy alkohol. Nie wiedział, że produkowano go tutaj. Wszedł do budynku. Młody Marsjanin zamknął za nim drzwi. Głośna muzyka uderzyła Orme'a po bębenkach, za odór wina, mocniejszych trunków oraz spoconych ciał zaatakował jego nozdrza. Czuł się jak w dyskotecie na Ziemi. Brakowało jedynie dymu z papierosów, co akurat mu odpowiadało. Gdy zebrani ujrzeni go, zamilkli nagle. Orkiestra jednak grała nadal. Filemon skinął głową na znak, że wszystko w porządku. Rozmowy rozległy się na nowo. Orme podejrzewał, iż teraz mówiono głównie o nim. Podszedł za sportowcem do małego okrągłego stołu, wokół którego stały wąskie krzesła. Trzy z nich były wolne, a na czwartym siedziała piękna kobieta o ciemnej karnacji.

Filemon usiadł, wskazał Orme'owi krzesło i przedstawił nowo przybyłemu swoją towarzyszkę.

- Debhora bat Elazar. Ona oczywiście wie, kim ty jesteś.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Jej szkliste oczy oraz woń alkoholu mówiły, że w tej chwili bardzo niewiele rzeczy mogłoby zwrócić jej uwagę.

Filemon, zauważywszy wyraz twarzy Orme'a, zachichotał.

- Wypiła za dużo. Ona tak zawsze.

Orme nie mógł się pogodzić z myślą, że istnieje tu podobne miejsce. Znalazł się w

marsjańskim odpowiedniku nielegalnego szynku z czasów prohibicji.

Filemon krzyknął głośno do barmana i po chwili kelnerka ubrana w przejrzysty strój przyniosła dwa drinki. Towarzyszka sportowca odezwała się niewyraźnie, twierdząc, że ona też chce się napić. Filemon powiedział jej, że ma już dość, po czym dziewczyna znowu zapadła w otępienie. Chwilę później zasnęła z głową opartą o stół.

Orme spróbował trunku o lekko fioletowym zabarwieniu. Smakował jak burbon z sokiem z granatów oraz odrobinę toniku.

- Skąd to bierzecie? - zapytał.

- Nasz czcigodny gospodarz pędzi go z pszenicy z domieszką innych składników.

Pij. To znakomity trunek.

Pierwszy łyk nie smakował Orme'owi, lecz potem płyn przechodził mu przez gardło już łatwo i powodował miłe ciepło w żołądku. Po chwili mężczyzna poczuł odrętwienie i ożywienie zarazem.

- No, no!

- To świetna pochwała - odrzekł Filemon. - "No, no".

- Nie rozumiem - powiedział Orme, wskazując ręką na całe pomieszczenie. - Czy to nie jest nielegalne?

- W zasadzie jest. Otóż, mój czarnoskóry przyjacielu z odległej i pełnej nieprawości Ziemi, rozumiesz, od czasu do czasu czujemy się stłamszeni i zniewoleni, niektórzy z nas nawet przez cały czas, przychodzimy więc tutaj albo do innego podobnego lokalu - tylko w tej jaskini jest ich tuzin - i pijamy się oraz robimy inne rzeczy, które nie spodobałyby się starszym. I to, obawiam się, nawet bardzo.

Orme wypił kolejny łyk i wskazał palcem na parę siedzących przy stoliku w odległym rogu. Obejmowali się czule i całowali.

- Takie jak ci tam?

Filemon odwrócił głowę i przymrużył oczy.

- A nawet gorsze.

Starał się mówić wyraźnie, lecz w efekcie cedził słowa.

Orme pociągnął następny łyk i zapytał:

- Czy tych dwoje wkrótce się pobierze?

- To nie jest... szt pewne.

- A więc młodzi buntownicy, tacy jak ty, przychodzisz tutaj, aby sobie ulżyć.

Myślałem, że jesteście bardzo wstrzemięśliwy. Jak udaje ci się utrzymywać formę?

Filemon wyszczył zawartość szklanki i zamówił następną kolejkę.

- Przez najbliższe dwa miesiące... miesiące nie będzie zawodów. Przyszedłem tylko szę... się odprężyć. Mam czas. Zdżę... zdżę... przepraszam, zdżę wrócić do formy.

Orme pokręcił głową.

- Zatkąło mnie. Byłem naiwny. Naprawdę wierzyłem, że wszyscy tutaj postępują tak, jak się tego od nich oczekuje. Ale... co się stanie, jeżeli was złapię?

Kelnerka przyniosła im dwie następne szklanki. Debhora dźwignęła nagle głowę, spojrzała zamglonym wzrokiem i wyciągnęła rękę po alkohol. Filemon odepchnął ją na bok i dziewczyna zasnęła z powrotem.

Filemon przechylił za jednym zamachem pół szklanki i powiedział: - Publiczne upokorzenie dla nas... nas... wszysz... do diabła!... wszystkich.

Areszt domowy. Mnóstwo pouczeń. Nie mógłbym sztartować przez cały rok i w miejscu publicznym przez miesiąc musiałbym noszyć oszłe uszy. Chyba jednak warto szę na to na-rać. Popatrz na tę Debhorę. Zawsze się tak zalewa. Jak mamy się ze sobą kochać?

- A więc - powiedział Orme - w balsamie z Gileadu jest mucha.
- Wiesz co - powiedział poważnym tonem Filemon - nigdy nie widziałem muchy.
Czytałem o nich oczywiście. Widziałem obrazki. Ale tak naprawdę to nie wiem, co to jest... jest mucha.

- Jeśli przylecisz na Ziemię, dowiesz się. Przedstawię was sobie.

Podniecenie zaczęło opadać. Ogarniało go rozczarowanie. Powtarzał sobie, że nie powinien myśleć w ten sposób. Marsjanie to nie anioły, lecz ludzie. Nie można od nich oczekiwać, że wszyscy sprostają głoszonym przez siebie szczytnym ideałom.

Jak jednak można tak postępować, żyjąc pod samym okiem Mesjasza, wiedząc, że naprawdę jest on tym, za kogo się podaje, a prawdopodobnie kim więcej, i mając go za przykład? Dlaczego w ogóle pragnęli to robić?

Rzecz jasna, w każdej grupie znajdziesz się czarne owce. Trudno było zresztą nazwać klientów tego szynku czarnymi owcami. Wszyscy na Ziemi, z wyjątkiem garstki osób o purytańskim nastawieniu, uznaliby to, co robili oni, za normalne. Nie byli głupi czy występni. Ich zachowanie martwiło go jednak, gdy porównywał je z tym, które cechowało większość populacji.

Muzyka przestała grać. Dziko podskakujący i wirujący tancerze, z których część padła na ziemię, zesli, zwlekli się lub spelzli z parkietu. Muzycy opuścili platformę usytuowaną na końcu baru. Dopiero wtedy Orme dostrzegł flecistkę, która do tej pory była częściowo zasłonięta przez pozostałych muzyków.

Wstał z krzesła tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił stołu. Szklanka Filemona przewróciła się i spadła na podłogę. Również Debhora ześliznęła się z krzesła i zwała na parkiet Richard wytrzeszczył oczy, po czym krzyknął: - Gulthilo!

17.

- Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz - powiedziała.

Zamówiła drinka i usiadła. Kelnerka przyniosła szklankę dla niej i dla Orme'a.

Filemon podniósł się niepewnie. Zrobił oburzoną minę i podszedł do baru.

- Znalazłem się tu przez czysty przypadek - oświadczył Orme. - Czy jesteście tu stałym gościem?

- Nie, ale przychodzę tu od czasu do czasu. Są też oczywiście inne miejsca.

- Ale dlaczego? - zapytał.

- Dlaczego są też inne?

- Nie. Wiesz, o co mi chodzi.

Ujęła jego prawą dłoń i pocałowała ją.

- Dlatego, że lubimy przychodzić do podobnych lokali, aby się ponizić. Fajnie jest się zalać, poflirtować, czasami nawet kochać się ze sobą. Mamy dzięki temu lepsze samopoczucie, przynajmniej przez chwilę. Poza tym... no, chcemy się od czasu do czasu wyrwać na wolność...

- To dziecinada.

- Czyżby? Nie zapomnij, że sam Jezus powiedział: "Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego".* Uniosła szklankę.

- Zdrowie dzieci i jemu na pohybel. Orme był oburzony.

- Nie mówisz tego poważnie?

- Popatrz na siebie. Siedzisz tu, pijąc krribriht w miłym towarzystwie Synów i Córek Szaroci. Nie sprawiasz wrażenia, żeby miał zamiar na nas donieść.

- Szarości? Wypiła kolejny łyk.

* Ewangelia według św. Łukasza(18,17) 158

- Au! - krzyknęła, wciągając powietrze przez otwarte usta. - Mocna, prawda? Tak jest, Synowie i Córki Szarości. Nie jesteście przecież Synami Ciemności. Nie jesteście naprawdę śmiertelnymi. Po prostu chcemy się dobrze zabawić, choć wielu ludzi, których znam, powiedziałoby, że nie ma w tym nic dobrego. Tak więc choć nie postępujemy może jak Synowie Światła, nie zachowujemy się też jak Synowie Ciemności. Naszym obszarem jest Szarość. Przestrzeń znajdującą się pomiędzy.

Przynajmniej gdy jesteście tutaj. Przez resztę czasu...

- Zachowujecie się jak prawdziwe niewiniątka.

- To chyba ziemskie określenie. Tak, to prawda. Orme westchnął i pociągnął kolejny łyk.

- Niezadowoleni i odstępcy w niebie. Kto by pomyślał.

Poczuł przeciśnięcie. Spojrzał za siebie. Dwoje Krszów weszło do pokoju, kierując się ku stolikowi w odległym rogu. Widać było, że wypili już coś przedtem.

- Krsze również - stwierdził.

- Dlaczego nie? - odrzekła Gulthilo. - Słyszcie rozumni, a więc słyszcie ludźmi. Posłuchaj, nie jesteście śmiertelnymi, tylko odrobinę nieposłuszni. Nasze grzechy nie są ciężkie. On nam wybaczy. Pod warunkiem, że nas złapie.

- A jeżeli to się stanie? Będziecie musieli przejść straszliwe upokorzenie.

Pociągnęła łyk ze szklanki.

- Myślę, że różnica pomiędzy nami a grzesznikami z Ziemi polega na tym, że my jesteście gotowi zapłacić za nasze grzechy. Mówiono o was, że nie jesteście zbyt odpowiedziami.

- Nie słyszałem, żeby ktokolwiek wspomniał o grzechu i grzesznikach, odkąd opuściłem dom rodzinny - odrzekł. - Na swój sposób to nawet rozczulajście.

- No więc, co z tobą - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Czy zdecydowałaś się już?

Pod wpływem jej dotyku przeszył go dreszcz. Odsunął jednak rękę.

Odruchowo podniósł szklankę, aby dolano mu następnego drinka, lecz odstawił ją natychmiast. Zaczynał już pod wpływem alkoholu tracić hamulce. Jeszcze kilka łyków i zaciśnięcie ją w krzaki,

a to będzie oznaczało oświadczyny. A może nie będzie? Wspominała coś o "kochaniu się".

- Posłuchaj - oznajmił ostrym tonem. - Czy zachowywałaś wstrzemięliwość wyłącznie ze mną, abym się z tobą ożenił? Czy miewałaś kochanków przez cały czas, gdy powtarzałaś mi, jak bardzo mnie kochasz i jak bardzo pragniesz wyjść za mnie?

Roześmiała się.

- Mówiłam ci już, że jestem zbyt śmiała. Nie powiem ci jednak, czy miałam kochanków. To nie ma nic wspólnego z moją miłością do ciebie. Poza tym, nawet jeżeli ich miałam, i tak byłabym ci wierna po śmierci. Nadal jednak unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

Orme milczał. Wypiła kolejny łyk i znów się roześmiała.

- Jesteś zazdrosny! - oświadczyła.

- Powiedzmy, że jestem. No i co z tego? Na dłuższą chwilę zaległa między nimi cisza. Do stolika podszedł wysoki mężczyzna z dużymi brzośkami.

- Za chwilę koniec przerwy, Gulthilo. Ahab mówi, że chce dziś zamknąć wiecznik.

Zagramy jeszcze trzy kawałki i koniec.

- Czy możecie obejść się beze mnie? - zapytała dziewczyna. - Omawiamy właśnie sprawę naszego małżeństwa.

Lider orkiestry zrobił zdziwioną minę, skinął jednak głową i odszedł.

- Teraz - rzekła Gulthilo - będziemy mogli usunąć wszelkie przeszkody.

- Mówiliśmy już...

Przerwał. Dwóch mężczyzn stanęło naprzeciw siebie przy sąsiednim stole, wykrzykując obelgi i groźby. Przypuszczalna przyczyna tego zwarcia - ruda dziewczyna o wydatnym biuście - bezskutecznie starała się ich uspokoić. Nagle jeden z mężczyzn - barczysty, o zielonych oczach i z czarną brodą - sięgnął ręką ponad stołem i złapał drugiego za ubranie. Tamten, wyższy, lecz szczuplejszy blondyn o niebieskich oczach, uderzył napastnika w twarz. Kobieta spadła z krzesła. Krzyczała. Stół przewrócił się i obaj mężczyźni runęli na podłogę.

Richard wstał szybko od stolika i usunął się na bok. Jakiś człowiek, spiesząc z pomocą jednemu z walczących lub pragnących ich rozdzielić, wpadł na Murzyna z impetem i powalił go na podłogę. Orme przetoczył się i spojrzał w górę akurat, aby zobaczyć, jak Gulthilo kopie napastnika w zębra. Tamten padł na bok, lecąc dalej, niż uczyniłby to w warunkach przyciśnięcia ziemskiego, i zderzył się z barmanem przeskakującym właśnie przez kontuar.

Jakaś ciemnowłosa kobieta zaatakowała z piskiem Gulthilo, rozczapierzając palce. Dziewczyna zadała jej cios w brzuch i brunetka wymiotowała na niś.

Kolejna napastniczka, niewstpliwie koleżanka poprzedniej, objęła Gulthilo od tyłu za szyję i pociśnęła ją ku sobie, wgniatając flectce w plecy kolano.

Kanadyjczyk zerwał się z podłogi jak pasikonik, skoczył w górę, wyłdował tuż za brunetką i chwycił ją mocno. W tej samej chwili ktoś zadał mu cios pięścią w skroń. Orme padł oszołomiony na ziemię, zdołał jednak kopniakiem zbić napastnika z nóg. Tamten próbował podnieść się, jęcząc z bólu, lecz Richard kopnął go w brodę, co wyłszyło go z czasu z walki.

- Bez bijatyki! Bez bijatyki! - krzyczał barman. Z nosa leciała mu krew. Jedno z uszu wyłdowało na nadgryzione. Jego przeciwnik, równie pokrwawiony jak on, leżał na podłodze, potrzebując głowę. Nikt nie zwrócił na to wezwanie uwagi. Nikt poza Orme'em chyba go nawet nie usłyszał. Cały lokal zamienił się w pole bitwy.

Ziemianin wstał niepewnie na nogi i rozejrzał się, szukając wzrokiem Gulthilo.

Minęła dłuższa chwila, zanim odnalazł ją w tłumie. Siedziała okraciem na piersi brunetki, waląc jej głowę o podłogę.

Richard ruszył w tę stronę. Jakaś kobieta ugryzła go w łydkę. Oparł się z całej siły dłońmi o jej czoło tak, że otworzyła usta i odsunął ją na bok kopniakiem.

Nie było łatwo odciągnąć Gulthilo od jej na wpół przytomnej ofiary. Krzyczała, wyrывała się i próbowała sięgać dłońmi do tyłu, aby podrapać mu twarz, zanim zauważyła, że to on.

- Zjeżdżajmy stąd! - zawołał i zaczął popychać ją w stronę drzwi.

- Dlaczego?! - wrzasnęła, wciśnięta się opierając. - To naprawdę fajna zabawa!

- Kto może zostać - ciężko ranny lub nawet zabity! - krzyknął.

- Jahuu! - wrzasnęła, pociągając z całej siły za ucho jednego z dwóch mężczyzn walczących obok. Zaatakowany próbował opę-

dzid się od niej ręką, co wykorzystał jego przeciwnik, zadając mu cios pięścią w gardło.

Rozgniewany Orme zaczął popychać Gulthilo przed sobą. Potknęła się i osunęła na kolana. Dwóch mężczyzn runęło na niś, wymieniając przekleństwa. Złapała jednego za jądra i zacisnęła kurczowo dłoń. Mężczyzna wrzasnął i potoczył się na bok, skowycząc z bólu.

Drugi z walczących nie okazał jednak wdzięczności. Walnął ją w twarz tak mocno, że padła na podłogę. W odpowiedzi Orme kopnął go w podbródek.

Gulthilo była oszołomiona, dzięki czemu Richard zdołał wreszcie bez przeszkód podnieść ją na nogi. Byli już blisko drzwi, gdy przez hałas przebił się głos trębki, a następnie szybkie ratarat na bębnie. Ktoś ryknął: - Spokój! Nadchodzi policja!

Zapanowała cisza, zakłócana tylko przez jęki i postękiwania. Na zewnątrz rozległ się ostry dźwięk gwizdka, a po chwili walenie w drzwi.

- Otwierać w imieniu prawa!

Barman Ahab pokuśtykał w stronę drzwi i zamknął je wielkim drewnianym rygłem.

Następnie odwrócił się i krzyknął:

- Wszyscy za mną! Weźcie ze sobą rannych!

Pobiegł do drzwi znajdujących się obok estrady i zatrzymał się przy nich, popędzając tłum niecierpliwymi gestami. Orme pomógł Gulthilo wstać i poprowadził

ją do wyjścia. Przez minutę w drzwiach panował zator. Wszyscy próbowali wydostać się równocześnie. W końcu korek rozładował się i Kanadyjczyk przeszedł wraz z dziewczyną przez szeroki, lecz krótki korytarz. Właściciel dotknął krawędzi ścian na jego końcu. Ściana opadła się w dół, odsłaniając wąskie schody biegnące spiralnie przez wykuty w skale komin.

Orme pomógł Gulthilo zejść po schodach do wielkiego pomieszczenia, na którego drugim końcu znajdował się wlot tunelu.

Ahab nie zszedł z nimi w dół. Zawołał z góry: - Idźcie prosto, a kiedy wyjdziecie na zewnątrz, uciekajcie! Ja zostaję! Słyszysz już chyba u mnie w domu, więc i tak się z tego nie wykręcę! Nie bójcie się! Nie podam im żadnych nazwisk!

Ci, którzy byli zdolni to zrobić, wydali słabymi głosami okrzyk na jego cześć.

Ściana zamknęła się za nimi.

- Dobra - rzekł lider orkiestry. - Zróbcie tak, jak powiedział. Ja zgaszę za wami światło i zamknę drzwi.

Gulthilo mogła już iść o własnych siłach. Ruszyła przed Richardem w głębi oświetlonego tunelu. Po około stu jardach korytarz zaczął lekko się wznosić.

Niebawem dotarli do końca.

Była tam pokrywa, a prowadziło do niej kilka schodów. Wielki, tęgi mężczyzna, który rozpoczął bijatykę, oparł się plecami o wąż i uniósł go powoli. Posypało się na niego trochę piasku i droga przed nimi stała otworem.

Orme wyszedł na zewnątrz. Znalazł się w cieniu wielkiego drzewa. Wyglądało na to, że jest to w środku lasu. Tuż obok, w przeblaskującym przez gałęzie światle księżycy, połyskiwał mały strumyk. Sowa opadła gwałtownie w dół i zaraz wzbiła się, trzymając w szponach małe zwierzętko.

- To my - szepnęła Gulthilo - a sowa to policja.

- Jak tu przyjechała? - zapytał. - Samochodem czy na rowerze?

- Samochodem z przyjaciółmi. Na szczęście byliśmy ostrożni i założyliśmy rękawiczki, aby nie pozostawić odcisków palców na wypadek obławy. Jednak policja będzie wiedziała, z których parkingów pochodzą samochody. Wszyscy, którzy mieszkają w okolicy, będą przesłuchani.

Ziemianin jęknął.

- Moje odciski palców będą na kierownicy!

- Powiedz im, że zatrzymałem się, aby coś zjeść i że nie znasz nikogo z gości.

Przesłuchaj cię, ale jeśli będziesz się trzymał swojej wersji, nic ci nie grozi. Biedny Ahab, z pewno ci się ucierni! Jego rodzina okryje się wstydem.

- Wiedział, na co się naraża.

Grupa, która pocztkowo tłoczyła się pod drzewem, zaczęła się rozpraszać. W

poblizu rozległy się gwizdki. Policjanci rozpoczęli poszukiwania. Wkrótce dotrą do lasu. Orme i Gulthilo zatoczyli szeroki łuk wśród drzew i po niedługim spacerze wyszli na drogę. Była to ta sama droga, przy której stała gospoda.

Ruszyli wzdłuż niej, podbiegając niekiedy, gotowi czmychnąć pomiędzy drzewa, gdyby tylko dostrzegli jakiegokolwiek światła.

- Tutaj się rozstaniemy - oświadczyła dziewczyna. - Ja muszę skręcać w lewo. Idź do autostrady, następnie skręć w lewo i wkrótce znajdziesz się na swoim terenie.

- Przerwała. - Chyba że chcesz pójść do mnie.

- Nie. Nie chodzi o to, że nie chcę, ale mają moje odciski palców i jeżeli znajdziesz mnie z tobą, odgadną, że byłaś u Ahaba.

- No i jak?

Nie musiał pytać, o co jej chodzi. Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie.

Zwolniejszy uścisk, powiedział:

- No dobrze. Pobierzemy się. Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Kochasz mnie? - zapytała.

- Albo cię kocham, albo oszalałem. Jedno z dwojga.

- Oszalałem z miłości. Pocałowała go czule mówiąc: - To bardzo dziwne miejsce i sytuacja na oświadczyły. Mnie się jednak podoba.

Szalom, Richard.

Odwrócił się natychmiast i oddalił lekkim truchtem. Po chwili zwolnił kroku.

Księżyc stawał się coraz jaśniejszy, zamieniając się z wolna w słońce. W świetle dnia złapał go szybko. Byłoby głupotą wracać na piechotę, zaczął więc rozglądać się za samochodem.

Po dziesięciu minutach natrafił na pojazd zaparkowany przed wiejskim domem.

Wsiadł do niego i odjechał spieszenie, ponieważ usłyszał w domu szczekanie psa.

Nie minęło więcej niż dziesięć minut, gdy poczuł dotknięcie na swym prawym barku.

Zdumiało go to tak bardzo, że skręcił z drogi i o mało nie uderzył w drzewo.

Obejrzał się. Gdy zobaczył siedzącego na tylnym siedzeniu mężczyznę, nacisnął hamulec. Samochód zjechał na bok i zatrzymał się z przednimi kołami tuż przed rowem.

- Jezus?! Ale mnie przestraszyłeś! Po chwili dodał: - Jak, na... Szeol... się tu dostałeś?

Mężczyzna w błękitnej szacie przesiadł się z tylnego siedzenia na miejsce obok kierowcy.

- To głupie pytanie. Przepraszam, że cię przestraszyłem, ale to takie zabawne.

- Mogliśmy się obaj zabić.

- Ja nie. Jedź dalej.

Serce Orme'ś waliło jak młot. Drżał cały. Mimo to wrócił na drogę bez komplikacji. Po chwili Jezus rzucił:

- Policja mogła was oboje aresztować już dawno, ale powiedziałem, żeby tego nie robili.

- Dziękuję - odrzekł Kanadyjczyk. Starł się przybrać obojętny ton, lecz nie zdołał zapanować nad drżeniem głosu. - Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Możesz. Nikt nie zostanie aresztowany. Ahab ben Ram będzie poddany dokładnemu przesłuchaniu, a potem zwolniony. Może wystraszy się na tyle, że zamknie swój lokal lub dopilnuje, żeby funkcjonował zgodnie z prawem. Niektórzy z jego klientów przeniosł się po prostu do innych spelunek, lecz większość, mam nadzieję, opamięta się i uspokoi. Musisz zrozumieć, że policja wie o istnieniu tych lokali od chwili ich założenia. W gruncie rzeczy przez ostatnie tysiąc pięćset lat żaden nie pozostawał nie wykryty przez dłuższy czas. Policja jednak jest bardzo tolerancyjna. Te miejsca stanowią rodzaj wentyla bezpieczeństwa dla zbuntowanej młodzieży. Młodzi upijają się i powtarzają sobie nawzajem swe kontestatorskie banały. Czasami nawet planują jakieś gwałty, lecz rzadko je realizują. Jeżeli do tego dochodzi, szybko kładzie

się temu kres. Ci, którzy biorš w tym udział, płacš wysokš cenę.

- Czy można zapytać jakš?

- Można. Zatwardziali winowajcy sš wysłani do pewnej jaskini, gdzie przebywajš tak długo, aż policja się nie upewni, że odczuwajš skrucę. Tych, którzy jš wyrażajš, badam osobiście, aby wykluczyć wszelkš możliwosc oszustwa.

Chłodny ton wypowiedzi Jezusa przypawił Orme'a o dreszcz.

- A co dzieje się z tymi, którzy nie wyrażajš skrucy?

- Lepiej nie pytać. Jednak naprawdę bardzo dobry ułamek młodych ludzi trafia w tamto miejsce. Musisz zrozumieć, że istnieje coś takiego, jak prawdziwe zło. Z

tego, co mi opowiadano, wnioskuję, że wy, obywatele socjalnych demokracji, porzuciliście cał-

kowiecie pojęcia dobra i zła. Teraz mówicie tylko o niekorzystnych warunkach ekonomicznych i społecznych, złych rodzicach i nieodpowiednim wychowaniu.

Komuniści natomiast wierzš, że niewłaściwe myśli i czyny sš skutkiem błędnej ekonomiki i niesłusznych poglądów politycznych. Czy mam rację?

- To jest nieco bardziej skomplikowane, ale w zasadzie tak.

- Wiesz, że na Marsie nikt nie cierpi z powodu złych warunków ekonomicznych, politycznych czy społecznych. Życie rodzinne jest z reguły pełne radości, a zbyt surowi lub niesprawiedliwi rodzice szybko spotykajš się z naganš ze strony krewnych. Jeśli to nie pomaga, wkraczajš władze lokalne. Zdołaliśmy doprowadzić do takiej sytuacji, gdyż zaczęliśmy jako bardzo mała społeczność. Ludzie jš tworzący wywodzili się z różnych ras i narodów, jednakże już w trzecim pokoleniu nastąpiła całkowita integracja. Jedna religia, jeden język, no i, rzecz jasna, pozytywny przykład ze strony Krszów, którzy byli bardziej zaawansowani. -

Przerwał. - Mieli również mnie. - Przerwał ponownie. - Już niedługo na Ziemi również będš mnie mieli.

- Jeśli wolno mi przypomnieć, rabbi - powiedział Orme. - Ziemia jest znacznie większa od Marsa. Tutaj musisz pełnić nadzór jedynie nad milionem ludzi. Nas jednak jest dziesięć miliardów. Ponadto na Ziemi istnieje olbrzymia różnorodność języków, ras, narodowości, obyczajów i instytucji społecznych.

- Wolno ci przypomnieć. Przestań być taki napięty i pełen pokory. Odpręż się.

- Nie potrafię.

- To z powodu tego, kim jestem. Mimo swej wielkiej mocy nigdy nie potrafiłem doprowadzić do tego, aby ktokolwiek poczuł się w mojej obecności na luzie, z wyjątkiem jednej osoby. To jest cena, jaką muszę płacić za to, że jestem Mesjaszem.

Orme zebrał się na odwagę.

- Czy mogę... Kim jest ta osoba?

- To moja żona. No, jesteście na miejscu. Oto mój dom. Zaraz za tym budynkiem z dachem w kształcie cebuli. Zatrzymaj się przed nim. Mógłbym przelewitować z samochodu, ale nie lubię robić tych sztuczek w miejscu zamieszkania.

Murzyn był tak zdumiony, że o mały włos nie minš wskazane-go budynku. Jego pasażer wysiadł, powiedział "Szalom" i podszedł do drzwi. Był

to duży dom, choć i tak skromny, jak na Mesjasza i adoptowanego Syna Bożego. Nie było widać żadnego policjanta. Zapewne nie było ich również w ukryciu. Orme nie mógł poskromić ciekawości. Zawołał:

- Rabbi, jeśli nie przeszkadzam, czy mogę zamienić z tobš słówko?!

- Oczywiście - odrzekł Jezus z uśmiechem. Richard wysiadł z samochodu i podbiegł do ganku.

- Zdumiałeś mnie, rabbi. Nigdy nie słyszałem, żebyś miał żonę. To jest... niewyobrażalne! Nie chciałem cię urazić, ale...

- To dlatego, że wy, chrześcijanie, uważaliście mnie za cudownie poczętego Syna Ducha Świętego, a także za Niego samego. Sądziłeś, że skalałbym się, gdybym miał stosunek z kobietą. Z tego, co słyszałem, to wyobrażenie pochodzi od człowieka, którego nazywacie Świętym Pawłem. To on wpadł na pomysł, że człowiek nie powinien się żenić, chyba żeby „płonął”, aby użyć jego dziwaczego wyrażenia, to znaczy, po prostu, gdyby musiał zaspokoić swoje pożądanie. Święty Paweł uważał, że ponowne przyjęcie nastąpi jeszcze za jego życia i w związku z tym nie ma sensu żenić się i mieć dzieci. Nie mogę mieć do niego o to pretensji, ponieważ to ja byłem za to odpowiedzialny. Sądziłem bowiem błędnie, że dzień gniewu jest bliski i obiecałem moim uczniom, że niektórzy z nich go dożyją. Jeśli za chodzi o to, że na Ziemi zachowywałem celibat, to trzeba pamiętać, że żona po prostu przeszkadzałaby mi w mojej misji, a poza tym nie byłaby szczęśliwa, nie mówiąc już o tym, że groziłoby jej wielkie niebezpieczeństwo. Niemniej nawet jako Mesjasz nadal pozostaję człowiekiem i mogę błędzić. A także odczuwać pożądanie.

Otworzył drzwi i powiedział:

- Dlaczego nie zjesz ze mną śniadania? Moglibyśmy jeszcze trochę porozmawiać.

Miałem zamiar już niebawem pomówić z całą waszą czwórką o pewnych sprawach, możesz jednak po prostu przekazać im wszystko, co ci powiem.

Oszłomiony, z pochyloną głową, spoglądając spode łba, Orme wszedł do rodzka.

Pokój gościnny był gruntownie umeblowany, lecz nie bardziej, niż w innych domach, w których bywał.

- Miriam! - zawołał Jezus.

Po chwili nadeszła wysoka śniadolica kobieta w błękitno-szkarłatnej szacie.

Miała piękną twarz (chód Orme widywał już piękniejsze) i bujną figurę - duży biust, wąską talię i bardzo szerokie biodra. Sędzisz po kostkach nóg, uda również musiały być tęgie.

Pocałowała Jezusa, który oświadczył:

- Będziemy mieli gościa na śniadaniu, Miriam. On wie, kim jesteś. Ty, oczywiście, również nie mogłaś wziąć go za nikogo innego.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - powiedziała. - Obyś żył w dobrym zdrowiu.

Śniadanie będzie za pięć minut! Jezus zaczął się mówić: - Wcisną nie możesz się pogodzić z tym myślisz, Richardzie. Jestem mężczyzną.

Zachowywałem celibat i czystość na Ziemi, ponieważ przebywałem tam przez krótki czas, tutaj jednak w celibacie żyć nie mogę, choć nadal przestrzegam zasad czystości. Poza tym, gdybym się nie ożenił, kobiety z mojej trójki krytkowałyby mnie, za moimi plecami, rzecz jasna. Ostatecznie są żydówkami.

Ognisko domowe płonie w spokoju tylko wtedy, gdy pod dachem znajduje się szczęśliwa kobieta. Gdy przebywałem na Ziemi, nie miałem własnego domu. Byłem wędrownym powracającym się głoszeniu mojej prawdy.

- Ale... dzieci?

- Wyrzekłem się ich posiadania. Spędzam w domu jedynie kilka dni w miesiącu, a dzieci potrzebują ojca, który byłby z nimi przez cały czas. Miriam zaspokaja swe macierzyńskie pragnienia poprzez nauczanie w szkole. Wychodząc za mnie, wiedziała, że nie będziemy mogli mieć potomstwa. Wiedziała też, że będę się z nią widywał jedynie od czasu do czasu, uważała jednak, że warto. Radość, jakś przynosiś spędzone ze mną chwile, wynagradza jej długie okresy samotności. Ja również jestem z nią szczęśliwy. Umyjmy teraz ręce i twarz. Nie jest dobrze czerpać z darów Stwórcy brudnymi rękoma, choć istnieją sytuacje, w których jest to

wyba-czalne.

- Wiem. Czytałem co nieco na ten temat - odparł Orme.

18.

Orme czuł się dziwnie, gdy Jezus podawał mu jedzenie, lecz starodawnego zwyczaju, mówiącego, że jest to obowiśzkiem gospodarza, przestrzegano nawet w tym domu. Ąniadanie było smaczne i obfite-melon, winogrona, chleb, miód, mięso baranie i wołowe oraz wino.

Chód Marsjanie przechowywali zamrożone krzewy kawowe, które wciśz można było ożyw id, nigdy tego nie uczynili. Orme powiedział Hfathonowi, jakie jest ich zastosowanie i Krsz o wiadczył mu, iż zobaczy, co się da w tej sprawie zrobid.

Jak na razie Richard nie słyssał, aby poczyniono jakie kroki.

Miriam jadła wraz z nimi, lecz obsługiwała się sama. Jadła szybko i niewiele i wysła na targ po zakupy, zanim mężczyni zdśzyli spożyd połowę posiłku.

Jedźc chleb z miodem, Jezus powiedział:

- Spodziewałem się, że wszyscy czworo poprosicie, aby was przyjęto w poczet Bractwa Synów wiatło ci, to jest Hebrajczyków. Jak dotśd jednak nie wystřpili ci z podobnř pro bř. Co was powstrzymuje? Zatwardziało ć serc? -

Przeuł kęs chleba i połknřł go, po czym ciřgnřł: - A może nadal nie jeste cie przekonani, że jestem prawdziwym Mesjaszem? Wydaje się wam, że moja moc nie jest tym, czym wydaje się byd, i że, w gruncie rzeczy, oszukuję was?

Orme miał wraźenie, że jedzenie w jego zołřdku zmieniło się w kawał żelaza.

Wolałyby uniknřć poruszania tak powaźnych tematów podczas posiłku. Nie było jednak na to żadnego sposobu. Nie miał odwagi zaproponować Jezusowi, aby porozmawiali o tym kiedy indziej.

- Trzech z nas jest przekonanych, że w pokazie nie było żadnego oszustwa - powiedział. - Jedna osoba wciśz usiłuje znale ć jakie wytłumaczenie, ale...

- Masz na myli tę kobietę, Madeleine Danton. To nie było pytanie.

- Tak. Czy mogę zapytać, skřd o tym wiesz?

- Znam dusze was wszystkich.

- A wiec - odparł Omie, zdobywajřc się na odwagę - powiniene wiedzieć o tym, co nas powstrzymuje.

- Powiedziałem, że znam wasze dusze, to znaczy, cechy charakteru, ale nie potrafię, ani teź nie zamierzam, czytać w waszych myłach.

- Sřdę - odrzekł powoli Orme - że powodem naszych wahań jest fakt, iż wychowywali my się w różnych religiach, z których żadna nie przygotowywała nas na to, co znale li my tutaj. W gruncie rzeczy to, w co nauczono nas wierzyć, jest tak odmienne od zastanej tu sytuacji, czy nawet z niř sprzeczne, że...

hmm... trudno nam się z tym pogodzić. Byłoby chyba łatwiej przyjřć za swój całkowicie obcy system wierzeń. Tutaj jednak... niektóre rzeczy odpowiadajř temu, co głořily nasze religie, lecz inne... no, sř całkowicie rozbieżne...

Rozumiesz, co mam na myli.

- Nie powinno tak być. Hfathon powtórzył mi, co mówił Bronski; że uczeni na Ziemi od dawna wiedzieli, iż wasze więte księgi pełne sř interpolacji i naboźnych fałszerstw, że znaczna czę ć waszych dogmatów opiera się na błędnych interpretacjach, zamierzonych, břd nie, a wspomniane teksty zawierajř sprzeczno ci, które można pogodzić ze sobř jedynie za pomocř desperackich i urřgajřcych logice wysiłków.

- To prawda, lecz zdecydowana większość ludzi o tym nie wie albo nie chce wiedzieć. Muszę przyznać, że ja również byłem jednym z nich.

- Nadal jesteście - stwierdził Jezus, popijając łyk wina. - Bronski mówił też o Antychryście - ci sięgnął. - Być może to właśnie cię niepokoi. Nie rozumiałem dokładnie uwag na jego temat, poprosiliście więc jedno z ziemskich państw - twoją Kanadę - aby przesłało nam pełny tekst księżki, którą nazywacie Nowym Testamentem. Rzecz jasna w oryginale, po grecku.

„Cóż to musiała być za sensacja! - pomyślał Orme. - Jezus Chrystus prosi o przesłanie mu tekstu Ewangelii!”

- Zwróciliście się też do Izraela o przekazanie nam pełnego tekstu świętych ksiąg żydowskich. Porównamy je z naszymi.

Długonogi kot o rdzawej sierści, długich uszach i pojedynczych pręgach na głowie, nogach i ogonie wszedł do pokoju, miauknął

i wskoczył Jezusowi na kolana. Ten pogłaskał zwierzę, które zaczęło mruczeć i wbiło w Orme'a spojrzenie swych złocistych oczu. Jezus uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie jakiś żart, i powiedział: - Oczywiście możliwe, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Mógłbym być owym Antychrystem, o którym pisał człowiek nazywany przez was świętym Janem. Swoją drogą, czy to prawdopodobne, żeby był on Jochananem, jednym z moich dwunastu uczniów?

Orme odchrząknął:

- Powszechnie uważa się, że tak jest, lecz Bronski twierdził, że nie ma na to żadnych dowodów.

- Nieważne. Sędząc z cytatów podanych przez Bronskiego, jest to bardzo poetycka wizja apokalipsy. Jan miał, rzecz jasna, na myśli Imperium Rzymskie, gdy mówił o siedmiogłowej bestii i wielkiej nierządnicy babilońskiej. Jest też również oczywiste, że oczekiwał nadejścia Mesjasza i Dnia Sędzi jeszcze za swego życia.

Ja zresztą też. Niemniej to nie należy do sprawy, choć jest interesujące. Co z tym Antychrystem? Gdybym ja nim był, musiałby także istnieć Chrystus, Mesjasz.

Czy wierzysz, że on naprawdę istnieje? Czy też w głębi swojego serca uważasz, że on również jest mitem?

- Nie - odrzekł Orme ochryplym głosem. - Nie, wcale tak nie myślę. Wierzę w Jezusa Chrystusa, mojego Zbawiciela i Odkupiciela całej ludzkości.

- W porządku. A więc... mógłbym być jego wielkim antagonistą. Jezus uśmiechał się, jakby ta dyskusja sprawiała mu olbrzymią radość.

- Rozważmy pozostałe możliwości. Czy Antychryst jest tym diabłem, tym szatanem, o którym, jak twierdzi Bronski, tak często wspomina Nowy Testament?

Orme kaszlnął i pociągnął łyk wina, jako że zaschło mu w gardle.

- Chyba nie. Antychryst będzie chyba zwykłym człowiekiem, choć diabeł pokieruje jego kroki.

- Ten diabeł jest - jeśli dobrze rozumiałem - upadłym aniołem, którego imię brzmi Lucyfer. To słowo pochodzi z łaciny i oznacza „przynoszący, niosący światło”. Zgadza się?

- Tak.

- Jednym ze świętych tekstów hebrajskich jest Księga Hioba. W niej Lucyfer to tylko jeden z aniołów, choć bardzo ważny i nie jest on zły. Pełni tymczasowo funkcję prokuratora oskarżającego Hioba. To wy, tak zwani chrześcijanie, uczyniliście z niego upadłego diabła, istotę z rogami i ogonem.

- To jest stara ludowa legenda - odparł Orme. - Nikt już dzisiaj nie wierzy, że on naprawdę ma rogi i tak dalej.

- Rzecz w tym, że wy, chrześcijanie, potrzebowaliście złej siły o mocy niemal równej

Bogu. To przekonanie zostało zresztś najprawdopodobniej zapożyczone od Persów. W ten sposób znaczńs częćciś winy za zło na Ą wiecie można było obarczyć właćnie Lucyfera. Jest jednak oczywiste, że człowiekowi nie potrzeba wpływu żadnego ducha, żeby stał się złym. Jego własne zło jest wystarczajśco silne.

Istniejs duchy i anioły, lecz nie sś one złe. Przypućmy jednak, że jestem szatanem. Co bym wtedy robił na Marsie? Rzecz jasna zbierałbym ciemne siły, aby podbić Ziemię, całkowicie nad niś zapanować i wprowadzić tam rśdzy zła. Moi nieprzyjaciele zostaliby zabici, a ja zaprowadziłbym panujśce nad całym Ąwiatem królestwo, w którym oddawano by czećć wyłącznie złu. Co prawda, sśdzś z tego, co słyssałem o Ziemi, nie jestem pewien, czy szatan nie panuje nad niś juź teraz.

Jezus rozećmiał się. Kot na jego kolanach poderwał się zaskoczony. Mesjasz uspokoił zwierzę, głaśzczś je pomiędzy uszami.

- Rozejrzyj się wokół siebie. Czy naprawdę mozesz uwierzyć, że Marsjanie to Ąli ludzie, a ja jestem szatanem? Oczywićcie, mógłbym mimo to być Antychrystem, a panujśce tu dobro mogłoby stanowić jedynie fasadę czy też maskę. Istniejs jednak również inne możliwoćci. Rozważmy niektóre z nich. Jak być ustosunkował się do czegoć, co z naukowego punktu widzenia mogłoby istnieć? Nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego, choć nie można w tej chwili udowodnić, że miećci się to w uniwersum rzeczy naturalnych. Tak jak sam Stwórca, który nie będsz częćciś natury, może posłużyć się niś w swoich zamiarach. Wyobraćmy sobie, że podczas swych międzygwiazdnych podróży statek kosmiczny Krszów zatrzymał się na planecie, na której, jak sśdzili, życie nie istniało. Była ona nieco większa od Ziemi, a jej słońce znacznie potężniejsze od ziemskiego. Był to błękitny olbrzym. Krsze faktycznie wylśdowali kiedyć na takiej planecie.

Powiedzmy też, że chód nie istniało tam życie, jakie znamy, instrumenty Krszów wykryły jednak niezwykle zjawiska elektromagnetyczne, twory przemieszczajśce się po powierzchni planety w pozornie przypadkowy sposób. W rzeczywistoćci poruszał

nimi wiatr. Elektromagnetyczny wiatr z błękitnego olbrzyma. Powiedzmy również, że Krsze nigdy nie poznali prawdziwej natury tych tworów. Próbowali schwytać niektóre z nich, lecz nie potrafili tego dokonać. Wyobraćmy sobie też, że to elektromagnetyczne zjawiska były w rzeczywistoćci istotami rozumnymi. Zbudowane z pól czystej energii, miały one tak samo złożońs budowę jak ludzie i były równie inteligentne. Pod pewnymi względami nawet inteligentniejsze.

Ich wspólnota nie przypominała tych, które znamy, istniało tam jednak życie społeczne. Porozumiewały się pomiędzy sobś za pomocś języka złożonego ze słów będszych elektromagnetycznymi impulsami o modulowanej częstotliwoćci.

Powiedzmy ponadto, że jedna z tych istot charakteryzowała się olbrzymiś ciekawoćciś. Zamiast uciekać przed niezwykłymi formami życia, które wylśdowały na jej planecie, postanowiła je zbadać. Poprzez liczne eksperymenty stwierdziła, że potrafi zapanować nad ciałami przybyszów, czy może raczej nie tyle zapanować, co zjednoczyć się z nimi. Dzięki temu mogła nie tylko dzielić myćli i uczucia swego gospodarza, lecz w praktyce stać się nim. Potrafiła nawet zawładńs swoim gospodarzem w taki sposób, że ten nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jezus ponownie rozećmiał się i pociśgnśł łyk wina.

- Interesujśca opowiećć, prawda? Co więcej, ta istota stwierdziła również, iż umie przekształcić swe pole energetyczne do tego stopnia, aby stać się tak podobńs do któregoć z przybyszów, że jego towarzysze nie zauwaźs różnicy. Dla nich sobowtór nie różnił się niczym od nich samych ani od tego, kim były przedtem. Rzecz jasna, zarówno sobowtór, jak i osoba Ązintegrowana” musieli podlegać tym samym ograniczeniom, co zwyczajne istoty. Nie mogli

chodzić po wodzie, unosić się w powietrzu, czy naprawić uszkodzonych komórek dotknięciem palca. Albo przywracać umarłych

do życia. Gdyby robili podobne rzeczy, mogłoby to wywołać pytania i spowodować wstąpiwo□ci, które doprowadziłyby do wszczęcia dochodzenia. Krsze nie przypominali pełnych przesǳdów Ziemi z tamtej epoki. Nie uwierzyliby, że ta niezwykła moc stanowi nieoczekiwany dar Stwórcy. Mogliby się domy□lić prawdy.

Gdyby tak było, użyliby swoich precyzyjnych instrumentów i odkryli niepokojǳcǳ elektromagnetycznǳ aktywno□ć, która nie mogła występować u Krszów. Niemniej istota dowiedziała się o tym szybko i nauczyła się ekranować swe promieniowanie do tego stopnia, że nie sposób było go wykryć.

Dlaczego jednak nie ujawnić się przed Krszami? Czy zrobiliby jej oni krzywdę?

Nie wydawało się to prawdopodobne. Byli pokojowo nastawionym ludem. Pozwoliliby energetycznej istocie na spędzanie czę□ci czasu w reaktorze, który dostarczył paliwa napędzającego statek. Rozumiesz, ta istota, podobnie jak wszystko, co żyje, potrzebowała pożywienia, którego dostarczała jej radioaktywno□ć. Mogła jǳ pochłaniać czy trawić, ale nie musiała nic wydalać. Zużywała sto procent pobieranej energii.

- Słońce - mruknǳ Orme.

- Masz na my□li tę kulę, która unosi się w jaskini. Tak, □ródłem jej energii jest reaktor atomowy, choć znacznie bardziej wydajny niż budowane w twoim □wiecie. To tłumaczyłoby, dlaczego spędzam tak wiele czasu na słońcu. Odnawiani tam swǳ substancję w więcej niż jeden sposób. To znaczy, tak brzmiałoby wytłumaczenie, gdybym naprawdę był owǳ energicznǳ istotǳ. Rzecz jasna jest to jednak tylko przypuszczenie, które dostarcza mi rozrywki i, mam nadzieję, tobie również.

Powiedzmy też, że ta istota postanowiła na razie się nie ujawniać. Uznała, że musi poznać przybyszów znacznie lepiej, zanim zdecyduje się podjǳć takie ryzyko.

Tak więc opuszczała od czasu do czasu swego gospodarza, aby spędzić pewien okres w reaktorze. Zdǳżyła zająć po kolei ciała wszystkich Krszów, zanim statek dotarł na Ziemię. Poznała swych gospodarzy dobrze, lepiej niż oni znali samych siebie.

W końcu posiadała umiejętno□ć odczytywania ich pod□wiadomo□ci, podobnie jak ja, gdybym naprawdę był tǳ istotǳ, potrafiłbym czytać w twojej pod□wiadomo□ci.

Jednak nawet gdyby tak było, nie uczyniłbym tego teraz. Widzisz, jednocześnie się ze swymi gospodarzami, sam również stałem się człowiekiem. Stwierdziłem, że wycieczka do pod□wiadomo□ci nie należy do rzeczy przyjemnych. To nie jest miłe miejsce, mój synu. Rzecz jasna, wszystko co mówię to produkt wyobra□ni. Nadal zakładam, że jestem tǳ hipotetycznǳ istotǳ.

Wróćmy więc do przygód czysto energetycznej istoty, która stała się człowiekiem.

Na szczę□cie, czy może niestety, rozwinęło się u niej ludzkie sumienie. Nie mogła tego uniknąć, ponieważ stała się w pełni człowiekiem. Problemy etyczne, które nie tylko nigdy dotǳ jej nie obchodziły, lecz o których w ogóle nawet nie słyszała, pochłonięły jǳ teraz bez reszty.

Czy można było zgodnie z etykǳ zająć ciało innej istoty rozumnej i zapanować nad nim? Odpowied□” brzmiała: nie. A czy wolno było po prostu przebywać w ciele gospodarza, pozostawiając mu jego wolnǳ wolę? Odpowied□ brzmiała: tak. Jednakże, jako go□ć w obcym ciele, istota była tylko pasożytem i do tego bardzo znudzonym.

Pragnęła panować nad ciałem, tak aby było ono posłuszne jej woli. Nie mogła jednak tego zrobić, ponieważ byłoby to złe.

Nie mogła też przekształcić energii swego ciała w materię i stać się sobowtórem którego□ z Krszów. Ujawnienie obecno□ci w tej chwili mogłoby spowodować wielkie

zamieszanie. Ponadto, gdyby Krsze dowiedzieli się, że istota potrafi zapanować nad ich ciałami i umysłami, mogliby uznać, że jest zbyt niebezpieczna, a ponieważ byli inteligentni i posiadali zaawansowaną naukę, znaleźliby sposób na jej zniszczenie; gdyby go za to nie znaleźli, mogliby po prostu wyrzucić ją w przestrzeń i tam pozostawić.

Jezus przerwał. Nie przestawał się uśmiechać.

- Mam wrażenie, że jedzenie nie sprawia ci przyjemności. Mi-riam jest znakomitą kucharką, więc powinno ci smakować.

- Jest bardzo dobre - odrzekł Orme. - Tak się zaszukałem, że zapomniałem o jedzeniu.

Odkroił kawałek baraniny i zaczął go przeżuwać, wydawało mu się jednak, że mięso utraciło smak.

Jezus kontynuował:

- I wtedy statek przybył na Ziemię. Jak wiesz, Krsze spędzili tam trzy lata.

Istota energetyczna zastanawiała się, czy nie pozostać na Ziemi, pozwalając Krszom odlecieć bez niej. Ziemia była jednak straszliwym miejscem z punktu widzenia Krszów, jak również mojego, ponieważ stałem się teraz jednym z nich. Okropne choroby: trąd, rzęszczka, ospa i cała reszta. Straszne warunki, w których żyła większość ludzi. Wojny, masakry, głupie prawa, nienawiść, nędza dzieci... Czy muszę wyliczać dalej? Mimo to litowałem się nad nimi i pragnęłam zmienić ich dołę. Krsze również planowali powrócić któregoś

dnia i podzielić się swymi naukami, technikami oraz organizacjami społecznymi. Niektórzy z nich twierdzili jednak, że udostępnienie tym krwiożerczym dzikusom metod produkcji broni może doprowadzić jedynie do kolejnych nieszczęść.

Ostatecznie, elektromagnetyczna istota postanowiła powrócić wraz z Krszami na ich planetę. Stać się jednym z nich i wśród nich żyć. Nie byłoby to łatwe, ponieważ Krsze rejestrowali wszystkich obywateli i nagłe pojawienie się nieznanego człowieka spowodowałoby wszczęcie dochodzenia. Niewykluczone jednak, że istota mogłaby przybrać postać dopiero co zmarłego Krsza, pozbyć się jego ciała i zająć jego miejsce.

W końcu statek opuścił Ziemię. Wśród ludzi znajdujących się na jego pokładzie był Maciej i niektórzy z jego towarzyszy.

Wiele mówili o Mesjaszu Jezui, Pomazańcu Miłosiernego. Udało im się nawrócić pozostałych Ziemian na swoją religię, lecz z Krszami nie osiągnęli niczego.

Wtedy istocie przyszedł do głowy pomysł. Postanowiła uformować ciało przypominające idealnie zmarłego Jezusa i - jako Jezus - oznajmić, że postanowiła wyruszyć wraz z Krszami do ich świata, aby tam szerzyć swoją wiarę, a po jakimś czasie powrócić na Ziemię, do samej Jerozolimy, aby założyć Nowe Królestwo Syjonu, jak to przepowiadała - choć niezbyt jednoznacznie - księga, którą nazywacie Biblią.

Orme zakasłał i zapytał:

- Przepraszam, rabbi, ale czy nie byłoby to nieetyczne? Jezus milczał przez chwilę, przeżuwając kęs chleba z miodem.

- W węższym sensie tak. Jednakże ta istota dostrzegła sposób na zapewnienie Ziemianom zdrowia i szczęścia. Tak więc wyższa moralność i wyższe prawo odniosły zwycięstwo.

- Słyszałem to już przedtem - odrzekł Orme.

- Och, chcesz przypomnieć, że byli ludzie mówiący o wyższej moralności, aby usprawiedliwić swe niegodziwe czyny. To prawda, lecz w tym przypadku nie ma wątpliwości, że rozumowanie istoty było słuszne. Ważne też, że nie zamierzała ona - jako Jezus - używać siły, aby zaprowadzić na Ziemi Królestwo Mesjańskie, gdyż to musiałoby niestety doprowadzić do wojny. Powiedziałem już jednak kiedyś: "Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz". Pokój nadejdzie później.

- I co dalej? - zapytał Richard. - Co zdarzyło się potem?

- Widziałeś, co się zdarzyło. Synowie Ciemności wytropili statek Krszów i musieli oni skryć się pod powierzchnią Marsa. Resztę wiesz.

- Niezupełnie, rabbi - odrzekł Orme. - Wielu rzeczy mi nie powiedziano. Być może ukrywano je celowo. Na przykład dlaczego czekałeś tak długo na... hmm... milenium? Na powrót na Ziemię?

Z pewnoś ciś Krsze mogli powrócić tam już po stu latach lub nawet wcześniej.

- Tak, lecz nie było ich wtedy wielu. Poza tym ludzie musieli zintegrować się z Krszami, a wiara - głęboko zapuścić korzenie. Co więcej, po szybkim powrocie zastaliby ludzi na Ziemi w takiej samej sytuacji, w jakiej ich zostawili. Krsze twierdzili, że z biegiem czasu Ziemianie dokonują postępu w nauce i być może staną się też bardziej humanitarni. Osiągną stadium, w którym marsjari-ska nauka i technika oraz instytucje społeczne będą mogły zostać zrozumiałe i przyswojone.

Krsze postępowali więc tak, jak poleciła im istota nazywająca siebie Jezusem.

Oznajmił im on, że gdy nadejdzie czas powrotu na Ziemię, dowiedz się o tym, gdy będzie to - zgodnie z przepowiednią Macieja - chwila, w której Ziemianie dotrą do Marsa. Jest też możliwe, że istota zwana Jezusem podpowiedziała Maciejowi, jak powinno brzmieć jego proroctwo.

Przez chwilę panowała cisza. Jezus skończył wyznawanie i rzekł: - Złóżmy dziękczynienie naszemu Stwórcy za te dary. Orme niemal nie słuchał

hebrajskiej modlitwy. Czy ten człowiek go nabierał? Czy wyglądał się po prostu?

Czy też... Jezus wstał z krzesła i powiedział: - Możemy porozmawiać jeszcze przez chwilę. Potem będę cię musiał prosić o zakończenie wizyty, ponieważ czekają mnie ważne zajęcia.

Udali się razem do salonu. Jezus usiadł na wielkim, bardzo miękkim krześle, a Orme zajął miejsce na kanapie.

Jezus złączył ze sobą koniuszki palców i rzekł: - Można też snuć inne przypuszczenia. Wyobraźmy sobie na przykład, że to nie istota energetyczna zapanowała nad jednym z Krszów podczas ich pobytu na planecie błękitnej gwiazdy, lecz że było to inne stworzenie, pochodzące z planety zamieszkałej przez istoty człękokształtne. Nie byłaby to istota energetyczna, lecz jakiś niezwykle rodzaj pasożyta przypominającego odrażającą glistę. Stworzenie to posiadałoby zdolność przedostania się do ciała innej istoty i zagnieżdżenia się wśród jej tkanek jak robak. Mogłoby ono opanować mózg istoty rozumnej i, w pewnym sensie, samo stać się rozumne. Przypuśćmy też, że to stworzenie podszło mniej więcej tą samą drogą, którą opisałem, opowiadając o istocie energetycznej, choć, być może, czyniłoby to w złych intencjach.

- Ale ta teoria nie wyjaśnia, skąd brałaby się jego moc.

- Mógłbym zasugerować, że to glistopodobne stworzenie potrafiło wyzwolić w istotach ludzkich potencjał, z którego istnienia nie zdają one sobie sprawy.

Przynajmniej jak dotąd. Wciś im to powtarzam, lecz nikt nie chce mi uwierzyć.

- Która z tych opowieści jest prawdziwa, rabbi? Jezus przemówił głośno. Jego ciemne oczy lśniły jak szklane szybki, przez które widać wnętrze gorącego pieca.

- Usłyszałeś prawdę i ujrzałeś ją na własne oczy! Powtarzam ci, synu człowieczy, że ten oto syn człowieczy powiedział ci wszystko, co musisz wiedzieć! Nie pozostawało ci już wiele czasu, aby odnaleźć drogę prowadzącą ku zbawieniu!

Orme zadrżał na widok płomieni i gromu.

Jezus podniósł się z miejsca. Surowy wyraz zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca uśmiechowi.

- Możesz już odejść. Niech pokój i błogosławieństwo Miłosiernego spłynę na twoją głowę.

Wyciągnął rękę. Orme wstał, podszedł do niego i ucałował ją, wyczuwając w sobie nagły przypływ mocy.

19.

- Piszę właśnie - oznajmił Bronski - nieautoryzowaną biografię Jezusa.

Jego biurko zawałone było stertą papierów oraz urządzeniami elektronicznymi.

Spod tego stosu Francuz spojrzął na swego kapitana, który spacerował niespokojnie po pokoju.

- W gruncie rzeczy będzie to krótka książka. Raczej streszczenie niż dokładny opis życia. Chcę ją ukończyć, zanim powrócimy na Ziemię. Może nawet zdążę zrobić to tak szybko, że da się prze-transmitować ją przed naszym startem.

Poprzedniego dnia poinformowano marsjantów, że będą pasażerami na marsjańskim statku, który poleci na Ziemię. Nie było to dla nich niespodzianką. Spodziewali się, że zostaną wykorzystani jako świadkowie i że będą mogli potwierdzić, iż nie zdawali fałszywych relacji pod naciskiem swoich gospodarzy.

Orme powtórzył pozostałym swój rozmowę z Jezusem. Madeleine uznała natychmiast opowieść o energetycznej istocie za prawdziwą.

- Igra sobie z nami - powiedziała. - Mówi nam prawdę, wiedząc, że w nią nie uwierzemy.

- Ty jednak uwierzyłaś - odrzekł Nadir. - Jestem prawie pewien, że przeżywasz załamanie nerwowe. W przeciwnym razie nigdy nie dałabyś wiary równie fantastycznej opowieści. To czysta science fiction.

- Prędkiej uwierzę w to, niż że jest Jezusem Chrystusem! - krzyknęła.

- Dlaczego nie? - zapytał Bronski.

Rozgorzała gorączkowa dyskusja. Wszyscy przerywali sobie nawzajem, podnosząc głos. Bronski sprawił jednak, że nagle umilkli. Oświadczył im, że ma zamiar się nawrócić. Załatwił już wszystko z najbliższym rabinem. Po godzinie rabin zatelefonował i poinformował go podnieconym głosem, iż ma dla niego wspaniałą wiadomość. Mesjasz osobiście poprowadzi ceremonię.

- No to pierwsza klasa - powiedział Orme. - Zazdroszczę ci.

Tym żartem pokrył to, co odczuwał naprawdę. Faktycznie zazdrościł Bronskiemu i nienawidził za to sam siebie. Ostatniej nocy, gdy Avram spał, modlił się w jednym z pokoiów.

- Panie, ukaż mi prawdę. Powiedz, czy ten człowiek rzeczywiście jest Jezusem Chrystusem, Twoim Synem, czy też Antychrystem... A może jest tylko istotą energetyczną? Oświeć mnie. Nie pozwól, żebym popełnił najgorszy z błędów. Jestem jednym z Twoich dzieci i z pewnościami nie byłoby dla Ciebie zbyt trudne wskazać mi właściwą drogę. Proszę Cię, Ojczy. Amen.

Nie oczekiwał, że na pokój spłynie jasne światło i że przemówi grzmiący głos.

Niemniej, gdy nic się nie wydarzyło, poczuł rozczarowanie. Nie przemówił nawet jego słaby głos wewnętrzny, ani nie zaświeciło jego własne światło. Wstał, naprężył się, pokręcił i wydał długie westchnienie. Przez kilka sekund miał

wrażenie, że ktoś za nim stoi. To było identyczne uczucie, jakiego doznawał, gdy budził się w nocy z przeświadczeniem, że ktoś stoi przy jego łóżku.

Kto to był? Co to było? Efekt nerwowego przecięcia? Niewyraźna wiadomość obecności samego Boga? Czy może prawdziwy Jezus pozwolił mu wyczuć swoją obecność,

aby Orme zrozumiał, że nie jest sam? Który z Jezusów to był? Ten, o którym Orme słyszał w dzieciństwie, czy też żywy Jezus, Mesjasz narodu wybranego, a w przyszłości wszystkich ludzi? Czy istniała między nimi jakakolwiek różnica? Czy chrześcijanie rzeczywiście się mylili?

A może ten Jezus rzeczywiście był istotą energetyczną?

Gdyby Orme nie widział w tym świętokradztwa, przekląłby Jezusa za to, że opowiedział mu tę historię. Wywołała ona u Kanadyjczyka poważne zwstąpienie, choć nie było to przecież zamiarem człowieka w błękitnej szacie. A może było? Może chciał sprawdzić, co Orme myśli naprawdę.

Od rana Richard toczył bój sam ze sobą. „Trudniej jest walczyć ze swoim ja niż z aniołem - pomyślał. - Jakub miał łatwiejsze zadanie ode mnie”.

Przestał krzyżować po pokoju i wyrzął przez okno.

- Idzie Nadir - powiedział. - Wygląda, jakby przeszedł przez piekło.

Po chwili Irańczyk wszedł do łazienki. Twarz miał pobladła i przygnębiona, a oczy podkrążone. Ręce mu drżały.

- Madeleine mnie rzuciła - rzekł z wysiłkiem. - Dziś rano oświadczyłem jej, że zdecydowałem się zostać żydem. Zaczęła na mnie krzyczeć i kazała mi się wynosić.

Próbowałem przemówić jej do rozumu, ale dostała szału. Nie było sensu z nią dyskutować. Groziła, że mnie zabije, jeśli nie zejdem jej z drogi. Wystraszona się ze mnie, że ja, muzułmanin, mam zamiar zostać żydem.

Orme spojrział na drugą stronę ulicy, gdzie stał dom Shirazich. Nie mógł jednak dostrzec nic przez okno.

- Bardzo mi przykro z powodu Madeleine - powiedział Bronski - cieszę się jednak, że podjęła tę decyzję. Być może Danton się uspokoi. Myślę, że wie, którą prowadzi droga, lecz po prostu nie potrafi się zmusić, aby na nią wkroczyć.

Orme również martwił się tym. Jednakże wiadomo było, że Irańczyk zamierza się nawrócić, wstrząsnęła nim. Co sprawiło, że obaj zmienili zdanie? Dlaczego on nie potrafi zrobić tego samego?

- I tak musiałbym już porzucić - stwierdził Nadir. - Jest poganką, a Ludowi Przymierza nie wolno zawierać małżeństw z poganami. Prawdopodobnie zresztą i tak byśmy się rozwiedli. Z nią nie sposób wytrzymać.

Trudno odgadnąć, dlaczego w tej chwili, usłyszawszy te właśnie słowa, Orme powziął swoje postanowienie. Nie rozbłysło żadne potężne światło ani nie zabrzmiały trąby. Wszystko odbyło się tak spokojnie jak narodziny myszy w mrocznym kredensie.

- Zaraz wracam - powiedział, drżąc z podniecenia. Spojrzeli na niego. Wychodząc usłyszał, jak Bronski woła za nim: - Dokąd idziesz?

- Dowiedcie się!

W godzinę później, ustalwszy gdzie można już znaleźć, zatrzymał samochód przed szkołą, w której uczyła Gulthilo. Uprzedzona telefonem, czekała na niego w pokoju przy wejściu.

Miała na sobie szatę wyszywaną w błękitne i czerwone kwiaty.

Można było wyczuć piżmową woń jej perfum. Włosy spływały jej na plecy złocistą falą. Błękitne oczy lśniły. Usta rozchyłały się w szerokim uśmiechu.

- Nie chciałam powiedzieć, dlaczego musimy się natychmiast zobaczyć - rzekła na powitanie. - Myślę jednak, że wiem. Pragniesz mnie pokochać?

- Zgadza się - odrzekł i wziął ją w ramiona. Usłyszała za sobą chichot dziewczynek, które podsłuchiwały pod drzwiami gabinetu.

Ceremonia przyjęcia wiary była krótka, lecz robiła wrażenie.

Zebrał się potężny tłum - około stu pięćdziesięciu tysięcy gapiów. Część z nich przyszła ze względu na historyczne znaczenie wydarzenia: ten rytuał był odprawiany po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. Drugim powodem była obecność Mesjasza.

Jezus przybył samochodem, zapewne ku rozczarowaniu tych, którzy mieli nadzieję ujrzeć lewitację. Miał na sobie błękitną szatę oraz tefilin, czyli filakterie - miniaturowe skórzane szkatułki, zawierające po cztery cytaty z Prawa, noszone na czole i na lewym ramieniu.

Miał także swój tałas - chustę modlitewną. Wedle Prawa żyd musiał podczas modlitwy owinąć się chustą i założyć tefilin, lecz gdy Orme jadł śniadanie z Jezusem, jego gospodarz nie uczynił tego. Ostatecznie, jako Mesjaszowi przysługiwała mu pewna swoboda. Teraz jednak był odziany tak, jak przystało głównemu rabinowi.

Towarzyszyła mu żona, Miriam, która rzadko pokazywała się publicznie. Przybyła innym samochodem. Gdy wysiadła, a potem skierowała się do synagogi, ludzie stojący najbliżej usiłovali dotknąć jej ubrania, a jeżeli nie mogli tego zrobić, próbowali dotknąć choć tych, którym się udało. Tak jakby sądzili, iż z jej męża przechodzi na nich moc wyczuwalna nawet po przeniknięciu przez dwie dalsze osoby.

Być może jednak był to tylko wyraz publicznego uwielbienia.

Orme, Bronski i Shirazi czekali na stopniach beth kinneseh, czyli synagogi. Z wnętrza dobiegały dźwięki orkiestry. Była tam Gulthilo. Wcześniej, przechodząc obok Richarda, puściła do niego oko. Była naprawdę niepoprawna.

Gdy Jezus wkroczył do chóru, odezwały się trąbki i cymbały.

Za nim podszli konwertyci oraz dygnitarze. Orme był kompletnie oszołomiony podczas składania przysięgi, obrzezania (które miało charakter symboliczny, ponieważ cała trójka miała już napletki usunięte), modlitw oraz posiłku, który spożywali po uroczystości w wielkiej auli uniwersytetu. Jego szczęście podszyte było zwstąpieniem. Czy rzeczywiście postąpił słusznie? Czy nie pozwolił się ponieść emocjom? W tych sprawach jednak zawsze rozstrzyga serce.

Następnego dnia przeżył ceremonię niemal równie oszołamiającą. W jej trakcie zapomniał o swych wstąpieniach.

Ona z Gulthilo udzielił mu Jezus osobliwie. Mistitha, czyli zaślubiny miały charakter bardzo podniosły, ponieważ jednak uczyli je niesłychanie żywiłowo.

Słowo mistittia wywodziło się z aramejskiego, gdzie oznaczało hulankę. Z pewnością było to odpowiednie określenie. Orme przypuszczał, że gdyby nie obecność Jezusa, goście posunęliby się jeszcze dalej. Nikt nie mógł opowiadać dowcipów o nowożeńcach i ich nocy poślubnej ani upić się w sztok w jego obecności. Gdy wyszedł, zabawa wybuchła z nową siłą, lecz nowożeńcy nie zostali już długo. Matka Gulthilo pragnęła opowiedzieć Ormowi więcej o swojej córce, lecz Gulthilo rzekła:

- On wie o mnie wszystko, mamie. - Po czym pocałowała ją i oboje uciekli.

Pojechali do małego domku stojącego na brzegu jeziora w przyległej jaskini i nie tracąc czasu wskoczyli do łóżka. O szóstej rano wyczerpanego Orme'a obudził przenikliwy dźwięk dobiegający z telewizora. Zwłóknął się z postania i podszedł do aparatu. Na ekranie pojawił się Nadir Shirazi.

Jeszcze nim usłyszał jego głos, Richard wiedział już, że Irańczyk przynosi złe wieści. Żal wyłoblił głębokie rysy na jego twarzy.

- Madeleine zadzwoniła do mnie przed godziną. Powiedziała mi, że ma zamiar się zabić. Błagałem ją, żeby tego nie robiła, lecz rozłszyła się. Zanim zdołałem dotrzeć do domu - nocowałem u Bronskiego, rozumiesz - wbiła już sobie nóż głęboko w serce. Przepraszam, że

obudziłem cię tak wcześnie, ale... uważałem...

że powinieneś się dowiedzieć.

Rozpląkał się. Orme odczekał, aż Nadir uspokoił się nieco i powiedział: - Przyjedziemy najszybciej, jak tylko można. To jednak daleka droga...

- Nic nie szkodzi. Hfathon wyśle po was latajść łódź. Gulthilo i Orme przybyli do szpitala po piętnastu minutach.

Bronski, Shirazi, Hfathon i lekarz - Krsz o imieniu Dawidh ben Jiszak - siedzieli w poczekalni.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż ona nie żyje! - zawołał Kanadyjczyk.

- Tak też było - odrzekł Nadir - lecz oni zaleczyli rany. Serce podjęło na nowo pracę i Madeleine jest żywa.

- Ale co z dopływem tlenu do mózgu... Jak długo była martwa, zanim dostarczono ją do szpitala?

- Dziesięć minut. W sumie nie żyła co najmniej pół godziny, ale ludzie w karetce, gdy tylko przyjechali, umieścili ją w komorze niskich temperatur. Mimo to...

Orme pomyślał, że Madeleine utraci władze umysłowe, stanie się wegetującą rośliną. Czy w ogóle warto było ją ratować? Potem przypomniał sobie o Jezusie Chrystusie. Czyż nie mógł on przywrócić jej komórek do stanu wyjściowego?

Wziął Bronskiego na bok i zapytał go o to. Francuz odpowiedział: - Nie było potrzeby prosić go o przybycie. Wszystko, co można zrobić, zostało uczynione natychmiast. Nie zapominaj, Richard, że ich wiedza medyczna jest znacznie bardziej zaawansowana od naszej. Jeśli za chodzi o jej mózg, no cóż, doszło do nieodwracalnych uszkodzeń. Nawet on nie mógłby jej pomóc. Istnieją pewne rzeczy, które po uszkodzeniu tylko Stwórca mogły naprawić.

- Co masz na myśli?

- Jej wspomnienia. Wiele komórek, w których były przechowywane, musiało ulec zniszczeniu. Można je odtworzyć, lecz ponieważ ich zawartość już nie istnieje, byłyby jedynie pustymi pojemnikami czekającymi na uzupełnienie.

- No tak, ale co z Łazarzem? Nie żył od trzech dni, a gdy Jezus go wskrzesił, był jak nowy.

Bronski uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wcióż nie potrafisz odróżnić Jezusa z Ewangelii od Jezusa historycznego. Nikt nie mógłby ożywić zwłok, któregniły przez trzy dni w tak gorącym klimacie. Ta historia została wymyślona po śmierci Jezusa, a być może nawet za jego życia.

Jest to po prostu jedna z niezwykłych opowieści, jakie powtarzano w tamtych czasach o wybitnych ludziach.

Tak też było. Madeleine przeżyła, jej ciało było zdrowe, a inteligencja równie wysoka jak poprzednio. Gdy jednak przemówiła, okazało się, iż sądzi, że ma dwanaście lat i przebywa w domu swoich rodziców w Montrealu. Spodziewając się czegoś podobnego, lekarze podali jej wielką dawkę środka uspokajającego celem złagodzenia szoku. Minie wiele czasu, zanim zdoła zrozumieć, co się z nią stało, jeżeli kiedykolwiek w ogóle do tego dojdzie.

20.

Czego Orme dowiedział się o Marsie? Niewiele z tego, czego się spodziewał (a jego oczekiwania nie były wielkie), choć znacznie więcej, niż potrafił sobie wyobrazić.

I co z tego, że wiedział, iż Marsjanie są żydami, skoro tyle w ich codzienności wcióż go zaskakiwało, a nawet niepokoiło.

Jednym z powodów były jego utrwalone wyobrażenia na temat żydów. Ale im więcej czasu spędzał na Marsie, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że choć zawsze dumny był z tego, iż nie ma żadnych uprzedzeń, w rzeczywistości ci miał ich znacznie więcej, niż mógłby przypuszczać. Może zresztą nie były to uprzedzenia, lecz zwykła ignorancja, jednak uznał, że trudno wytyczyć pomiędzy nimi granicę.

Ponadto marsjańscy żydzi nie byli i nie mogli być identyczni z ziemianami, choć istniały znaczne podobieństwa. Dwa tysiące lat temu ich drogi rozeszły się. Ci, którzy zostali na Ziemi, utrzymywali bliskie kontakty z setkami różnych społecznościami pogańskimi. Ich sąsiedzi - goje - wywierali na nich wpływ bez względu na to, jak mocno żydzi walczyli o zachowanie swej tożsamości kulturowej.

- Żydzi, którzy osiedlili się dawno temu w Chinach - powiedział Bronski - wśród orientalnych gojów stali się w końcu pod względem fizycznym nie do odróżnienia.

Utracili też znaczny część swojego dziedzictwa. Żydzi w getcie rzymskim, choć zachowali swoją religię, pod wieloma względami upodobnili się do Włochów. Nie mogli uniknąć przejścia wielu cech kultury włoskiej. Nie ma w tym nic dziwnego.

Żydzi zawsze starali się dostosować do warunków, gdziekolwiek się osiedlili. W przeciwnym razie nie przeżyliby. W efekcie jednak na przykład ci z getta rzymskiego stali się podobni do Włochów. Słyszałem od wielu żydów tłumaczenie, że żydzi włoscy wyglądem jak Włosi, holenderscy jak Holendrzy, sefardyjscy jak Hiszpanie czy Portugalczycy, a jemeńscy jak Arabowie, ze względu na pewien rodzaj ochronnej mimikry. To śmieszne, nienaukowe wytłumaczenie. Powodem jest fakt, że nie chcą oni przyznać, iż bez względu na to, jak mocno starali się zachować czystość „rasową”, posiadają domieszkę innych, obcych genów. Jedną z przyczyn były gwałty, główną jednak rolę odegrało cudzołóstwo. Rzecz jasna strumień genów przepływał też w drugą stronę i niejedni antysemita ma żydowskiego przodka. Żydzi, zwłaszcza ci pobożni, nie chcą lub nie mogą brać pod uwagę tego wytłumaczenia. Nie rozumiem dlaczego. Przez tyle wieków prorocy żydowscy lamentowali, że ich ziomkowie parzą się z gojami lub też, by użyć mniej nasyconego emocjonalnie, a za to dokładniejszego określenia, krzyżują się z nimi. Czytałem Biblię, to wiesz, o co mi chodzi.

Bronski dodał, że nie mogło to jednak poważnie zagrozić tożsamości żydowskiej, która nie była oparta na czystości „rasowej” lecz religijnej. Poza tym każde dziecko urodzone przez żydówkę było, zgodnie z ich prawem, uważane za żyda i tak też wychowane. Często jednak wytykano je palcami, a poza tym zabroniono mu wstępu do świątyni.

- Zresztą, nie miało to znaczenia - oświadczył Bronski - ponieważ od roku 70.

Świątynia nie istniała, podobnie jak w okresie niewoli babilońskiej. Znowu pogrzeżyłem się w dygresjach, ale co w tym złego? Dygresje są równie interesujące, jak główny wywód. Wszystkie grupy etniczne ulegały wpływom kulturowym przy kontaktach z obcymi. Co jednak dla innych stanowiło wpływy, dla ortodoksyjnych żydów było regresem - zanieczyszczeniem, skalaniem, złem. Ze swojego punktu widzenia mieli całkowitą rację. Jak by mogli pozostać wybranym narodem Boga, jeżeli przestaliby trzymać się swojej religii i przestrzegać któregośkolwiek z Praw Mojżeszowych? Zmienić choćby na jotę któreś z głównych przykazań oznaczających wężowi postawić stopę za próg ich domu. - Uśmiechnął

się. - Zakładając, że wąż ma stopy. Powiedzmy, wsadzić tam nos. Jednakże żydzi marsjańscy byli izolowani zarówno od swych ziemskich braci, jak i od gojów. Nie wycierpieli straszliwych prześladowań, które stały się udziałem ich ziemskich kuzynów, ani też nie odczuwali pokusy przejścia obyczajów gojów, ponieważ nie znali nikogo takiego. Zupełnie nie rozumiesz niuansów i skojarzeń emocjonalnych, które towarzyszą słowu „żyd”. Tutaj, gdy Krsze i Ziemianie przyzwyciężyli dzielące ich różnice kulturowe, co ułatwia fakt, że Krsze stali się

żydami, społeczeństwo

przybrało jednorodny charakter. Na początku istniały pewne tarcia, lecz nie miały one gwałtownego charakteru. Przez ponad dwa tysiące lat Mars nie znał

wojen, zamieszek, masowych migracji wywołanych przez strach. Bardzo rzadko odbywały się tu nawet pokojowe demonstracje. Zdarzały się bójkę pomiędzy pojedynczymi osobami i małymi grupami, a niekiedy morderstwa. Były one jednak tak sporadyczne, iż Bronski przyznał, że ma czasami wątpliwość, czy Marsjanie naprawdę są ludźmi. Szybko wszakże dodał, iż, podobnie jak Mark Twain, jest niewątpliwie uprzedzony do gatunku homo sapiens.

Marsjańskie społeczeństwo dowodziło jednak, że ludzie mają potencjalne zdolności życia w pokoju i współpracy oraz że homo sapiens (tak samo jak "homo krsz") nie jest urodzonym zabójcą.

Albo, jeżeli by nim był, społeczeństwo marsjańskie stłumiło lub skutecznie ograniczyło agresję i pęd do wojny.

- Zgoda - odrzekł Orme. Zauważył jednak, że teraz, gdy ma nastąpić kontakt z cudzoziemcami, Marsjanie szykują się do wojny.

- Nie. Oni nie wypowiadają wojny. Nie będą walczyć, jeżeli nie zostaną zaatakowani. Byliby jednak szaleni albo bardzo głupi, gdyby nie przygotowali się na najgorsze. Znajś historię Ziemi i panującą na niej obecnie sytuację. Muszą spodziewać się ataku.

- Wiesz, że do niego dojdzie. Rzecz w tym, że mogliby uniknąć wojny, gdyby nie opuszczali Marsa. Lub gdyby nie próbowali nawracać Ziemian. Wiesz o tym, mają jednak zamiar spróbować nawrócić całą ludzkość. Zdajś sobie sprawę, że doprowadzi to do wojny. Miliony, może nawet miliardy, zginą bądź ucierpią straszliwie. Można powiedzieć, że Marsjanie są w pewnym sensie agresorami.

Bronski uśmiechnął się krzywo.

- Wciś mówisz, "oni", a nie "my". Zapominasz, że my obaj również zaliczamy się do nich. Wciś nie jesteś prawdziwym Marsjaninem. Być może nigdy się nim nie staniesz.

- A co z tobą? Też mówisz o nich "oni". Bronski wzruszył ramionami.

- To wymaga czasu. Nie mogę zapomnieć o Ziemi, podobnie jak starożytni Żydzi w czasach niewoli babilońskiej nie mogli zapomnieć Jeruzalem.

Jednym z tematów, od rozstrzyśnięcia których Bronski nie potrafił się powstrzymać, była kwestia predyspozycji Marsjan do prowadzenia wojny.

- Co oni mogą wiedzieć o okropnościach wojny? To dziedzina im nie znana. Co, o czym czytali, ale czego nigdy nie doświadczali. Dwa tysiące lat pokoju wytworzyło atmosferę psychiczną, której my, Ziemianie, nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Jest prawdą, że każde ich pokolenie szkoliło się na wypadek wojny, była to jednak tylko zabawa. Jak zareagujś, gdy będziesz zmuszeni zabijać i ginąć?

Czy dwa tysiące lat pokoju uczyniło ich niezdarnymi do wojny?

- Mała o przekrwionym spojrzeniu, która drzemie w nas wszystkich, przebudzi się i wyskoczy ze swej klatki.

- Jeżeli rzeczywiście istnieje w nas takie stworzenie.

- Jednak on twierdzi, że trzeba to zrobić, że to jest słuszne - rzekł Orme.

- Gdyby powiedział to ktoś inny, nie uwierzyłbym.

Obaj wiedzieli, że wciś mają zastrzeżenia w stosunku do tego, co miało się zdarzyć, że nie pozbyli się wielu wątpliwości i pytań. Stale jednak powtarzali sobie samym, a także sobie nawzajem, że nie przezwyciężyli jeszcze swych ziemskich odruchów. Z pewnością ciś nadejdzie czas, gdy się ich pozbędą i staną się równie marsjańscy jak tubylcy. Tymczasem musieli cierpieć. Orme był w gorszym stanie, niż przyznawał się przed Bronskim, czy nawet często przed

samym sobą.

Jedną z wielu rzeczy, które odróżniały marsjańskich żydów od ich ziemskich współbraci, były początkowe oddziaływania Krszów.

W pierwszym okresie wywarli oni potężny wpływ. Wyprzedzali swych "gości" w nauce i technice o co najmniej dwa i pół tysiąca lat.

Uważali Ziemiaków za kulturowo zapóźnionych (i nie bez powodów).

W istocie, gdyby nie Jezus, którego mocy nie sposób było zaprzeczyć ani się jej przeciwstawić, przekształciłoby Ziemiaków, lub przynajmniej ich dzieci, w Krszów - pod względem psychicznym, nie fizycznym.

Stało się jednak coś niezwykle i trudnego do przewidzenia.

Zaszło właśnie to, co wydawało się najmniej prawdopodobne: Krsze nawrócili się.

I choć już w pierwszym pokoleniu przyjęli Prawo bez zastrzeżeń, to przecież nadal pozostali sobą. W ten sposób szybko doszło do nieuniknionych zmian w jego wykładni oraz w sposobie życia żydów zabranych z Ziemi. Jak "wiadomości" o tym nagrania, Maciej i jego libijscy żydzi przeciwstawiali się wielu z tych zmian, lecz sam Jezus nie tylko tego nie robił, lecz nawet je pobłogosławił.

Potem nikt już się nie sprzeciwiał, przynajmniej otwarcie.

W każdym razie różne interpretacje Prawa i stopniowa ewolucja w duchu humanitaryzmu zawsze charakteryzowały religię mojszowską. Jakkolwiek podstawowe prawdy wiary pozostawały nienaruszone.

Krsze i ludzie zintegrowali się w miarę szybko. Mieszkali tuż obok siebie. Ich dzieci bawiły się razem. Wspólnie uczęszczali na te same uroczystości religijne.

Jedyna różnica polegała na tym, że Krsze nie mogli zostać kapłanami, ani też pełnić służby w "wiśtynie". Nie płynęła w ich żyłach krew Aarona i Lewiego.

Jedną ze zmian, które zaszokowałyby ortodoksyjnych żydów, było niewielkie odstępstwo od tekstu modlitwy porannej obowiązującej każdego dorosłego mężczyznę. Od tysiącleci mężczyźni wypowiadali trzy błogosławieństwa: "Błogosławiony bóg Panie, Boże nasz. Królu Wszechświata, który nie uczynił"

mnie poganinem.

Błogosławiony bóg Panie, Boże nasz. Królu Wszechświata, który nie uczynił mnie niewolnikiem.

Błogosławiony bóg Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczynił mnie kobietą".

Na Marsie nie było pogan i szansa, że któryś z żydów stanie się poganinem, była znikoma. Niemniej na Ziemi żyło ich mnóstwo, a pewnego dnia Marsjanie mieli wyruszyć na Ziemię, aby się z nimi spotkać. Tak więc pierwszy werset pozostawiono bez zmian.

Za życia pierwszego pokolenia nie zmieniono też trzeciego błogosławieństwa.

Potem jednak, pod naciskiem Krszów oraz kobiet spośród rodzaju ludzkiego znajdujących się pod wpływem ich poglądów, zmodyfikowano jego treść: "Błogosławiony bóg Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie uczynił mnie zwierzęciem".

Ponieważ miejsca dla rosnącej populacji było niewiele, pierwsze przykazanie Boże nakazujące płodność musiało podlegać pewnym ograniczeniom. Każda para mogła mieć jedynie troje dzieci. Gdy jednak małżonkowie osiągnęli dziewięćdziesiąty rok życia, pozwolono im, jeżeli tego pragnęli, na jeszcze dwoje, a w wieku lat stu osiemdziesięciu na dwoje następnych.

Gdy dzieci opuściły już dom, rodzice mieli prawo się rozwieść.

Było to jednak źle widziane. Rozwód był źródłem plotek i powodował wymówki ze

strony krewnych. Kiedy dochodziło do zbliżenia z nowym partnerem, było ono z reguły uwięcone przez małżeństwo przed lub wkrótce po fakcie.

Ziemiakom żydom społeczeństwo marsjańskie wydawałoby się z początku dziwaczne.

Wiele z jego cech odpowiadałoby im, lecz wiele innych mogłoby zbić ich z tropu.

Wkrótce jednak przystosowaliby się do niego, chyba że chcieliby pozostać ultraortodo-ksyjni. Jakkolwiek życie na Marsie mogło wydawać się dość egzotyczne i przynosiło mnóstwo niespodzianek, jego charakter był z gruntu żydowski. Masy przenikała myśl o Bogu. Wszyscy pogrżeni byli w oceanie boskości. W

przeciwieństwie jednak do ryb, nieświadomych żywiołu, w którym pływały, Marsjanie nigdy nie zapomnieli o Stwórcy i o Przymierzu, które zawarł On z ich przodkami, a przez to również z nimi.

21.

- Czy to ty stałeś przy moim łóżku w nocy, czuwając nade mną? - zapytał Orme.

- Jestem z każdym z mojej owczarni, w dzień i w nocy - odparł Jezus.

Nie chciał powiedzieć na ten temat nic więcej.

Orme był zdziwiony i lekko rozgniewany. Cóż to miało znaczyć? Dlaczego Jezus nie mógł rzec tak lub nie? Jego odpowiedź przypominała tę, której udzielił faryzeuszom, gdy zapytali, czy wolno płacić podatek cesarzowi. Powiedział wówczas: "Oddajcie więc Cesarzowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga".*

Przez następne dwa tysiąclecia bardzo często cytowano owo zdanie. Posługiwano się nim, określając w rozmaity sposób powinności człowieka wobec rządu i religii. Nigdy jednak nie osiągnięto zgody, co należy do Cezara, a co do Boga.

Natomiast odpowiedź Jezusa na pytanie saduceuszów dotyczące wskrzeszenia umarłych brzmiała: "Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych".

Z drugiej strony Jezus stwierdził wyraźnie, że zmartwychwstanie nastąpi, lecz wskrzeszeni nie będą się żenić ani wychodzić za mąż, lecz będą jak aniołowie. Co miało to oznaczać? Że zapanuje całkowita wolność seksualna i ludzie będą utrzymywać stosunki z kim i kiedy zechcą? Czy też, jak twierdziły Kościoły, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety staną się bezpłciowcami, a więc nie będą już mężczyznami i kobietami? Gdy tylko Orme o tym pomyślał, odczuwał w okolicy swych genitaliów dziwne skurcze, jakby ze strachu przed wielkim nożem kastratora.

Orme miał wiele pytań. Gdy dowiedział się, że Jezus żyje i można mu je zadać, pomyślał, że nareszcie pozna odpowiedź. Jednakże Jezus z Marsa, podobnie jak ten, o którym czytał

* Ewangelia według św. Łukasza (12, 17) 192

w księżkach, posługiwał się zagadkami. Bronski przypuszczał, że odpowiedzi kryją się gdzieś wśród wielu zapisów słów Jezusa sporządzonych na Marsie. Nie było teraz jednak czasu na ich przejrzenie. Wkrótce wyruszali na Ziemię.

Tego pamiętnego dnia wszyscy trzej Ziemiakowie znaleźli się w wielkiej szesnastokątnej jaskini położonej tuż pod powierzchnią planety. Wokół nich stało siedem statków kosmicznych - sześć cylindrycznych, a siódmy, trzy razy większy od pozostałych, w kształcie półkuli, z której sterczało sześć długich cylindrów zakończonych olbrzymimi kulami. Do każdego ze statków wchodziło w dwóch rzędach ludzi. Nie mieli już na sobie swych sięgających do kostek szat ani sandałów. Byli umundurowanymi żołnierzami gotowymi do wojny, choć żywili nadzieję, że nie

okaże się ona konieczna. Mieli na sobie wysokie niebieskie buty, czerwone workowate spodnie, białe tuniki do bioder i czarne plastikowe hełmy. Na piersiach, ramionach i nakryciach głowy nosili metalowe insygnia, pochodzące ze świata Krszów, oznaczające rodzaj służby oraz stopień wojskowy. Wielu miało pasy, do których przypięto futerały z bronią w kształcie pistoletu. Niektóre jej egzemplarze były laserami zdolnymi zabić człowieka z odległości trzech mil lub przeciąć z odległości pół mili płytę stalową grubości.

Spośród dwudziestu tysięcy ludzi tylko czterech nie miało mundurów. Jezus założył swój błękitny szatę, a Ziemianie uniformy IAS A. Mesjasz uważał, że nie byłoby korzystne, gdyby wyglądali na członków marsjańskich sił zbrojnych.

- Jesteście z nami i stanowimy jedno. Miłujemy was, lecz mieszkańcy Ziemi mogą uznać was za zdrajców. Lepiej żebyście z początku wyglądali jedynie na nawróconych. Jesteście mieszkańcami królestwa Ducha Bożego, a więc jego żołnierzami, lecz Synowie Ciemności pełni będą podejrzeń i trwogi. Nie mogą sądzić, że należycie do nas. Musicie pozostać Ziemianami, nie Marsjanami. W ten sposób staniecie się pomostem pomiędzy nami, pomostem ku porozumieniu i pokojowi. Później będziecie mogli założyć strój Synów światła. Królestwo Ducha Bożego nie sposób zaprowadzić przemocą. Nie udajemy się na Ziemię, aby niszczyć i zabijać. Zaprowadzimy rządy Mesjasza za pomocą dobrego przykładu, miłości oraz darów.

Oczywiście może dojść do walki, lecz to nie my zaatakujemy pierwsi. Widzicie - ci sięgnął, a na jego wargach igrał uśmiech - człowiek, którego nazywacie świętym Janem, autor Apokalipsy, był poetą. Opisał on nadejście Mesjasza w sposób pobudzający wyobraźnię, pełen przenośni i niejasnych, ale za to sugestywnych symboli. Oparł też swój wzrok na elementach nadprzyrodzonych. Jednakże nadejście Mesjasza, ustanowienie królestwa Ducha Bożego i położenie fundamentów pod Nowe Jeruzalem nie odbędzie się tak, jak ów poeta przepowiadał. Niebiosa mogą się rozstąpić, może nadejść czterech jeźdźców, a bestia o siedmiu głowach wyjdzie z morza, wszystko to jednak będzie miało miejsce jedynie w sensie metaforycznym.

Większa część podboju odbędzie się dzięki siłom naukowym i technicznym, które wywołają to, co nazywacie szokiem kulturowym. Na przykład obwieścimy, i będzie to prawda, że niedawno nasi uczniowie osiągnęli coś więcej niż zwykłe odwiekanie starożytności. Możemy powiedzieć mieszkańcom Ziemi, że jesteście zdolni dać im nieśmiertelność. Wykluczając, rzecz jasna, zabójstwa, nieszczęśliwe wypadki i samobójstwa.

Orme był zdumiony.

- Panie, czy to może być prawda? - zapytał. - Nie, wybac mi, nie wątpię w twoje słowa. To jednak zdumiewające.

- Jeśli jednak tylko nieliczni będą umierać, wkrótce zabraknie na Ziemi miejsca dla dzieci - powiedział Bronski. Stojący obok Hfathon odezwał się cicho: - Nie zwracajcie głowy Mesjaszowi tak oczywistymi sprawami. Jezus jednak podjął

temat:

- Nie powiedziałem, że tylko nieliczni umrą. Na początku będzie dużo wolnego miejsca. Później, gdy Ziemia zostanie powtórnie wypełniona, znajdzie się przestrzeń życiowa dla nowych dzieci.

Orme poczuł mdłości. Nadejdzie wojna, najstraszniejsza ze wszystkich, które znała ludzkość. A może słowa Jezusa miały inny sens, który dopiero przyszłość odsłoni?

- To nie ma znaczenia - powiedział Jezus. - Wobec wieczności pięćset lat czy milion nie ma specjalnej różnicy. Nasz plan wymaga czasu. Możemy okazać tyle cierpliwości, ile kochająca matka dzieciom. Prędzej czy później wszyscy, którzy zasługują na zmartwychwstanie,

zostanš wskrzeszeni. Nasi uczeni sš przekonani, że pewnego dnia będziemy zdolni to uczynić. Zapisy rzeczy minionych sš przechowywane w substracie wszech□wiata, czyli, mówiąc inaczej, w ciele Stwórcy.

Nasi uczeni okre□lają to mianem eteru. Jak wiem, wasza nauka odrzuciła tę koncepcję. Ignorancja ziemskich uczonych jest dzi□ nie mniejsza aniżeli w czasach starożytnych. Pewnego dnia zmarli zostanš wskrzeszeni. Pięćset lat czy tysiśc, jakież to może mieć znaczenie dla tych, którzy □piš?

- Panie - zapytał Orme - czy ludzie na Ziemi również usłyszš o tym?

- Przekonasz się. Rozważ to sam. Wszystko zostało stworzone przez Miłosiernego, lecz często używa on ludzi jako swoich narzędzi. Odnosi się to zarówno do zmartwychwstania, jak i do zaprowadzenia Królestwa Mesjasza.

Jezus odwrócił się od nich, aby przemówić do grupy oficerów. Orme odszedł na bok, z lekka oszołomiony. Bronski powiedział co□, nie mogło to jednak być nic pilnego, ponieważ wyrzekł to cicho i nie powtórzył po raz drugi. Choć Orme pożegnał się już z Gulthilo, wrócił przez rozległy plac do metalowego płotu, za którym stały rodziny odlatujących.

Tuż za bramš znajdowała się jego żona. Poprzedniego dnia oznajmiła mu, że jest w ciąży. Oboje przyjęli tę wiadomo□ć z rado□ciš, ale i z obawš. Już nazajutrz Orme musiał odlecieć na Ziemię i nie podobna było przewidzieć, kiedy wróci. Nawet gdyby Gulthilo nie spodziewała się dziecka, nie mogłaby polecieć z nim. Istniało niebezpieczeństwo wojny, toteż wszystkie kobiety pozostały na miejscu. Pó□niej, w przypadku pomy□lonego obrotu spraw, kobiety miały przybyć na Ziemię jako nauczycielki i administratorki. Jednak nawet wtedy Gulthilo nie mogłaby dołšczyć do męża ze względu na obowiązki macierzyńskie.

Ujrzawszy go, u□miechnęła się, choć już nie tak otwarcie jak przed godzinš.

- Co się stało, Richard?

- Nic takiego, poza tym, że jestem wstrzš□nięty. Przed chwilš dowiedziałem się, iż uczeni twierdž, że pewnego dnia będnš w stanie wskrzeszać zmarłych.

U□cisnęła mu dłoń poprzez metalowš siatkę.

- Nie ma w tym nic zaskakującego. Jezus zawsze powtarzał, że kiedy□ do tego dojdzie. Nie wiedziałam, że dokonano ostatnio jakiego□

przełomowego odkrycia. Naukowcy, którzy pracowali nad tym od tysišcleci muszš być pewni, że potrafiš tego dokonać. W przeciwnym razie Mesjasz nie powiedziałby ci, że tak jest. Z pewno□ciš niedługo poinformujš o tym w telewizji. Wszyscy się bardzo ucieszš. Być może zostanie ustanowione nowe □więto.

- Pocałuj mnie raz jeszcze - powiedział i dotknšł wargami jej ust Orme pozbył się wrażenia, że □wiat jest nieokre□lony, nierzeczywisty i odległy. Ponownie wydał mu się równie konkretny i pełen ciepła, jak żona i istota żyjšca w jej łonie.

- Niech Stwórca będzie z tobš - powiedziała cicho. - Ja również będę, nie miej co do tego wštpliw□ci. Wrócisz, zanim dziecko się urodzi. Je□li to tylko możliwe, będziesz wtedy ze mnš. Prawo tego wymaga, a Mesjasz jest miłosierny.

- Do zobaczenia, kochanie - odrzekł i oddalił się. Nie odczuwał takiej pewno□ci, jak ona. Tylko Jedyne wiedział, jakie powitanie zgotujš Synom □wiatła Synowie Ciemno□ci.

22.

Jednš z wielu rzeczy, których Orme nie rozumiał, było to, jak flota kosmiczna mogła podjšć wyprawę, nie przeprowadziwszy uprzednio szkolenia załóg.

Powiedziano mu, że od pięćdziesięciu lat, w prze□wiadczeniu, że ów dzień kiedy□

nadejście, prowadzono ćwiczenia na symulatorach.

Dzięki temu, gdy statki zostały ukończone, nie brakowało ludzi zdolnych nimi kierować.

Załogi odbyły posty i modlitwy. Ci, którzy z jakichś przyczyn stali się rytualnie nieczystymi, poddali się oczyszczeniu. Wszystko było gotowe.

Z sześciomu wyprowadzono wszystkich ludzi. Masywne metalowe drzwi zostały zamknięte. Na jednym z końców jaskini ze stropu zaczęła opuszczać się powoli gigantyczna bryła granitowego monolitu. Miała ona kształt walca o średnicy ośmiuset metrów. Opadał w dół tak lekko, jak dziecinny balonik, z którego uszło powietrze.

Statek flagowy Maranatha - co po armejsku znaczyło „Przyszłość, nasz Panie!” -

wzniósł się jako pierwszy i przeleciał przez powstałe przejście. Następne podszły jego śladem. Jako ostatni wystartował wielki statek w kształcie półkuli - Zara, czyli „Ziarno”. Gdy znalazł się na wysokości czterystu metrów nad powierzchnią, zatrzymał się. Po dziesięciu minutach otwór ponownie został

zatkany. Wtedy z jednej z kul wieńczących sześciomu wystrzelił pomarańczowy promień, zasklepiając z powrotem granitowy monolit. Żaden satelita zwiadowczy z Ziemi nie obserwował ani nie przekazywał tego wydarzenia. Dwa, które jeszcze działały, zostały wyłączone przez Marsjan.

Ponieważ po tej stronie Marsa panowała w tym czasie noc, miejsce startu zdąży ostygnąć, zanim znajdzie się w zasięgu czułych ziemskich instrumentów. Gdy Zara powróci, zdeintegruje cienką warstwę lawy i walec w stropie ponownie będzie można usunąć.

Statek flagowy, poruszający się z przyspieszeniem równym trzem piątym przyspieszenia ziemskiego, wbił się w atmosferę Czerwonej Planety.

Reszta podszła za nim kolejno. Zara na końcu. Hfathon, stojący obok trzech ludzi, którzy nie byli już Ziemianami, lecz naturalizowanymi Marsjanami, przemówił:

- Potoczna nazwa Żary brzmi Władca Pogody. Potrafi on czerpać energię słoneczną bezpośrednio z powierzchni gwiazdy i przekazywać ją w przekształconej formie na Ziemię. W ten sposób może wywołać suszę lub potop. Może rozgrzać region arktyczny lub ochłodzić tropikalny. Potrafi wpłynąć na temperaturę rozległych obszarów, podnosząc ją lub obniżając na jakiś czas o pięć do sześciu stopni. Gdy energia skupia się na małym obszarze, skutki dają się szybko zauważyć. Zara posiada też wiele innych zalet. Niech Król Niebios sprawi, żeby ziemianie nie musieli ich poznawać.

- Oby rzeczywiście tak się stało - rzekł Orme. Wyobraził sobie, co może się wydarzyć na Ziemi. Zrobiło mu się smutno. Czy jednak Mesjasz nie powiedział, że nie przynosi pokoju, ale miecz? Z drugiej strony jednak powiedział też, że przybył, aby ratować życie ludzkie, a nie szerzyć śmierć.

Będzie, co ma być, i bez względu na to, co stanie się po drodze, zamiary i cel były dobre. Była to wiarygodna wojna, nakazana przez Boga i rozpoczęta przez jego adoptowanego Syna. Zwycięstwo z pewnościami przyniesie dobre - najlepsze z możliwych - skutki dla całej ludzkości.

Dlaczego więc było mu tak ciężko na sercu i łzy nabiegły mu do oczu?

Bronski i Shirazi wyglądali na szczęśliwych. Nie mieli wstydliwoci. Podobnie jak pozostali członkowie załogi Maranathy chodzili ciśnie i śpiewali pieśni w języku krsz oraz hebrajskim. Były to zarówno wesołe piosenki ludowe, jak i modlitewne pieśni religijne.

Nie licząc chwil tuż po kolacji, Orme nie miał w zasadzie czasu na rozmyślanie o czymkolwiek. Uczestniczył w konferencjach z udziałem wysokich urzędników państwa oraz dowództwem floty. Niekiedy Jezus osobiście brał w nich udział. Orme miał

zostać głównym zarządcą obszaru północnoamerykańskiego na Ziemi, Shirazi naczelnym

konsultantem w sprawach stosunków z państwami muzułmańskimi, a Bronski szefem departamentu kierują-

cego sprawami Europy Zachodniej i Izraela, a również departamentu zajmującego się niemuzułmańskimi krajami komunistycznymi.

Ponadto Orme brał krótkie lekcje języka hebrajskiego, aby móc dokładnie zrozumieć liturgię. W chwili gdy układał się do snu, z reguły odczuwał wielkie zmęczenie. Jego wizje senne były jednak aż nazbyt pełne życia. Dręczyły go tak przerażające koszmary, iż często budził się zlany potem. Zazwyczaj niewyraźna postać skryta w ciemności wskazywała na niego oskarżycielsko palcem, po czym zbliżała się lewitując, tak że niemal mógł rozpoznać jej twarz. Wtedy właśnie się budził. Niekiedy Avram lub Nadir wołali do niego ze swych koi, pytając, co się stało.

Pewnego razu, na dziennej wachcie, opowiedział im o wszystkim.

- Myślę, że twoje nawrócenie nie jest jeszcze kompletne, Richard - stwierdził Bronski. - Wciąż nie zaakceptowałeś całym sercem tego, co wyraziłeś na głos.

- Nie mów tak - odrzekł Orme. - Oczywiście, że wierzę, iż on jest Mesjaszem, prawdziwym Jezusem Chrystusem. W jaki sposób człowiek, który widział to, co ja, mógłby sądzić inaczej.

- Pozwól, że przypomnę ci przypowieść o Łazarzu i bogaczu, którą pewnego razu opowiedział Jezus. Pamiętasz? Bogacz ucztował, podczas gdy żebrak imieniem Łazarz leżał u jego drzwi. Był cały pokryty wrzodami, które lizały psy. Bogacz nie zadał sobie trudu, aby opatrzyć mu rany i nakarmić go. Nie zwrócił na niego uwagi. Potem obaj umarli i żebrak poszedł do nieba, a bogacz w ogień piekielny.

Ten ostatni błagał Abrahama o wsparcie, lecz usłyszał, że jest niemożliwe wydostać go z piekła lub nawet przynieść mu wody, aby ochłodzić palący język. I wtedy bogacz poprosił, aby wysłano Łazarza, do jego pięciu braci, żeby ich ostrzegł, że mogą również trafić do piekła, jeżeli nie zmienią swego postępowania. Jednakże Abraham powiedział: "Jeżeli Mojżesza i Proroków nie słuchasz, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzysz". To odnosi się również do ciebie. Widziałeś znacznie więcej niż wskreszenie umarłego, a wciąż rzasz wstpliwoci.

- A ty nie?

- Nie. Może powinieneś udać się do Jezusa i powiedzieć mu o tym, co cię dręczy. Jestem pewien, że on potrafi rozwiązać twoje wstpliwoci.

Orme zastanowił się nad tym. Następnie, zebrawszy się na odwagę, przekazał za pośrednictwem Azzura ben Asa, głównego sekretarza Mesjasza, prośbę o audiencję.

Azzur odpowiedział jednak, że w tej chwili Jezus nie może spotkać się z nikim.

- Przez najbliższe trzy dni będzie przebywać ze swym Ojcem. Przez moment Orme nie rozumiał, o co chodzi. Po chwili powiedział: - Aha, masz na myśli, że przebywa we wnętrzu reaktora?

- Można to i tak określić - odparł ben Asa.

Orme podziękował mu i włączył interkom. Oto była przyczyna jego niepokoju. Jak to możliwe, żeby jakikolwiek człowiek, nawet Jezus Chrystus, wchodził do reaktora atomowego i wychodził stamtąd bez szkody? I, co ważniejsze, w jakim celu miałyby to robić?

Znów przypomniał sobie to, co Jezus opowiedział mu o energetycznej istocie.

Ta historia, wraz z innymi, musiała być jedynie hipotezą, wymyśloną na poczekaniu, aby pokazać Orme'owi, jak absurdalne wytłumaczenia mogą płodzić niedowiarki. Jezus sprawiał wrażenie, jakby dobrze się tym bawił. Nie był on też zawsze zachowujący powagę osobę, za którą mógł go wziąć czytelnik Ewangelii. Czy było jednak możliwe, że ta fantastyczna opowieść kryła w sobie prawdę? Czy bawił

się po prostu z Orme'em w kotka i myszkę? A może sprawdzał tylko głębokość wiary swego ucznia?

Richard wrócił myślami do sprawy reaktora. Jezus udawał się tam, podobnie jak do tajemniczej kuli, która pełniła w marsjańskiej jaskini rolę słońca. Jeżeli był rzeczywiście tylko człowiekiem, jak mógł przeżyć w jego wnętrzu dłużej niż ułamek sekundy? Nie, to niemożliwe. Chociaż Marsjanie uważali go równocześnie za człowieka i za kogoś więcej. Potrafił czynić cuda. Można to było zobaczyć na własne oczy. Jego zdolność do życia we wnętrzu reaktora napędzała ich podziwem, traktowali to jednak jako rzecz naturalną. Nic nie mogło być nienaturalne dla Syna Człowieczego, który był jednocześnie adoptowanym Synem Bożym. Cóż bardziej zgodnego z naturą niż to, że Jezus udawał się do miejsca, gdzie nie mógł

wejść żaden inny człowiek, aby tam rozmawiać z Bogiem? Czy Jezus kiedykolwiek widział Boga? Jeżeli wierzyć Marsjanom, to nie. Przytaczali oni cytaty ze Starego Testamentu: „Nikt nigdy nie widział Boga”, to znaczy - nikt z żyjących.

Jednakże (do diabła, dlaczego mu to powiedział!) istniała ta opowieść o istocie energetycznej. Czy Jezus rzeczywiście przebywał w atomowej jaskini w towarzystwie Ducha Bożego? Czy też może regenerował siły przy pomocy owego straszliwego promieniowania?

Tego dnia Orme trzykrotnie modlił się wraz z innymi. Potem wrócił do swej koi, ale gdy tylko miarowy oddech obu towarzyszy upewnił go, że już śpi, wygramolił

się z niej, padł na kolana i zaczął bardzo cichym głosem prosić o ukazanie mu światła.

- O Boże, pozwól mi poznać prawdę! Jestem w rozpacz, pogrążony w piekło niepewności. Oczyść mnie z tego. Niech moja dusza będzie mocna, niezachwiana, przepełniona prawdą. Błagam Cię, Ojcze. Amen.

Nie słyszał nic prócz oddechów Shiraziego i Bronskiego. Nie widział nic prócz ciemności. Wrócił do koi i leżał tam przez dłuższy czas, nim zapadł w sen.

Nagle, w północy, przypomniał sobie, że Jezus ostrzegł przed trzema rodzajami ludzi: tymi, którzy lubią popisywać się publicznie swoją pobożnością, stawiającymi złe zarzuty i fałszywymi prorokami.

- Którym z nich jest on? - zapytał niski głos.

- Jaki on?

- Wiesz, o kogo mi chodzi.

- Ale ja... nie wiem - odrzekł Orme. Jęknął. Po chwili, jako że głos się nie odzywał, spytał: - Fałszywym prorokiem?

- Ty powiedziałeś.

Orme wynurzył się z głębi snu i pływając tuż pod powierzchnią wody poczuł, że ktoś tkwi przy jego łóżku. Otworzył oczy. Obok stał mężczyzna, od którego było jasne światło. Miał na sobie czarną szatę. Jego włosy i broda były rudawe. Miał

bardzo pogodną twarz, choć jego oczy wskazywały, że wiele wycierpiał.

Orme nie próbował wstać. Leżał na plecach z głową zwróconą w stronę przybysza.

Serce biło mu mocno. Zaciśnął dłonie na prze-

cieradle. Ten człowiek wyglądał tak, jak Orme wyobrażał sobie Jezusa Chrystusa.

Nawet w tej chwili przestraszył się, że przypomina on konwencjonalne wizerunki Jezusa wiszącego na ścianach w domu jego rodziców.

Światlista postać podniosła rękę i uczyniła znak, jakby chciała go pobłogosławić.

Następnie zaczęła stopniowo przesuwać się do tyłu. Światło przygasło. Po chwili wszystko zniknęło, rozwiało się.

Całe wydarzenie trwało może dziesięć sekund.

Orme pomyślał, iż ta postać nie była Jezusem, którego ujrzał po raz pierwszy, gdy tamten schodził ze słońca w marsjańskiej jaskini. To był człowiek, który od czasu do czasu przychodził do jego łóżka, prawdziwy Jezus Chrystus. Czuwał nad nim zawsze, a teraz, w chwili, gdy jego uczeń pogrążony był w rozpaczy, ukazał

się mu. Orme ujrzał wreszcie światło. Światło bijące z ciemnej postaci. Słowa nie były potrzebne, wystarczyła sama obecność.

Przynajmniej powinna wystarczyć. W dawnych czasach ten, kto miał podobne widzenie, zaakceptowałby je bez zastrzeżeń. Postać byłaby tym, czym wydawała się być. Nie istniało inne wytłumaczenie. Orme jednak urodził się w innej epoce.

Czyż owa roztaczająca blask postać nie mogła być po prostu jednym z tych przywidzeń, które przytrafiają się niekiedy ludziom znajdującym się na granicy snu i jawy? Orme nigdy przedtem nie doświadczył czegoś podobnego, czytał jednak o takich rzeczach. Znał człowieka, który czasami miewał wizje. Ów jego przyjaciel bał się ich. Wydawało mu się, że to, co widział, istniało naprawdę, a mógłby przysiąc, że był w owych chwilach całkowicie przytomny.

Przyznawał

jednak, iż mogło to być tylko złudzenie i że zjawiska te stanowiły prawdopodobnie projekcje jego podświadomości.

Orme, zastanowiwszy się, musiał dopuścić możliwość, że postać, którą widział, była tym samym. Ostatecznie jako inżynier, człowiek posiadający wysokie naukowe wykształcenie, potrafił wskazać najbardziej racjonalne wyjaśnienie. Użył brzytwy Ockhama. Będzie ciś, nie zważając na ból.

Nie było jednak istotne, czy ukazał mu się prawdziwy Jezus. To, co się pojawiło, było tym, w co wierzył. „Ja jestem drogą”. Znalazł wreszcie drzwi, przez które mógł zajrzeć do najgłębszego zakamarka swojego umysłu. Albo, żeby być staromodnym - co wcale nie znaczy mniej ścisłym - do głębin swej duszy.

Spodziewał się, że to objawienie pozwoli mu wreszcie spokojnie zasnąć. Musiał jednak rozważyć jeszcze wiele kwestii. Gdy jego towarzysze spali, Orme zastanawiał się więc, co powinien i co może uczynić. Jak zwykle rozziw był wielki.

23.

W połowie drogi na Ziemię flota zaczęła zwalniać. Gdy jednak statki weszły na orbitę okołozemską, załogi nie znalazły się w stanie nieważkości. Generatory grawitonowe utrzymywały w każdym z nich pole równe marsjańskiemu.

Maranatha wszedł na orbitę stacjonarną tuż nad Jerozolimą. Dwa statki krążyły w przeciwnych kierunkach po orbicie prowadzącej nad biegunami, dwa nad równikami, szósty poruszał się po orbicie nachylonej pod kątem 45 stopni od równika, a siódmy, olbrzymi Zary, wędrował ponad planetą na wysokości dwustu tysięcy mil, zmieniając trasę co drugi dzień.

Nie zwracano żadnej uwagi na satelity łącznościowe i meteorologiczne ani na dwie kolonie kosmiczne. Jednakże „kosmiczne śmieci” - fragmenty satelitów oraz kompletne satelity, które zeszyły ze swych orbit - zostały przez „Zary”

zniszczone. Miało to dwa skutki. Dawało pewno, że żadne będące dziełem ręki ludzkich obiekty nie spadną na powierzchnię i nikogo przez przypadek nie zabiją, a ponadto wywierało na mieszkańców Ziemi olbrzymie wrażenie, ukazując im moc Żary.

Następnego dnia po tym wydarzeniu Jezus osobiście poprosił o pozwolenie na lądowanie Maranathy w pobliżu Jerozolimy. Odmówiono mu, choć bardzo uprzejmie i z wieloma

wyjawieniami. Izraelski parlament - Kneset - wciř debatował gorřco nad tym, czy Jezus powinien być przyjęty jako polityczna głowa państwa marsjariskiego, czy teř jako Mesjasz. Poniewař Jezus twierdził, że jest Mesjaszem, a politycznř głowř państwa jest główny sędzia, Krsz imieniem Eliakiem ben Joktan, problem wydawał się być nie do rozstrzygnięcia. W gruncie rzeczy Kneset starał się jak najdłużej odwlekać decyzję. Izrael uległ rozdarciu: brat przeciw bratu, ojciec przeciw synowi. Nieliczna superortodoksyjna grupka, tak reakcyjna, że wciř odmawiała uznania państwa Izrael ze względu na jego niedostatecznie religijny charakter, wprost odrzuciła Jezusa jako Mesjasza.

Wśród prawowiernych żydów następił podział. Jedni radowali się, poniewař Mesjasz nareszcie przyszedł, inni

twierdzili z furiř, że nie jest on prawdziwym żydem, a tym bardziej potomkiem Dawida, Pomazańcem. Sporř grupę tworzyli agnostycy, ateiřci oraz wyznawcy judaizmu reformowanego. Wielu nie-praktykujřcych, którzy nadal uważali się za Żydów, dało się porwać fali. Stali się równie pobořni, co najwięksi z ortodoksów i domagali się głořno, żeby rżsd pozwolił Jezusowi wylřdować i zainicjować na Ziemi czasy mesjańskie.

Całe państwo zostało sparaliżowane. Interesy oraz codzienne řwieckie obowiřki odłożono na bok, w takim stopniu jak tylko było to możliwe. Obywatele przyłgnęli do swych telewizorów lub spierali się z krewnymi, sřsiadami i nieznanymi na ulicach. Powietrze drżało i płońęło od cytatów z Proroków i z Talmudu, używanych jako argumenty przez obie strony.

We wszystkich innych państwach zapanowało zamieszanie nie niniejsze niř w Izraelu. Pomimo wielkich wysiłków krajów komunistycznych, aby zataić treřć wypowiedzi Jezusa, rzecz się nie powiodła. Za pořrednictwem nielegalnych kanałów oraz radia wieřci dotarły do mas, choć często w zniekształconej formie.

Demokracje socjalistyczne równie podjęły próbę ocenzurowania częřci wiadomořci, choć ze znacznie niniejszym zapalem. Istniały nawet grupy obywateli, które żřdały, aby poddać wszystkie przekazy řcisłej cenzurze, a zwłaszcza usunść z nich wszelkie treřci religijne.

W Rzymie papieř występił w telewizji ł potępił Mesjasza jako Antychrysta.

Patriarcha greckiego Kořcioła prawosławnego powtórzył to samo oskaręenie w godzinę póřniej. Arcybiskup Canterbury ořwiadczył, że Kořcioł anglikański nie wypowie się na razie w sprawie autentycznořci Mesjasza. Potrzebne sř dokładsze badania jego wypowiedzi i porównanie ich z obowiřzujřcř teologiiř.

Była to po prostu gra na zwłokę. Bo przecieř nawet laicy znajřcy Biblię bardzo powierzchownie (czyli większořć wiernych Kořcioła) mogli bez trudu stwierdzić, że nie sposób pogodzić większořci doktryn Kořcioła anglikańskiego z tym, co twierdził Marsjanin.

Kořcioły baptystów, zarówno południowy jak i pozostałe, odrzuciły oficjalnie swego Jezusa. Jednakże wśród ich członków następił podział i rychło pojawiło się wiele rozłamowych ruchów pod różnymi nazwami.

Oficjalni przywódcy hinduistów, muzułmanów i buddystów wyrazili publicznie swř pogardę dla Jezusa. Jednakże i wśród ich wiernych dochodziło do podziałów.

Wszędzie padały ostre słowa, a często towarzyszyła im przemoc. Doszło do masowych demonstracji, zamieszek oraz rewolucji w Ugandzie.

Podczas trzeciego dnia pobytu floty na orbicie przejęto panowanie nad radiem i telewizjř na całym řwiecie. Na wszystkich kanałach nadawana była transmisja z pokładu Maranathy. Nawet gdy niektóre rżsdy odcięły dopływ prřdu, aby ich obywatele nie odbierali programu, aparaty nie przestawały funkcjonować. To doprowadziło władze do paniki. W jaki sposób Marsjanie potrafili tego dokonać?

Jeřli umieli zrobić takř rzecz, co jeszcze leżało w zasięgu ich możliwořci?

Wszystkie państwa złożyły, rzecz jasna, protest, lecz Jezus odpowiedział, że to konieczne i że robi się to dla dobra ludzi. Przez dwadzieścia cztery godziny Maranattia emitował ciąg programów. Zawierały one prezentację historii Krszów przed ich przybyciem na Ziemię, filmy pokazujące Ziemian z roku 50., odlot pojmanych Ziemian wraz z Krszami, nauki Macieja i efekt, jaki wywarły na przedstawicielach obu ras nawrócenia, pierwsze pojawienie się Jezusa i wiele fragmentów dotyczących życia na Marsie, a także roli, jaką odgrywał tam Jezus.

Przekazano też, na wypadek, gdyby wcześniejszy uniemożliwiony był ich odbiór, programy, w których uczestniczyli marsonauci.

Liczne rządy wyraziły zdecydowany protest. Nie wysłano jednak w kierunku statków żadnych rakiet z głowicami atomowymi.

W ostatnim z programów, trwającym półtorej godziny, Jezus osobiście oznajmił, że Marsjanie potrafią wyleczyć każdą chorobę i nie dopuścić do jej nawrotu.

Wszystkie przypadłości zostaną zlikwidowane raz na zawsze, wliczając w to choroby umysłowe o podłożu genetycznym i metabolicznym oraz niedomagania wieku starczego. Ponadto, jeżeli tylko rządy na to pozwolą, w różnych miejscach wyłuskuje dwieście małych maszyn, z których popłynie „manna”. Będzie to miękka biała substancja i przy tym całkiem smaczna. Manna popłynie z każdej z maszyn z prędkością trzystu decymetrów sześciennych na godzinę. Będzie już można dostarczyć

głodującym Ziemianinem, których przecież było niemało. I to na razie za darmo.

Usłyszawszy to, Orme przeżył wstrząs. Nie miał dotąd pojęcia o istnieniu czegoś podobnego. Gdy odzyskał częściowo równowagę, implikacje tego faktu stały się dla niego jasne. Jeżeli rządy odmówią przekazywania żywności, będzie musiało dojść do poważnych zamieszek, których stłumienie będzie kosztowało życie wielu osób.

- Nie próbujcie tłumaczyć się brakiem środków transportu czy nadmiernymi kosztami! - oświadczył Jezus. - Ani też czerpać z manny zysków lub odmawiać jej tym, którzy są w niełasce u waszych rządów! Biada ludziom, którzy będą odpowiedzialni za podobny niegodziwość, i tym, którzy wykonują rozkazy swoich zwierzchników! Biada im wszystkim! Nie ujdą sprawiedliwości!

Posypały się dalsze protesty przeciwko ingerencji w wewnętrzne sprawy suwerennych państw. Pozostały bez odzewu.

Następnie Jezus wydał oświadczenie, które jego audytorium potraktowało jako zwieńczenie całej sprawy. Powiedział, że może zaoferować ludziom fizycznie nieśmiertelność i zrobi to. Będą musieli pełnić tylko jeden wymóg: uwierzyć w prawdziwą religię i w Jezusa jako Mesjasza.

- Biada jednak hipokrytom, którzy złożą wyznanie wiary jedynie po to, aby otrzymać ów dar życia! Zostaną wykryci i cięgnięci pomiędzy ciemności zewnętrzne!

Gdy groził, z jego twarzy zniknął wyraz łagodności. Gdy był w gniewie, z jego oczu bił blask zapowiadającego piekła.

- Powtarzam, biada wam, plemię zmiłowe! Nie uda się wam mnie oszukać. Dowiem się prawdy! Ojciec ofiarował wam wszystkie wspaniałe dary życia, a wy je splugawiliście! Ojciec daje, ale nie czyni tego za darmo! Nic nie jest za darmo!

Aby na to zasłużyć, musicie dać coś w zamian!

Orme, siedząc w swojej kabinie i oglądając telewizję, wyobraził sobie, jaki efekt wywrze obietnica fizycznej nieśmiertelności na mieszkańcach Ziemi. Rzecz jasna niektórzy słyszeli już o tym przedtem, ponieważ kilka rządów pozwoliło na przekazanie tej informacji w poprzednich programach. Większość ludzi żyła jednak w państwach, które ocenzurowały tę wiadomość.

Teraz widząc na Ziemi mógł się spodziewać, że to już koniec programu. Co jeszcze można

było zaoferować? I wtedy Jezus powiedział im o nadziejach na wskrzeszenie wszystkich zmarłych. Nie obiecał, że uda się to osiągnąć za sto czy dwieście lat, ale jego zapowiedź* trzeba było potraktować jako pewnik.

□ To przeszedł sprawę - pomyślał Orme. - Wszyscy zaczęli się zapisywać. Przystanę na każde warunki w zamian za nieśmiertelność. Przynajmniej większość z nich.

Nowa Era nadeszła - Królestwo Niebieskie, panowanie Mesjasza. Może upłynąć trochę czasu, zanim zostanie ustanowione, ale pierwsze kroki już poczyniono i nic tego procesu nie powstrzyma.

Czy nie rozumiesz, że diabeł uczyniłby takie same obietnice? Tylko że... ten człowiek potrafił ich dotrzymać. Szatan jednak zapewne również by potrafił.

Ponadto uważałby sam siebie za dobrego człowieka. Kto ze złych uważa się za złego?

Wszyscy sądzisz, że są dobrzy. Niewstydliwie Hitler, Stalin, Mao, Napoleon, Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Attyla i Nabuchodonozor też uważali, że są po stronie dobra.

Jedyna różnica pomiędzy nimi a Jezusem polega na tym, że Jezus potrafił czynić dobro. Jest to jednak zdradliwe dobro, które doprowadzi powoli i niezauważalnie ku złu.

Nic nie mogło go powstrzymać. Chyba że... Jak jednak on-sam jeden - mógł cokolwiek poradzić?

Następnego dnia Zara dokonał czynu, który w oczach większości mógł uchodzić jedynie za dobry. Na całej Ziemi rakiety i działa z głowicami atomowymi oraz wszystkie wyrzutnie wyposażone w pociski nuklearne zostały unieszkodliwione.

Przybysze ponownie przejęli panowanie nad radiem i telewizją. Z Maranathy popłynęły wiadomości.

- Z pewnościsz - oznajmił Jezus - wywoła to wielką radość u wszystkich z wyjątkiem tych, którzy nienawidzą ludzi i kochają wojnę. Dokonałbym złego czynu, gdybym zniszczył rakiety tylko niektórych państw, a innym je pozostawił. Zajmuję jednak neutralne stanowisko. Nie opowiadam się po żadnej ze stron, twierdząc, że jedna jest dobra, a druga zła. Plemię żmijowe! Pomocie niegodziwy! Wszyscy jesteście winni! Żałujcie za grzechy i dziękujcie Panu z całego serca, ponieważ uznał za stosowne uchronić was przed wami samymi!

Znowu, rzecz jasna, rozległy się protesty, lecz pozostały one bez odpowiedzi.

Jezus ponownie zwrócił się o zezwolenie na lądowanie w pobliżu Jerozolimy i ponownie mu odmówiono. Kneset nie umiał podjąć decyzji. W całym państwie Izrael ogłoszono godzinę policyjną. Policjanci i żołnierze patrolowali ulice, aby dopilnować wykonania tego zarządzenia. Nie było to jedyne państwo, w którym wprowadzono środki nadzwyczajne.

Czwartego dnia niebo nad całym Bliskim Wschodem stało się czerwone jak krew.

Następnie słońce przygasło i na kilka godzin zapanowała niemal całkowita ciemność. Również Księżyc przybrał kolor krwawoczerwony.

Bronski, który obserwował to na ekranie telewizora, oświadczył: - To oczywiście Zara. Czy wyobrażasz sobie, jakiej to wymaga mocy? Z pewnością jesteś z nami Pan naszych ojców!

Orme nie odpowiedział. Zaczął zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem się nie myli. Pomyślał jednak o ciemniejszej postaci pojawiającej się przy jego łóżku. To go umocniło.

Piątego dnia Jezus znowu poprosił o pozwolenie na lądowanie.

- O, wy ludzie małego rozumu i jeszcze mniejszej wiary! Dlaczego wasze serca są zatwardziałe? Cóż mogę uczynić, aby przekonać was, że naprawdę jestem Pomazańcem Niebios? Ten, kto wierzy we mnie, nie we mnie wierzy, lecz w Tego, który mnie posłał. Ten, kto widzi mnie, nie mnie widzi, lecz Jego. Przyniosłem światło, aby ci, co we mnie wierzysz, nie musieli pozostawać w ciemności. Wy, Dzieci Ciemności, możecie się stać Synami i Córkami światła. Musicie jednak ugiąć swe sztywne karki i zmiękczyć zatwardziałe serca!

Wszystkie przemowy wygłaszane były w języku angielskim, bez akcentu hebrajskiego czy krsz, lecz z charakterystycznym dla Orme'a akcentem z Toronto, niewstpliwie przejętym z jego wypowiedzi nagranych podczas pobytu Ziemi na Marsie. Nawet ci, którzy nie mówili po angielsku na co dzień, mogli bez trudu zrozumieć Jezusa, a takich były miliony. Dla pozostałych zastosowano napisy lub ustne tłumaczenia w językach, które znali Bronski i Shirazi: hebrajskim, arabskim, hindustani, dialekcie mandaryńskim chińskiego, suahili, hiszpańskim, francuskim, niemieckim, włoskim, perskim, rosyjskim, polskim, greckim i portugalskim. Przyjęto wszakże założenia, że nawet w najbardziej odległych wioskach znajduje się przynajmniej jedna osoba zdolna przetłumaczyć swoim ziomkom angielski tekst.

Angielski wciąż funkcjonował jako język międzynarodowy, lecz Orme wiedział, że była to sytuacja przejściowa i że w przyszłości stanie się nim język krsz.

Następnie, po nieuniknionym okresie krwawych zamieszek pod przewodnictwem Krszów oraz marsjańskich ludzi jako starszych braci, Izrael - starszy brat narodów Ziemi - zacznie je instruować, zmieniać i kształtować na nowo. Prędzej czy później cała planeta stanie się podobna do Marsa, z tym, że nadal będą istniały różnice etniczne i rasowe. Choć Rosja nadal będzie Rosją, Ameryka Północna Ameryką Północną, a Chiny Chinami, zniesione zostaną granice państwowe z ich urzędami i opłatami celnymi oraz zbrojnymi strażami. Kobieta będzie mogła chodzić ciemnymi ulicami bez obawy, że ją obrabują, pobiją lub zgwałcą.

Dzieci nie będą się bały rozmawiać z nieznanymi. Działa i karabiny maszynowe zostaną przekute na lemiesz. Oceany, rzeki i strumienie ponownie staną się czyste. Po pewnym czasie zostanie ustanowione Królestwo Niebieskie, choć niektórzy osobnicy nadal zachowają przewrotność i złośliwą naturę ludzką. Choć system ten nie będzie utopią, to jednak zbliży się do niej na tyle, na ile natura ludzka na to pozwoli.

Ta wizja przyszłości była bardzo atrakcyjna. Dlaczego więc On-me czuł taki ciężar na sercu? Czy dlatego, że Królestwo miało być ustanowione na Ziemi siłą i choć cel był szczytny, zastosowane środki oznaczały krwawe walki oraz cierpienie wielu ludzi?

Mieszkańcy Ziemi znali walkę, udrękę i gwałtowność śmierci od czasów, gdy pierwszy człowiek spacerował po sawannie czy buszował po dżungli. Aż do tej chwili wydawało się, że nie ma sposobu, by z tym skończyć i gdyby nie Jezus i jego naród, kres tego wszystkiego byłby jeszcze daleki. Z pewnością w tym wypadku cel uświęca środki.

Jeśli jednak ten Jezus był Antychrystem, celem nie było to, co zań uchodziło.

Orme pomodlił się w milczeniu do prawdziwego Jezusa.

- Wspomóż mnie, Panie. Uwolnij mnie od słabości. Uczyń mnie silnym.

Po dwóch godzinach nadeszła wiadomość z Jerozolimy. Tłum wdarł się do Knesetu i zażądał, aby pozwolono Mesjaszowi na lądowanie. Pośród tłumu znajdowało się wielu policjantów i żołnierzy, którzy odrzucili broń i przyłączyli się do swych rodaków. Premier, połowa rządu oraz trzecia część parlamentu podały się do dymisji. Pomimo że taka procedura nie była legalna, pozostała część Knesetu wystosowała zaproszenie, zwracając się jednak równocześnie o prośbę o zwłokę.

Wielu przywódców państw pragnęło wziąć udział w powitaniu, a podróż do Jerozolimy wymagała czasu. Ponadto nie było można zapewnić niezbędnych środków bezpieczeństwa wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny. Czy Mesjasz zechce się na to zgodzić?

Jezus odpowiedział łaskawie, że może poczekać jeszcze jeden dzień.

- Nie zapomnę jednak, że jest wśród was wielu takich, którzy zamknęli przede mną swe serca, jak również takich, którzy nie opowiedzieli się ani za mną, ani przeciwko mnie. Ktokolwiek nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Biada ludziom o zatwardziałym sercu oraz tym, którzy wahają się.

Tej nocy Orme znów szeptał modlitwy w nadziei, że Pan ukaże mu się raz jeszcze. On jednak nie uczynił tego.

24.

Maranatha miał wylądować w południe. Jednakże wczesnym rano rabin Ram Weisinger, tymczasowy premier, połączył się ze statkiem. Pod czarnym kapeluszem jego twarz ociekała potem.

- Panie, błagam cię, abyś zaczekał jeszcze dzień. Tłumy są tak potężne, że musimy sprowadzić więcej żołnierzy. Nie możemy zapewnić ci bezpieczeństwa. Wielu złych ludzi, muzułmanów, chrześcijan i żydów, poprzysięgło, że cię zabije. W

żaden sposób nie zdołamy wyłowić ich wszystkich, choć zaarrestowaliemy wielu.

- Nie przejmujcie się nimi - odparł Jezus. - Mnie nie można zabić.

Weisinger otworzył szeroko oczy. Jego twarz przybrała niezwykle wyraz. Nie sprzeciwiał się jednak ani słowem.

O 10.00 trzech marsonautów odebrało od Hfathona instrukcje co do ich obowiązków po wylądowaniu. Orme nie zadawał żadnych pytań, a gdy pozwolono mu odejść, udał się natychmiast do swej kabiny. Shirazi i Bronski nie poszli za nim.

O 11.30. miał się stawić w wielkiej sali na prawej burcie statku. Do 10.30 był zajęty. Dawało mu to mniej niż godzinę, aby mógł uczynić to, na co miał nadzieję się odważyć. Uklęknął i zaczął się modlić o przewodnictwo. Gdy wstał, serce nadal waliło mu jak młot i odczuwał skurcz żołądka.

Usiadł na krawędzi swej koi i położył na kolanach wielki egzemplarz Pisma Świętego w języku krsz. Używając go jako pulpitu, napisał szybko trzystronicowy list, nie robiąc żadnych poprawek. Podpisał wszystkie trzy strony, umieszczając na nich datę i odciski palców prawej dłoni. Gdy atrament wysechł, złożył list i schował do wewnętrznej kieszeni munduru.

O 10.45 wyszedł z kabiny. Zamiast skierować się w stronę głównej korytarzyki poziomej korytarzyki, gdzie znaleźli się jego dwaj towarzysze oraz wielu mających wolny czas oficerów, udał się w stronę rufy. O godzinie 10.55 odnalazł swą ofiarę - szeregowca wychodzącego właśnie z pokoju, który dzielił z dziewięcioma innymi kompanami. Żołnierz siedział sam. W pokoju ani nigdzie w pobliżu nie było żywego ducha. Orme, choć przemoc, której użył w stosunku do tego człowieka, napędzała go niechęć, uderzył go pięścią w skroń, a gdy tamten się cofnął, walnął go w brzuch i założył mu podwójnego nelsona.

Wcisnąwszy nieprzytomnego do pokoju, zabrał mu jego pistolet laserowy.

Wyszedł z pokoju o 11.05. Żołnierz wciąż nie odzyskiwał przytomności. Leżał na podłodze pod swoją koją ze zwiżanymi rękoma i nogami, z zakneblowanymi ustami.

Sierżant zauważył jego nieobecność, ale wstąpił, żeby kogoś po niego posłać.

Zapisał sobie tylko nazwisko, aby go później ukarać. Lepiej jednak się upewnić, że nikt go nie będzie szukał. Odczytawszy z insygnii żołnierza nazwisko, stopień i jednostkę, w której służył, Orme porozumiał się przez interkom z jego sierżantem.

- Szeregowy Jochanan ben Obed został przydzielony do mnie - powiedział Orme. -

Zdecydowano, że powinienem mieć ze sobą tłumacza języka hebrajskiego, wybrałem więc jego.

- Tak jest, przyjsłem - odrzekł sierżant.

Marsjańska armia nie różniła się od innych. I tu nie kwestionowano rozkazów przełożonych.

O 11.15 Orme wszedł do wyznaczonej sali. Jezus zamienił swoją błękitną szatę na

szkarłatną. Orme pierwszy raz widział Mesjasza w tym kolorze, zastanowiło go więc, dlaczego się przebrał. Po chwili przypomniał sobie, że na krótko przed Ukrzyżowaniem ubrano Jezusa w szkarłatny płaszcz. Z pewnościami wybrał ten kolor po to, aby przypomnieć Ziemianom o tamtym zdarzeniu. Mógł również założyć koronę cierniową oraz wziąć w rękę trzcinę, którą rzymscy żołnierze najpierw mu dali, a potem zabrali, aby bić go nią po głowie. Byłoby to jednak nazbyt teatralne, nawet dla tego kochającego dramatyczne efekty człowieka.

Jezus, który rozmawiał właśnie z kilkoma oficerami, popatrzył dziwnie na Orme'a, gdy tamten wszedł. Murzyn zaczął się pocić jeszcze mocniej. Czy Jezus mógł wykrzyknąć nerwowo imię swego ucznia? Może potrafił odgadnąć wszystko? Powiedział kiedyś, że mógłby odczytywać myśli, lecz nigdy sobie na to nie pozwalał. Czy w tej chwili Jezus złamał tę zasadę, czytając z wyrazu twarzy Orme'a, mimo że ten starał się wyglądać naturalnie?

Jeśli tak, to wszystko było stracone. Ponieważ jednak Jezus nie powiedział nic ani jemu, ani oficerom, najwyraźniej niczego nie podejrzewał.

Ostatecznie każdy tutaj - poza samym Mesjaszem - odczuwał nerwowość i zmęczenie ze względu na to, że wyłączono pole grawitacyjne odpowiadające marsjańskiemu i wszyscy teraz podlegali przyciąganiu ziemskiemu. Minie wiele czasu, zanim przyzwyczają się do swej nowej wagi, o trzy piąte większej niż na rodzimej planecie. Wkrótce zresztą znajdą się na pojazdach otoczonych polem równym sił marsjańskiemu, a poza tym wszyscy, oprócz Pana, będą mieli na sobie pas podłączony do dającego się dowolnie nastawić generatora grawitacji. Gdy zmęczenie stanie się zbyt wielkie, będą mogli posłużyć się nim.

"Tylko to jedno urządzenie było warte majątek" - pomyślał Orme, uśmiechając się chytrze. Nawet w takiej chwili myślał, jak fortunę mógłby zbić na sprzedaży marsjańskich wyrobów.

O, Panie, wybacz mi.

Właz otworzył się szeroko. Jasne, ostre światło słońca, gorące powietrze i ryk tłumu wtargnęły do środka. Jezus wyszedł jako pierwszy i zatrzymał się na chwilę. Podszajscy za nim również przystanęli. Jezus uniosł w górę rękę i powiedział głośno:

- Niech Stwórca, nasz Ojciec, błogosławi was wszystkich, dzieci Ziemi i Marsa!

Oczekiwał go pułk żołnierzy, kilka oddziałów policji, warta honorowa, wiele ekip telewizyjnych i około pięciuset dygnitarzy. Wokół lotniska i wzdłuż prowadzącej do niego drogi tłumy pokrywały niskie wzgórza oraz dachy domów. Gdy wyszedł ze statku, przywitał go ryk tak głośny, że zebrani nie byli w stanie usłyszeć jego słów. Z pewnościami jednak zarejestrowały je mikrofony ekip telewizyjnych.

Orme wyszedł na zewnątrz wraz z innymi. Przez chwilę panowało spore zamieszanie.

Jezus musiał spotkać się z przybyłymi głowami państw i wymienić z nimi kilka słów. Wyciągnął do nich rękę, nie żeby ją ucałowały, lecz ucałowali. Sheila Pal, prezydent Konfederacji Północnoamerykańskiej, nie zawahała się ani przez chwilę, choć musiała zdawać sobie sprawę, że rozwścieczy to miliony jej wyborców.

Podobnie postąpił włoski ambasador, choć papież potępił Mesjasza, a rząd Italii był oficjalnie komunistyczny. Hołd złożony Jezusowi teoretycznie powinien obrazić większość obywateli tego kraju, która nadal była katolicka, jak i oficjalnie ateistycznych przedstawicieli władz. Jednak rząd oznajmił, że ambasador przybył tu jedynie przywitać głowę obcego państwa - to znaczy Marsa. Religia wyznawana przez Mesjasza nie miała nic wspólnego z protokołem dyplomatycznym.

Większość pozostałych państw komunistycznych, jak również wiele krajów demokracji socjalistycznych, przyjęła tę samą linię. Chiny oraz kraje Azji Południowo-Wschodniej nie

przysłały swych przedstawicieli, lecz Indie, choć komunistyczne, były reprezentowane przez prezydenta i premiera. Ambasadorowi ZSRR w Izraelu dano najwyraźniej instrukcje, aby podszły za przykładem Włoch.

Całowanie dłoni rzecz jasna nie wchodziło w rachubę, ponieważ żaden szanujący się marksista nie naśladowałby zwyczaju, który wiślał się z tym, co uważali za opium dla mas. Gdy jednak Anatolij Szewczenko wyciągnął rękę do Jezusa, nagle nie tylko ucałował jego dłoń, lecz również padł na kolana.

- Wybacz mi, Panie! - powiedział po angielsku. - Wstąpiłem, ale teraz pojąłem, że naprawdę jesteście Mesjaszem i że Bóg istnieje! Wybacz mi moje grzechy, których jest wiele, i udziel mi azylu u swego boku!

- Zostało ci wybaczone - odrzekł Jezus. - Od tej chwili zawsze będziesz stał po mojej prawicy. Choć nie pochodzisz z rodu Abrahama, jesteście synem tych, z którymi Stwórca zawarł Przymierze w czasach Noego. Wstań. Odtąd padaj na kolana tylko wtedy, gdy będziesz się modlił do Ducha Bożego.

Orme był równie wstrząśnięty, jak inni, choć nie na tyle, aby nie mógł sobie wyobrazić skutków tego nieoczekiwanego nawrócenia po tamtej stronie Żelaznej Kurtyny. Zresztą i po tej stronie równie*ż. Tę scenę widział cały świat. Cóż to musiała być za sensacja!

Z pewnościciś ambasador, choć zapewne ateista i marksista od trzech pokoleń, miał niekiedy wstąpiwościci. Mógł nie uwiadamiać ich sobie, podobnie jak święty Paweł w okresie, gdy prześladował chrześcijan. I tak samo jak Paweł został powalony bez ostrzeżenia. Paweł miał swą drogę do Damaszku, ambasador dogę do Jerozolimy.

Albo - i tu Orme przeklął siebie samego za nieustajęc podejrzliwośc - rzędk rozkazał ambasadorowi, aby udawał, że się nawró-

cił. W ten sposób mógłby szpiegować Jezusa. Jednakże Sowietci musieli zdawać sobie sprawę z olbrzymiego wrażenia, jakie to publiczne odstępstwo wywrze na całym świecie. Czy zdecydowaliby się na to wyłącznie w tym celu, aby umieścic przy Jezusie swojego agenta? To nie wydawało się prawdopodobne.

Orme był coraz bardziej rozdarty wewnątrz. Czuł się osłabiony fizycznie. Ten człowiek (czy istota?) przemawiał i zachowywał się, jakby jego autorytet pochodził od samego Boga. Jednakże Antychryst również pozornie byłby dobry, a nawet wydawałby się być samym Chrystusem. Tylko po owocach można poznać drzewo.

Antychrysta należy sędzić po dalekosiężnych skutkach jego działań. Jak dotąd marsjański Jezus nie uczynił nic, czego nie mógłby zrobić Jezus prawdziwy.

We właściwym czasie owoc będzie gotowy do zerwania. Wtedy każdy człowiek o dobrym sercu będzie mógł dostrzec, kto jest kim i co jest czym.

Orme zastanawiał się, czy nie powinien poczekać, odłożyć swoich planów aż do tego dnia. Nie dał temu tak zwanemu Mesjaszowi wystarczajęc dużo czasu na ujawnienie zła ukrytego pod pozorem dobra. Powinno się pozwolić ziarnu wzrastać tak długo, aż chwasty można będzie odróżnić od zboża.

- O, Boże - pomyślał Orme. - Nie pozwól mi zboczyć w prawo ani w lewo. Spraw, abym kroczył prosto, drogę prowadząc do Twego miłowanego miasta”.

Błądził chwilę wzrokiem dookoła i ujrawszy znajomą twarz, poczuł radośc. Czy obecnośc tego człowieka może potraktować jako znak od Boga? To był Jack Tarlatti, popularny dziennikarz i telewizyjny producent filmów dokumentalnych.

Orme podszedł do niego wiadom, że obserwuje go dwóch marsjańskich żołnierzy.

Robili to jednak wyłącznie po to, aby zapewnić mu bezpieczeństwo. Złapał

Tarlattiego za rękę, wołając:

- Jack, mój stary kumpel od kieliszka, moje błogosławieństwo i mój krzyż! Były chwile, że myślałem, iż nigdy cię już nie zobaczę! Jak się masz?

Tarlatti, wyczuwajśc ciasno złożony list w ręku Orme'a, przestał się uśmiechać.

- Weź go - powiedział Orme. - Schowaj do kieszeni, tak żeby nikt nie zobaczył.

Przeczytaj, gdy wrócisz do hotelu. On wszystko tłumaczy.

Zrób, o co cię proszę, Jack. To będzie największa sensacja w twoim życiu.

Tarlatti, próbujśc uśmiechnść się równie szeroko jak przedtem, odpowiedział: - Jasne. Jak sobie życzysz, Dick. Czy mógłbyś udzielić wywiadu już teraz?

Orme rozejrzał się wokół. Azzur, sekretarz Jezusa, nakazywał mu gestem, aby natychmiast podszedł. Najwyraźniej potrzebowano go przy spotkaniu z dygnitarzami.

Klepnął Tarlattiego w ramię.

- Niestety, jestem teraz zbyt zajęty. Fajnie, że cię spotkałem, Jack. Muszę już lecieć.

Oddalił się w nadziei, że ciekawość nie weźmie górę w Tarlat-tim. Oby tylko nie przeczytał listu, zanim nie stanie się to, co musi się stać.

Po upływie czasu, którego Orme nie potrafił określić, dyplomatyczne ceremonie dobiegły końca. Z Maranathy wyłoniło się trzydzieści wielkich pojazdów w kształcie czółna. Wsiedli do nich Marsjanie oraz czterech najwyższych rangsów spośród Ziemian. W pierwszym z pojazdów znajdowali się: pilot, Jezus, sowiecki ambasador, premier Izraela, trzech marsonautów, admirał floty, sekretarz Ugandy oraz Niemiec Zachodnich. Orme pomyślał, że trzech ostatnich dobrano w dziwny sposób, nie wstąpił jednak, iż Jezus dobrze wie, co robi.

Procesję prowadzili policjanci na motocyklach oraz samochód pancerny. Za nimi jechał samochód z ekipami telewizyjnymi oraz trzy dalsze pełne agentów izraelskiej służby bezpieczeństwa.

Za nimi pojazd Jezusa, dwa następne samochody z tajnymi agentami, pojazdy Marsjan, samochody wiozące dostojników izraelskich oraz zagranicznych, a dalej kolejne grupy agentów, policjantów w mundurach oraz żołnierzy. Po obu stronach trasy stali żołnierze powstrzymujący tłum. Tumult i podniecenie zebranych sięgnęły zenitu. Było tak głośno, że Orme nie słyszał Bronskiego, gdy ten coś do niego krzyknął.

Plan przewidywał, że procesja najpierw skieruje się pod ścianę Płaczu. Tam Jezus zamierzał pomodlić się przez kilka minut. Następnie miał udać się do Knesetu, wygłosić krótkie przemówienie przed kamerami telewizyjnymi, po czym pojechać do nowego hotelu "Króla Dawida", który zarezerwowano wyłącznie dla Marsjan oraz kilkuset członków ochrony.

Orme pod wypchanym mundurem ciskał kolbę lasera.

Gdy tylko znalazł się przy ścianie Płaczu i Jezus wysiędzie, zrobi użytek z broni. Cały świat ujrzy, jak Richard Orme, dowódca marsonautów, wieżo nawrócony na wiarę Jezusa z Marsa, wyciśga laser i strzela do niego. Orme nie oczekiwał, że uda mu się przeżyć. Nie był także pewien, czy Jezusowi stanie się krzywda.

Jeżeli rzeczywiście był istotą energetyczną, zdoła pochłonąć wiśzkę lasera.

Jeżeli nie jest istotą, lecz Antychrystem - choć jedno drugiego nie wyklucza - też zapewne okaże się odporny. Człowieka, który mógł przebywać w reaktorze atomowym jak Szadrak, Mészak i Abed-Nego w piecu, nie tknie wtedy palący płomień lasera. Z drugiej strony, jeżeli to tylko człowiek, możliwe, że wcale nie wchodził do wnętrza reaktora, lecz jedynie udawał, że to czyni.

W każdym razie cały świat, Ziemia i Mars, ujrzą jak Richard Orme próbuje zabić Mesjasza. Możliwe nawet, że usłyszy słowa potępienia, jakie skieruje do przybysza. Choć nie było to zbyt prawdopodobne. Niemniej, Jack Tarlatti ogłosi jego list i wtedy wszyscy poznają prawdę. Czy zechce w nią uwierzyć, Bóg jeden wie.

W każdym razie jednak on, Richard Orme, uczyni to, czego oczekiwał od niego Bóg. Zginie jako męczennik prawdziwej wiary. Wiat ujrzy - choć może zrozumie dopiero później - że człowiek, który znał marsjańskiego Jezusa i rozmawiał z nim, nie wierzył, że był on prawdziwym Mesjaszem. Ponadto człowiek ów był Ziemianinem, a więc mieszkańcy Ziemi będą mogli uznać, że jeden z nich odkrył prawdę i postąpił tak, jak nakazywało mu sumienie.

A może jego czyn zostanie źle zrozumiany? Może nazwiesz go Judaszem Iskariotem?

To nie miało znaczenia. Musiał zrobić to, co było słuszne. Gulthilo będzie głęboko zraniona i zawstydzona, gdy to ujrzy. Być może ona i ich dziecko zostaną okryte hańbą, choć nie byli niczemu winni. Napełniało go to smutkiem, lecz nie mogło wpłynąć na jego decyzję.

Wciąż pogrążony był w rozmyśleniach, gdy pojazd wjechał na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na Jerozolimę.

Oto ona - pomyślał. - Jakże zmieniły się moje uczucia. Na Marsi z uniesieniem wyobrażałem sobie powrót Jezusa do miasta, które go ukrzyżowało. Wtedy jednak nie wiedziałem, że Jezus, którego przybito do krzyża, nie był tym samym, który po dwóch tysiącach lat dokona triumfalnego powrotu”.

Naraz, po jego prawej stronie powstało zamieszanie. Potężny ludzki wir wciśniętych mężczyzn, kobiety i dzieci.

Żołnierze zatrzymali się, a procesja razem z nimi.

- Co się dzieje?! - zawołał Orme, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Nagle rozległy się strzały z pistoletu. Jeden z żołnierzy zachwiał się i upadł.

Z tłumu wybiegł wysoki, chudy, brodaty mężczyzna o dzikim spojrzeniu. Uniósł trzymanym w lewej ręce pistolet, kierując lufę w stronę Jezusa. Napastnika trafiły pociski wystrzelone przez co najmniej dwunastu żołnierzy. Inni musieli chybić, ponieważ czworo widzów padło na ziemię.

Ale ów człowiek miał jedynie za zadanie odwrócić uwagę. Po drugiej stronie ulicy z tłumu wystąpiła kobieta, która rzuciła w stronę kolumny pojazdów mały okrągły przedmiot. Granat!

Pocisk zatoczył łuk. Na końcu jego trajektorii znajdował się - stojący na przedzie pojazdu, spowity w szkarłatny płaszcz - Jezus, najwyraźniej nieświadom obecności drugiego zamachowca.

Orme krzyknął, aby go ostrzec.

Nie miał czasu zastanawiać się nad ironią całej sytuacji. Próbował ostrzec człowieka, którego zamierzał zabić. Nie miał też czasu pomyśleć o tym, że gdy granat wybuchnie, on również zginie.

Zerwał się z siedzenia i skoczył do przodu, przechodząc z wyspy grawitacji marsjańskiej pod wpływ przyciągania ziemskiego.

W rezultacie odbił się tak gwałtownie, jakby miał skoczyć z miejsca na odległość kilku metrów, lecz łuk, który zamierzył zatoczyć w powietrzu, załamał się gwałtownie, niemal pod kątem prostym. Mimo to Orme, wyciągając lewą rękę, zdołał

nie dosięgnąć twardego metalowego przedmiotu. Upadł na ziemię, nakrywając granat własnym ciałem. Siłą napędu przesunął się jeszcze kawałek, szorując po jezdni twarzą i kolanami.

Nie było już czasu rozmyślać nad przewrotnością losu. Miał ponieść męczeńską śmierć nie za prawdziwego Jezusa, lecz za fałszywego.

A jednak jego czas jeszcze się nie wypełnił.

- Dlaczego to zrobiłem? - mruknął.

Wokół panował hałas. Słońce □wieciło mu prosto w oczy. Nagle pomiędzy nim a o□lepiającym blaskiem pojawiła się czyja□ głowa. Ujrzał u□miechniętą twarz Jezusa.

- Nie wybuchł? - zapytał Orme.

- Wybuchł - odpowiedział Jezus. - Został□ zabity. Rozerwało ci cały brzuch, urwało genitalia i nogi. Z ręk aż po łokcie pozostała krwawa miazga.

Nachylił się nad Orme'em i dotknął jego czoła. Otępienie, poczucie nierzeczywisto□ci oraz osłabienie zniknęły prawie zupełnie.

- Dobrze. To powinno załatwić sprawę.

Orme usiadł. Jego ciało było nietknięte. Było również nagie.

W pobliżu leżały strzępy munduru. Obok pojazdu, z którego wyskoczył, zauważył swój laser. Gdzie się podziała krew? Czy Jezus sprawił, że wyparowała, podobnie jak krew barana zabitego na Marsie? No jasne!

Jednakże w odległ□ci kilku metrów żołnierze chowali do plastikowych worków resztki ciała i ko□ci. Pomy□łał, że zaraz zwymiotuje, lecz Jezus dotknął go ponownie i nudno□ci ustąpiły.

Bronski, Shirazi oraz rosyjski ambasador stali razem □miertelnie bladzi, jakby to oni, a nie on, byli przed chwilą trupami.

Ekipy telewizyjne nie przerywały pracy. Niektóre kamery były skierowane na niego, inne na Jezusa lub na tłum.

□Wybuch granatu musiał mnie też ogłuszyć - pomy□łał. - Jezus przywrócił mi zmysł słuchu”.

Nadszedł żołnierz, Krsz, niosąc wielki koc.

- Wstań człowieku i okryj swą nago□ć - rzekł Jezus. Orme usłuchał go i owiniął się kocem. Jezus odwrócił się, podszedł do samochodu i podniósł laser. Wrócił do Orme'a i wręczył mu broń.

- Powiniene□ być go nosić w kaburze, zamiast ukrywać pod mundurem. Nie wyciągnęby□ go szybko w razie potrzeby.

Orme pokręcił głową.

- Nie mogę jednocze□nie trzymać lasera i nie□ć koca. Poza tym...

Wyraz wielkich czarnych oczu oraz osobliwy u□mieszek Jezusa mówiły, że znał on całą prawdę. Znał ją!

- Stworzyłem twoje ciało z niczego i odtworzyłem je jak nowe - oznajmił Jezus. -

Widział to cały □wiat. Czy na planecie pozostanę jeszcze niedowiarki? Tak jest, pozostanę i będę niczym zbłskane owce. Wszelako miliony tych, którzy przed chwilą jeszcze nie wierzyli, uwierzą. Pozostali nadal są jak zbłskane owce.

- Panie - zapytał Orme - czy wybaczyte□ mi?

Jezus pokazał palcem mężczyznę i kobietę. On był tym, który strzelał do Jezusa i prawdopodobnie go trafił, ona za□ rzuciła granat. Nie byli ranni, lecz dziury w ich ubraniach wskazywały, którędy weszły kule. Choć otaczali ich policjanci nie założono im kajdanek.

- Im także przebaczyłem - rzekł Jezus. - Wskresilem ich z martwych, żeby cały □wiat dowiedział się, iż potrafię być miłosierny. Teraz zostanę zapewne jednymi z moich najbardziej oddanych uczniów. A je□li nie, dadzę przynajmniej □wiadectwo.

Jezus przysunął usta do ucha Orme'a.

- Nie wstę już więcej. Je□li znowu zwstępisz, zdradzisz się z tym przede mną, zanim zdołasz mnie zdradzić. Nie przypuszczam jednak, aby□ zwstępił ponownie.

Następnym razem nie okazałbym już miłosierdzia. Nie należy drażnić Najświętszego. Ani Syna Człowieczego. Powiedz mi jednak, czy wiesz, dlaczego w ostatniej chwili, gdy sędzieli, że nadchodzi kres, zdecydowali się poświęcić swe życie, aby uratować mnie, który tego nie potrzebuje?

- Nie wiem - odparł Orme. - Być może dlatego, iż gdzieś w głębi mojego umysłu kołatało się, że nawet jeżeli naprawdę jesteś istotą energetyczną, a nie prawdziwym Jezusem, nie ma to znaczenia. Ojciec używa różnych narzędzi, aby wykonać swą pracę, i niekiedy robi to w pokrętny sposób. Jeżeli wybrał na Mesjasza nieludzkie stworzenie z odległej planety, podobnie jak przyjął Krszów w poczet Ludu Przymierza, to... Jednak, Panie, czy naprawdę je-Jezus uniósł dłoń, dając znak, że Orme powinien zamilknąć.

- Prawdziwym Mesjaszem jest ten, kogo Ojciec wybrał na Mesjasza. Pójdźmy teraz do świętego Miasta.

- Ale, Panie, dałem pewnemu człowiekowi list, w którym opisałem, co zamierzam uczynić. Jeżeli zostanie opublikowany, może narobić wielkich szkód.

Jezus ucałował Orme'a w usta i powiedział: - Niech go sobie publikuj. Świat widział, co uczyniłeś. Jutro wypoczniemy i uczynimy następny krok na drodze, jakś wskazał nam Ojciec. Trzeba jeszcze przezwyciężyć wiele zła. Dni będą mroczne, a noce jeszcze ciemniejsze. Na końcu drogi jest jednak jasność, ku której zdążają wszystkie Dzieci Światła.

